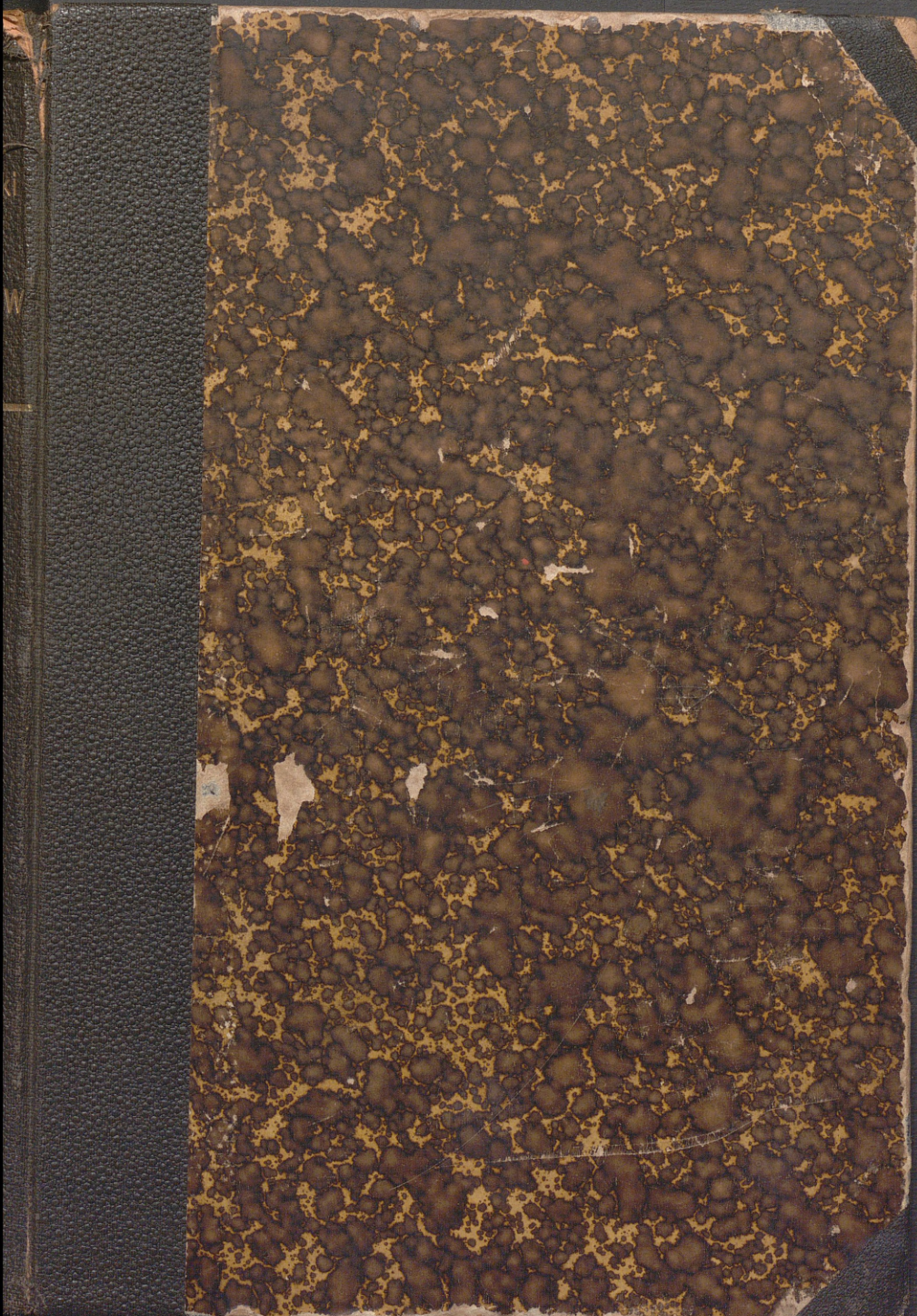


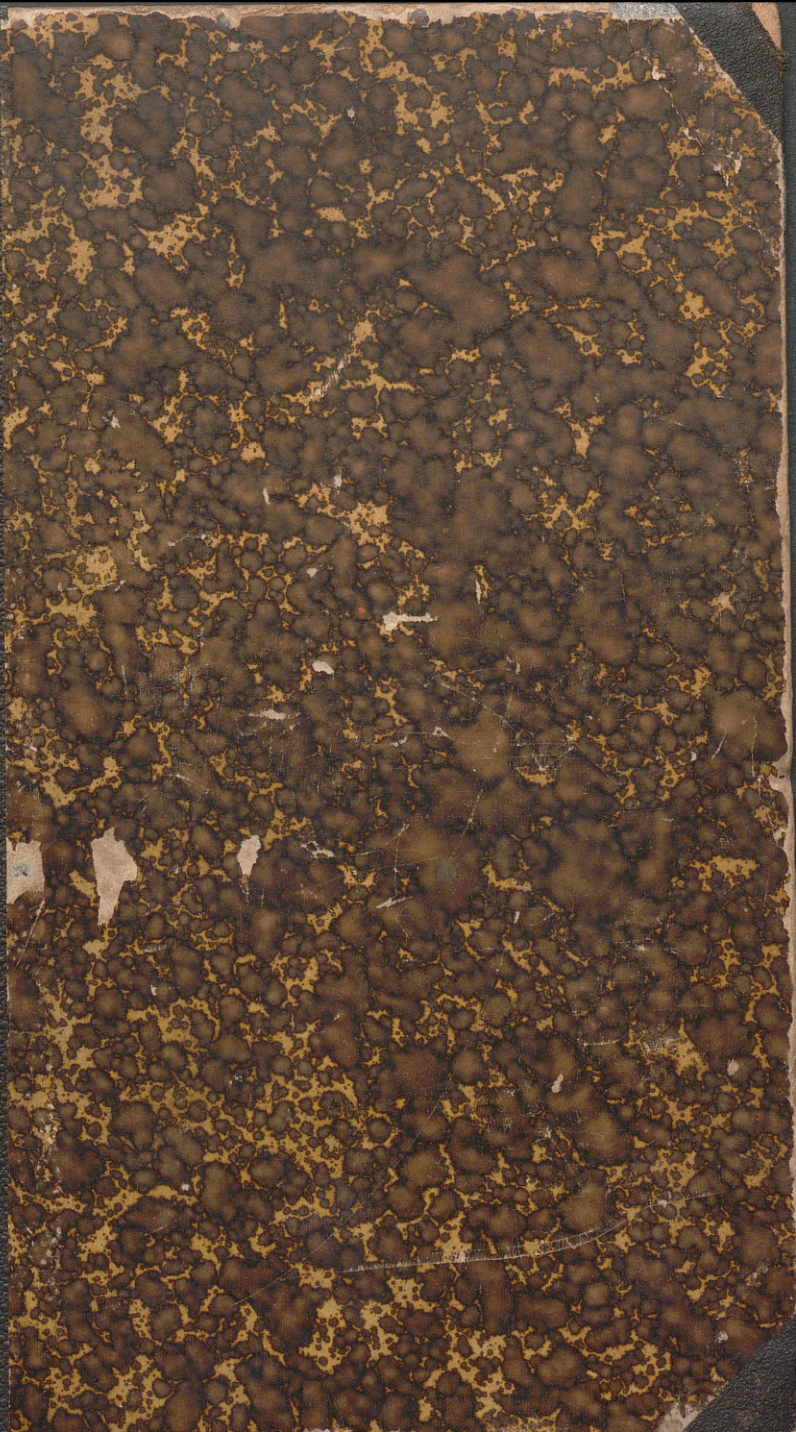
Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



owski
E
NOW



„Jeszcze Polska nie zginęła!”

Dzieje Legionów polskich.



„March, march Dąbrowski,
z ziemi włoskiej do polskiej!”

JENERAŁ HENRYK DĄBROWSKI NA CZELE LEGIONÓW

(wedle rysunku J. Kossaka).

STANISŁAW SCHNÜR-PEPŁOWSKI.

„JESZCZE POLSKA NIE ZGINEŁA!”

Dzieje Legionów polskich.

OPOWIEŚĆ DZIEJOWA Z LAT 1796—1806.



W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.

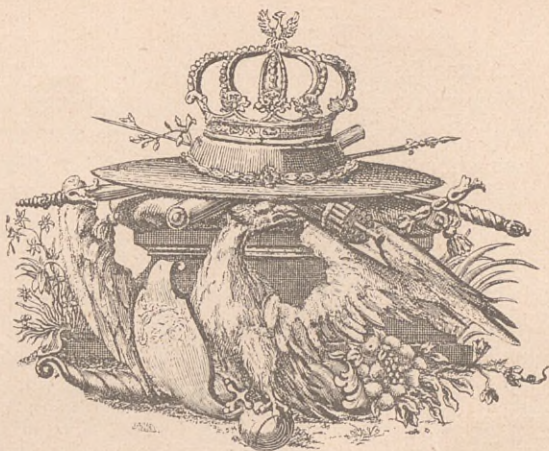
1897.

93(438) 9: 355.48 (438) 6

26046/2



W KRAKOWIE, W DRUKARNI >CZASU< FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.



I.

Schyłek wieku ośmnastego zwiastował ważną i pamiętną chwilę w dziejach ludzkości, przeniknionej nowemi, ożywczemi prądami. Nowe hasła, rzucone przez wielką rewolucyę, acz zwodnicze w przeważnej części, niemniej przeto potężne wywołały wrażenie wśród ludów, powołanych tem olbrzymiem wstrząśnieniem na widownię dziejową. Narody, rozdarte od wieków i znękanie długoletnią niewolą, budziły się z uśpiania na odgłos wzniosłych idei wolności i braterstwa ludów, wypisanych na sztandarach republikańskiej Francyi, która zburzywszy u siebie podstawy dawnego porządku państwowego, z młodzieńczą buntą podjęła rzuconą jej przez monarchiczną koalicyę rękawicę, a szalony sukces, towarzyszący półnagim i świeżo oderwanym od warsztatu lub pługa żołnierzom rzeczypospolitej, obudził w całej Europie usposobienie gorączkowe, żądne natychmiastowych rezultatów, podjętego w imię narodowościowych idei działania.

Polska nie mogła pozostać obojętnym widzem tego ruchu. Pokonana na polu walki, nie czuła się usposobioną do powolnej i pokojowej pracy około wewnętrznego odrodzenia narodu, a tem mniej mogła myśleć o odnowieniu w kraju zapasów z zwyciężkim i przemożnym przeciwnikiem. Z tem też większą uwagą śledziła przebieg toczącej się na Zachodzie walki, a sympatye jej musiały się znaleźć po stronie trójkolorowej chorągwi republikańskiej, choćby z tego powodu, że w obozie koalicji mocarstwa rozbiorowe przeważną odgrywały rolę. Wojna między rzeczpospolitą a sprzymierzonymi monarchami, zdawała się zapowiadać klęskę nieprzyjaciołom Polski, a rosnąca z dniem każdym sława wielkiego wodza, w którym Taine nie bez racji dopatruje się duchowego podobieństwa z włoskimi kondotierami piętnastego wieku, nęciła żądze czynu umysły, stęsknione do oręża żołnierskie prawice.

Znany historyk niemiecki Sybel, porównał rozbiór Rzeczypospolitej polskiej ze zburzeniem Jerozolimy i z rozproszeniem ludu wybranego, lecz mimo jednakich rozmiarów klęski, wielce rozmaitemi były pragnienia oraz nadzieje obu narodów wygnańczych. Tęsknota za krajem znamionowała na każdym kroku polskich tułaczów, którzy prócz języka i obyczaju ojców, zachowali wiernie ich wiarę oraz miłość ziemi rodzinnej, pragnąc wrócić do ojczyzny, lub złożyć w niej przynajmniej swe kości.

Polacy, tłumnie opuszczający ziemię ojczystą, by w służbie Francji stworzyć opromienione dziś jeszcze bohaterską tradycją legiony na italskiej ziemi i nad Renem, rozslawili szeroko po świecie nasze męztwo.

Legiony owe były protestem narodu, żywcem pogrzebanego, który w tych tytanicznych zapasach dowiódł zdumionemu światu, że nie brak odwagi lub poświęcenia stał się przyczyną jego upadku. Bohaterscy wodzowie legionów, zapatrzeni w gasnące zorze niepodległości narodowej, chcieli orężem zdobyć to, co latami żmudnej i powolnej pracy odzyskać wypadnie.



Engraving by...

THE TWELFTH CAKE. | LE GÂTEAU
DES ROIS.

Sold by Robt. Sayer N° 53 in Fleet Street.

1772 Bourgeois Paris chez le Citoyen rue St. Eloi des Grans.

„ROZBIÓR POLSKI“.

Satyryczna rycina z końca XVIII w.

Szlachetni i rycerscy zawierzyli ułudnym obietnicom samolubnego despoty, frymarczącego krwią własną i obcą, który gwałcąc najszlachetniejsze uczucia legionistów, kazał im, gorliwym synom katolickiego Kościoła, przykładać rękę do burzenia Państwa Kościelnego, szermierzy wolności wydałał na San Domingo, by jarzmo niewoli nałożyli ponownie na spragnionych praw człowieczeństwa murzynów.

Całą skalę wielką uczuć ludzkich przeszli i doświadczyli biedni legionieści, od upajającej nadziei, od zachwytów radości i uwielbienia, od najszczytniejszych porywów, aż do ponurej rozpaczy, rezygnacyi i przekleństw, cisnących się mimowoli na usta. Zaczęli od walki za wolność ludów, a sami musieli własnym sprzeniewierzyć się ideałom, zadać gwałt swym przekonaniom i uczuciom, wzdrygającym się na egzekucye okrutne, a to wszystko dlatego, że pierwszy konsul francuski, a niebawem cesarz, tak chciał i rozkazał. Łudzili się, ale lepiej im może było z temi złudzeniami. Zamiast legionów, które rwały się do życia i do czynu, byłby może powstał cały legion nieszczęśliwych szaleńców, zdolnych pod wpływem bezgranicznej rozpaczy i bólu jedynie do samobójstwa. Lepiej im tedy było ze złudzeniami, z wiarą w ludzi, w swe działanie i poświęcenie.

Dziś, gdy pod wpływem bolesnych doświadczeń rozwiały się złudzenia w skuteczność obrad, zabiegów i czynów, podjętych na obcej ziemi i pod obcą opieką celem dźwignienia ojczyzny, gdy na rodzinnym zagonie możemy stwarzać trwały dorobek dla naszego społeczeństwa, spokojnem i wolnem od uprzedzeń rzućmy okiem na niezbyt odległą a tak mało znaną dobę dziejową, w ciągu której powstały, walczyły i zmarniały nasze legiony! Porównano je słusznie z wspaniałym poematem, pisanym krwią, wśród dźwięku huku, a jakkolwiek nowsze badania dziejowe odarły ów epizod naszej przeszłości z otaczającego go dawniej legendowego uroku, to jednak my, skarłałe plemię wielkich ojców, z podziwem tylko spoglądać możemy na olbrzymów szalonej odwagi, zaparcia się i wiary w dobrą sprawę, jakimi

byli wodzowie oraz uczestnicy legionów... Cofnijmy się myślą do smutnej pod każdym względem chwili upadku insurekcji Kościuszkowskiej. Maciejowice, to tylko nieszczęśliwa bitwa — jak słusznie ktoś zauważył — ale nie ostateczna i stanowcza przegrana, a jednak klęska ta oraz rzeź Pragi ogłuszyły cały naród, wlewając jad chwilowej rozpacz i zwątpienia nawet w najtęższe umysły, najpocziwsze serca. Nastała chwila przesilenia, jakie w porozbiorowym naszym życiu niejednokrotnie się powtarzało. Jedni przyjęli jarzmo niewoli z rezygnacją, trudną do pojęcia i dźwigając je, bez szemrania usuwali się w zacisze domowe, drudzy tracili głowę, nie wiedząc, co czynić, inni wreszcie w objęciach bezmyślnego szału i wyuzdanej rozpusty szukali zapomnienia po poniesionych klęskach i upokorzeniach.

W parze z ruiną polityczną szło bankructwo materialne, głównie dotyczące tą część kraju, która wraz z Warszawą dostała się pod panowanie pruskie. Niewypłacalność pierwszorzędnych domów bankierskich, już zachwianych drugim podziałem Rzeczypospolitej, wyjazd króla do Grodna, kordony graniczne i trudności paszportowe, wszystkie te czynniki przyłożyły się do upadku syreniego grodu, zwanego do niedawna małym Paryżem. Kapiące od złota pałace możnowładców opustoszały, gdyż dziedzice ich po części z powodu kłopotów pieniężnych zamknęli się na wsi, a po części też stronili od miasta, nie chcąc się spotykać na każdym kroku z pruską butą, narzucającą w sposób szorstki i bezwzględny *nieukom porządku* — jak nazywano Polaków — nowe prawa.

Nie mógł się też dźwignąć z ruiny stary Kraków, który w ciągu lat ostatnich nieustannie zmieniał pana, oglądając kolejno w swych murach załogę rosyjską, pruską i austriacką.

Natomiast w wyjątkowo szczęśliwszem położeniu znalazł się Lwów, który po strasznych przejściach dziewięćdziesiątego czwartego roku stał się bezpiecznym schronieniem dla wielu rozbitków świeżo upadłej rewolucji, oraz punktem zbor-

nym dla wszystkich, którzy, unosząc z dotkniętych klęską wojny prowincyi życie i mienie, szukali na bruku Lwiego grodu użycia i rozkoszy. Więc też w chwili, gdy gród podwawelski nie mógł się jeszcze oswoić z niemieckim najazdem, Lwów hulał w najlepsze. Niewola Kościuszki, rzeź Pragi i ostateczny rozbiór Rzeczypospolitej wywołały wprawdzie wśród mieszkańców Galicyi ogólne przygnębienie, jednakowoż z czasem, może nawet zbyt szybko, zapomniano we Lwowie o świeżym pogromie. Huczny i gwarny zjazd obywatelstwa zakordonowego przepełniał ciche mury tego grodu. Szalano bez upamiętania, goniono za nowemi wrażeniami, które choćby chwilowo mogły odurzyć biesiadników, zdając im z serca ciężką troskę o przyszłość nieznaną, w ciemnych mgłach spowitą.

Towarzystwo lwowskie — pisze w swych wspomnieniach wesoły szambelan Ochocki — składało się z osób najmajątniejszych, najlepiej wychowanych i wykształconych. Nikt jednak o klęskach ogólnych, o kraju i jego nowej sytuacji nie podniósł głosu, ust nie otworzył. Zdawałoby się, że po za nami nie było żadnej przeszłości, żadnego jutra przed nami; nie, czegoby się trwożyć potrzeba, nie, coby dokonać należało. Bawiono się bez końca, szalano jak za dobrych czasów.

W towarzystwie lwowskiem z doby pokościuszkowskiej dwa głównie przejawiały się prądy. Obok pokolenia, zstępującego do grobu a reprezentowanego przez damy w rogówkach, oraz przez Polusów, z kresą na łbie i z pełnym pucharem w prawicy, wielbiących błogosławione czasy Sasów, wrzała gorączkowym życiem generacya, nasiąkła teoryami, zapożyczonemi z nad Sekwany, dla której honor był Bogiem a użycie jedynym życia celem. Napływ emigracyi francuskiej, rojalistów wyzutych z mienia, zaszczytów i przywilejów, a znajdujących w Galicyi szczególnie gościnne przyjęcie, przyczynił się niemniej do rozszerzenia w społeczeństwie naszym pewnych pojęć, które niezupełnie może licowały z duchem czasu, lecz chwilowo ogólny zyskały kredyt. Owe markizy i margrabiowie, dumni, wykwintni i pełni delikatności, nie chcąc być nikomu

ciężarem, przyjmowali w zamożniejszych domach obowiązki nauczycielskie i zaszczepiali w swych wychowancach bezgraniczną odrazę do francuskiej rewolucyi, uzasadnioną zresztą do pewnego stopnia wspomnieniem okrucieństw, popełnionych przez rządy republikańskie. Arystokracja galicyjska z uczuciem niekłamanego pietyzmu spoglądała na dostojnych wygnańców, znosząc cierpliwie ich kaprysy i wymagania. Szeroko i długo rozpowiadano sobie o dziwactwach biskupa lyońskiego księdza de Sabran, który osiadłszy w Łańcucie, stał się dla księżny marszałkowej Lubomirskiej straszliwym ciężarem z powodu swej dumy i zmiennych fantazyj.

Jakkolwiek w miarodajnych warstwach społeczeństwa galicyjskiego przeważały zasady zachowawcze, to jednak z zapalem godnym lepszej sprawy naśladowano mody i obyczaje republikańskiej Francyi. Mężczyźni zarzucili puder i tapirowane fryzury. Harcapy ustąpiły miejsca krótko obciętym włosom. Bardzo rażącym dla uczuć przyzwoitości był strój damski, zapożyczony z nad Sekwany, przez ówczesne modnisie. Panie te obywały się bez bielizny. Grecka tunika, z lekkiej, przejrzystej materyi, głęboko wycięta i u prawej nogi podpięta wysoko girlandą, z długim ogonem, tworzyła główną część tego ubioru, a raczej negliżu. Nóżki były bosc, palce u nóg zdobiły pierścienie, wysadzone drogimi kamieniami i rozkładane nakształt kolczyków. Zamiast trzewików noszono trepki, przytwierdzone do nogi białemi bandażami, sięgającemi po kolana. Dodać do tego należy fryzurę, zakrywającą czoło i przypominającą rzekomo układem włosów, klasyczne rzeźby, a wówczas zrozumiemy ciętość dowcipu kasztelanowej Kossakowskiej, utrzymującej z całą stanowczością, że panie lwowskie są bez stanu i bez czoła... Bo też w rzeczywistości strój ów był najwierniejszym wyrazem współczesnej doby. Polska lekkomyślność, zalotność francuska i rosyjska zmysłowość, złożyły się na karnawałową fantazyą, szalejącą bez końca i miary na świeżym grobie ojczyzny. Lwów z owych czasów cieszył się dobrze zasłużoną sławą grodu Cytery. Miłostki

kwitły w najlepsze, gdyż zepsucie obyczajów, zaszczerpione przez dwór warszawski, dotarło wraz z modnymi damami do stolicy Rusi Czerwonej. Rozwody były na porządku dziennym. Żeniono się na żarty. Kobieta nie mająca choćby jednego wielbiciela, uchodziła za osobliwość. Panie z arystokracji, przedstawicielki historycznych rodów, rywalizowały pod względem rozwiązłości z jasnowłosemi córami Germanii, towarzyszącymi mężom i ojcom w ich misji cywilizacyjnej nad brzegi Pełtwy. Sławiona cnota niewiast niemieckich nie mogła się oprzeć tak silnej pokusie, jaką przedstawiały zawiesiste, sarmackie wąsy, oraz kieski, wypełnione mile brzęczącym kruszcem. Kobiety z wielkiego patriotyzmu romansowały na zabój — opowiada w swych pamiętnikach wspomniany już poprzednio Ochocki — miały kochanków, wrywały sobie ludzi. Odprawiały jednych jak lokajów, przyjmowały drugich jak najemników. Mężowie nawzajem dopuszczali się niewierności bez końca. Żony rujnowały się dla kochanków, mężowie dla niewiedzieć jakich kobiet, które im się chwilowo podobały. Nie mieć kochanka, było sromotą...

W parze z wolnością obyczajów szedł pewnego rodzaju indyferentyzm polityczny, który ogarnął zarówno młodsze pokolenie, w strój francuski przybrane, jako też podeszłych wiekiem kontuszowców. Podczas gdy w opustoszałej Warszawie przyjaciółka księcia Józefa, hrabina Vauban, dyktowała w pałacyku pod Blachą prawa śmietance tamtejszej arystokracji, gdy nudził się poważny Kraków, w którym berło towarzyskiego życia dzieliły między siebie rodziny Wielopolskich i Wodzickich, ścisłej przestrzegające etykiety wobec niemieckich przybyszów, Lwów inną, bardziej liberalną odznaczał się barwą. Gubernatorowie austriacy starali się jednoczyć w swych salonach towarzystwo polskie z dygnitarzami rządowymi obcego pochodzenia, co im się w znacznej części udawało. Wspomniano wprawdzie o psotach, jakie w swoim czasie płatał niemieckim urzędnikom słynny z awanturniczych przygód Godzki, dziedzic Jaryczowa. Powtarzano dowcipne pani Kossakowskiej

odpowiedzi, dawane funkcjonariuszom nowego rządu, z którymi nieustanną toczyła walkę, ale zaprosinami na bale gubernatorskie nikt nie pogardził.

Mimo pozornego dobrobytu a nawet zbytku, cechujących życie klas posiadających w Galicyi, niesympatyzujących bynajmniej z hasłami terrorystycznymi, głoszonymi nad Sekwaną, stanu społecznego, istniejącego podówczas w tej dzielnicy dawnej Polski, niepodobna nazwać pomyślnym. Na setki używających w całej pełni przyjemności życia wśród bezmyślnej gonitwy za rozrywkami, przypadały krocie tysięcy chleborobnego ludu, pracującego w pocie czoła koło roli, nie będącej nawet jego własnością, upośledzonego pod względem praw politycznych, obciążonego rozlicznymi ciężarami publicznymi, wśród których najuciążliwszym dla włościanina był podatek krwi, wyłącznie na jego barki zwalony, gdyż szlachcica urodzenie uwalniało od obowiązku służby wojskowej. Co gorsza, do spotęgowania cichego, lecz niemniej silnego niezadowolenia włościan wobec dziedzica, przyczyniła się ta fatalna okoliczność, iż właścicielom dóbr obok sądownictwa patrymonialnego zlecono też pobór podatków i rekruta. Włościanin, nieprzywykły od wieków do tego rodzaju ciężarów, nie starał się wyłómaczyć sobie racji istnienia takowych, lecz w dziedzicu, oraz jego oficyalistach, spełniających rządowe rozkazy, widział w prostocie ducha swych nieprzyjaciół, dręczycieli.

Niezadowolenie, nurtujące wśród stanu włościańskiego, najjaskrawiej wystąpiło w świeżo przyłączonych po ostatnim rozbiore Rzeczypospolitej, obwodach galicyjskich. Na przestrzeni kilkudziesięciomilowej, między Wisłą a Bugiem, gotowało się w tajemnicy groźne powstanie chłopskie, wymierzone w pierwszym rzędzie przeciw szlachcie, ziemianom. Na czele tego ruchu, zapoczątkowanego nieznośnym uciskiem podatkowym i obowiązkiem dawania rekruta, stanął niejaki Franciszek Gorzkowski, osobistość wielce zagadkowa. Urodzony w Warmii, kształcił się w kraju, a następnie w Paryżu, gdzie dzięki pomocy pieniężnej księcia biskupa Massalskiego, oddawał się

przez czas dłuższy studjom przyrodniczym i matematycznym. Nowe myśli i teorye społeczne, głoszone w przededniu wielkiej rewolucyi przez industrialistów, fizyokratów i socyalistów, wpłynęły niewątpliwie na wrażliwy umysł młodzieńca, który po powrocie do kraju, obrawszy zawód miernika, zajmował się pomiarami dóbr księcia biskupa wileńskiego. Na wiadomość o wybuchu rewolucyi Kościuszkowskiej pospieszył Gorzkowski do Warszawy, brał czynny udział w pracach około obwarowania stolicy i w czasie oblężenia miasta przez wojska pruskie, sam się zaofiarował Naczelnikowi w charakterze emisariusza, celem podburzenia ludności w swych rodzinnych stronach przeciw Prusakom. Za zgodą Kościuszki otrzymał on paszport, opiewający na zmyślane nazwisko pruskiego poddanego, Bittermana, i bez trudności, jako władający należycie mową niemiecką, przepuszczony został przez wojska oblężnicze. Misyę swą spełnił z pomyślnym skutkiem, a po nieszczęśliwym upadku powstania, powrócił do swych zajęć zawodowych.

W lecie 1796 roku znalazł się Gorzkowski we wsi Cysi, w powiecie liwskim, dokąd go zawezwano w celu poczynienia pomiarów. Dziedzicem tej wioski, położonej wśród piasków, bagien i lasów, był niejaki Zaleski, człek niepomiernej uczciwości i dobry patriota. Zawołany gospodarz i myśliwy, nie zwracał Zaleski uwagi na czynności Gorzkowskiego, który dzień cały przepędzał w polu, wśród chłopów. Wieśniacy tamtejsi, zagrożeni po raz pierwszy branką rekruta, podatny przedstawiali materyał dla zapalonego demagoga, który zoczywszy dogodną do działania porę, nie omieszkał jej wyzyskać na rzecz swej teoryi. Jakoż poznajomiwszy się bliżej z miejscowem włościaństwem, utworzył tajny związek, który krzewił się bardzo szybko; więc dla wtajemniczenia nowych uczestników z dalszych okolic w zamiary spiskowych, sporządził Gorzkowski sztychowane tabliczki, za pomocą których pouczano świeżo przyjętych adeptów w sposób jasny i przystępny o celach konspiracyi. Tabliczki owe sporządzano w Warszawie, gdzie pomysł Gorzkowskiego również gorliwych znalazł zwo-

lenników, zaś w agitacji wśród ludu wspierał go niejaki Perles, chłopak dwudziestoletni, oficer artylerii, przydzielony Gorzkowskiemu do pomocy w pomiarach. Nieostrożność Perlesa zgubiła spiskowych.

Po nitce nie trudno było dość do kłębka. Gorzkowski, zawezwany przez Zaleskiego, stawiał mu się ostro i wraz z Perlesem odwieziony został do urzędu cyrkularnego. Śledztwo, prowadzone przez władzę, wykryło całą organizację spiskową, oraz istnienie rewolucyjnego komitetu warszawskiego, którego pięciu członków aresztowały władze pruskie na żądanie austriackiego rządu. Ponieważ jednak przekonano się, że spisek obejmował jedynie Galicyą, przeto też śledztwo w Warszawie toczyło się tylko dla formy. Oskarżeni porozumiewali się z całą swobodą, jak mają zeznawać i po upływie pewnego czasu odzyskali wolność dla braku dowodów winy.

Bardziej surowo obeszły się władze galicyjskie z Gorzkowskim i z Perlesem, których dostawiono do Krakowa. Perles umarł w więzieniu, nie doczekawszy się końca procesu, Gorzkowski zaś trzymany o chlebie i wodzie, skompromitował podobno swemi zeznaniami Kołłątaja, który po upadku rewolucyi Kościuszkowskiej schwytany został w Galicyi i osadzony w Ołomuńcu. Zeznania Gorzkowskiego przyczynić się wiele miały do pogorszenia losu księdza podkanclerzego, uwolnionego dopiero za osobistą instancją cara Pawła u dworu wiedeńskiego. Tak przynajmniej utrzymuje w swym pamiętniku Cieszkowski.

Bardzo też być może, iż dzięki relacyom, złożonym w śledztwie, odzyskał Gorzkowski wolność po trzech latach więzienia. Odczytano mu wprawdzie wyrok sądowy, skazujący go na śmierć przez powieszenie, lecz równocześnie zawiadomiono skazańca, iż cesarz w drodze łaski zamienił mu karę śmierci na wydalenie z granic kraju. Dalsze losy awanturniczego demagoga nie wchodzi w zakres niniejszej opowieści, zaś o szczęściu mogło mówić ziemiaństwo nasze, gdy mrzonka Gorzkowskiego nie doczekała się w owym czasie krwawego



urzeczywistnienia. Wznowienie koliszczyzny po tak jasnej w dziejach ginącej Rzeczypospolitej chwili, jaką był ruch Kościuszkowski, stworzyć mogło hańbiącą plamę na przeszłości narodu, który upadł pod brzemieniem wiekowych błędów, lecz nie pokalał się nigdy zbrodnią.

Nad dźwiganie Ojczyzny z upadku, mimo ogólnego zwątpienia i bezmyślnego szału, jakie objawiały się w rozmaitych dzielnicach dawnej Polski, przemyślało nieustannie grono ludzi, dalej w przyszłość patrzących, skupionych wytrwale koło sztandaru sprawy narodowej, chwytających skwapliwie każdą sposobność, która zdawała się im korzystną dla służenia sprawie Ojczyzny. Ludźmi tymi byli rozbitki z insurrekcyi Kościuszkowskiej z Henrykiem Dąbrowskim na czele.

Po kapitulacyi armii powstańczej po Radoszycami, Dąbrowski internowany został w Warszawie i pomimo najusilniejszych zabiegów nie mógł ani uzyskać pozwolenia na wyjazd za granicę, ani też porozumieć się z patriotami, których spore grono znalazło się w Paryżu. Dopiero z chwilą mianowania Caillarda przedstawicielem rzeczypospolitej francuskiej przy dworze berlińskim, udało się Dąbrowskiemu nawiązać z nim bliższe stosunki, a to za pośrednictwem majora Forestiera. Na ręce tego ostatniego zakomunikował Dąbrowski we wrześniu 1795 roku Caillardowi projekt, by rząd francuski, uznawszy jako prawną reprezentacją narodu polskiego zawieszony sejm czteroletni, dozwolił formować pod powagą tegoż sejmu a własną opieką korpusy polskie, złożone bądź to z dezertarów austriackich i rosyjskich, bądź też ze szczątków dawnej armii polskiej. Fundusze na ten cel użyczone zwróciłyby Polska po wywalczeniu swej niepodległości, a w razie niepomyślnego wyniku walki, legia polska, dopełniwszy swej powinności w służbie francuskiej, mogłaby ubiegać się o prawo obywatelstwa we Francyi...

Mysł stworzenia legionów narodowych pod protektora-tem francuskim, nie pojawiała się po raz pierwszy, gdyż już w czasie kampanii 1794 roku, po bitwie szczekocińskiej, pod-

niósł przebywający w Paryżu w charakterze ajenta politycznego, bankier warszawski, Bars, projekt utworzenia legionu z jeńców polskich, którzy, wcieleni przemocą do armii austriackiej i pruskiej, dostali się następnie w moc Francji podczas walk, staczanych z koalicją w Holandyi i nad Renem. Na zawiadomienie Barsa, iż Francya nie sprzeciwiałaby się uzbrojeniu tych jeńców, wysłał Kościuszko do Paryża Józefa Wielohorskiego celem układów z tamtejszym rządem. Zrazu negocyacye szły pomyślnym torem. Francya obiecywała uzbroić i przydziać legionistów, lecz nie mogła wziąć na siebie kosztów ich przewozu do Gdańska. Toż samo Szwecya, acz przychylna sprawie rewolucyi, nie chciała się narażać Rosyi i Prusom. Tak więc misya Wielohorskiego spełzła na niczem.

Nie lepszego też przyjęcia doznał ze strony Caillarda wrześnieowy projekt Dąbrowskiego i dopiero wypadki dziewięćdziesiątego szóstego roku przyspieszyły urzeczywistnienie zamiarów wielkopolskiego bohatera. Co prawda, nie działał on odosobniony, gdyż usiłowania jego popierali najgorliwiej schronieni nad Sekwaną wychodźcy, którzy po upadku ostatniej rewolucyi szukali bezpiecznego przytułku, oraz sposobności do działania na korzyść ojczyzny za granicami kraju. Najliczniej zgromadzone było wychodźstwo polskie w Paryżu, gdzie za pośrednictwem Franciszka Barsa, znaleziono sposób porozumienia się z konwentem, tudzież z wydziałem bezpieczeństwa publicznego. Byli tam mężowie tego znaczenia i zasług, co Wybicki, kasztelan Mniewski, Dembowski, generałowie Gedroic i Wielohorski, Eliasz Tremo, Józef Zabłocki, Tomasz Maruszewski, Ignacy Jasiński, Kocieł, Woyczyński i Kochanowski. »Zgromadzaliśmy się zwykle w domu pana Bars, jako znanego Polaka u osób rządowych i gorliwego — pisze w swych wspomnieniach Wybicki — zaczęliśmy poznawać w doświadczeniu różnicę od naszych wyobrażeń początkowych o rewolucyi francuskiej. Lecz to rozwiązywało się łatwo, zważając, że ów początkowy związek rewolucyi francuskiej miał zamiar najświętszy: przywrócenia wolności cywilnej i politycznej czło-

wiekowi, przy istniejącej władzy panującego, konstytucją ograniczonej. Ale ten święty zamiar zniknął, gdy chucie i namiętności wzięły górę, gdy ludzie zbrodniami okryci odsunęli obywateli cnotliwych i światłych od steru rządu, gdy intrygi, chciwość grabieży, a przytem chciwość krwi niewinnej, zarazone i zdemoralizowane opanowały serca. Wtenczas rozniósł się hasło. *Śmierć dla majątnych, spadek po niej tłuszczy łaknącej! Śmierć światłym i cnotliwym, a władza rządowa po nich w spadku dla ciemnego, zabójczego motłochu!*... Utyskiwaliśmy na ten widok, my wygnańcy Polacy i nieraz ja sam trzymałem z Bolinbrokiem, że wolność jest stworzona dla człowieka, ale człowiek nie jest stworzony dla wolności!...*

Niebawem też zebrania przebywających w Paryżu Polaków, przybrały charakter klubu patryotycznego, za którego przykładem zawiązali takiż klub ziomkowie, osiedli chwilowo w Wenecyi. Tam też okazali się najczynniejszymi Piotr Potocki, Michał Ogiński, Stanisław Sołtyk, oraz generałowie Kołyszko i Łażniński. Klub wenecki pozostawał pod opieką miejscowego posła rzeczypospolitej, Lallemana, który też ułatwiał jego korespondencję z patryotami paryskimi, przesyłając ją wraz ze swemi urzędowemi raportami do Francyi.

Za pośrednictwem też klubu weneckiego, jako najbliższego granic Polski, znoszono się z krajem, choć i z Paryża spieszyli od czasu do czasu na wschód śmiali emisaryusze, którzy nie bacząc na srogą karę, jaka ich czekała w razie ujęcia, szli z słowem pociechy i nadziei między zboliałych i zwątpionych. Pod przybranem nazwiskiem dążyli do kraju ci wysłannicy, przekradając się przez graniczne kordony, narażeni na tysiączne trudy i niebezpieczeństwa, bezimienni apostołowie wielkiej sprawy. Historia owych czasów przekazała nam z tego grona straceńców, nazwiska: Ogińskiego, de la Roche'a, Wybickiego, Tremona, Blumera i działającego pod przybranem mianem Budzyńskiego, późniejszego ministra skarbu, Jana Węgleńskiego, ale podobnych im, przepadłych

w znacznej części bez wieści emisaryuszów, było o wiele więcej i dzięki ich poświęceniu oraz odwadze, ziomkowie pozostali w kraju, wiedzieli dokładnie o wszystkich zabiegach i pracach wychodźców.

Pokój bazylejski, zawarty w maju 1795 r. między Francją a Prusami, wywarł wprawdzie przykre wrażenie wśród naszej emigracyi, lecz rząd rzeczypospolitej nie omieszkał oświadczyć klubistom, iż w niedalekiej już przyszłości zajmie się sprawą polską. Zalecał przeto Polakom wytrwałość i doradzał im cierpliwość wobec przeciwności, oraz ufność w szczerą intencję Francyi. Z kolei nastąpił w Paryżu upadek terrorystycznych rządów, a miejsce krwawego konwentu zajął dyrektoryat. Korzystając z uczynności szlachetnego Kazimierza de la Roche'a, gromadzili się klubiści paryscy w wynajętym jego kosztem hotelu Diesbach, przy ulicy św. Honorjusza. Tam też mieli Polacy tyle pożądaną sposobność do zetknięcia się z wszystkimi znakomitościami stolicy, odgrywającymi wybitniejszą rolę, czy to na polu polityki, czy też w dziedzinie nauki i sztuki. Na tych salonach spotykali się nasi wychodźcy z Chenierem, Thibaudeau, Freronem, z la Harpem, Rousselinem i Talmą, lub z paniami Beauharnais, Talien, Louvet, la Gorce, wiodącymi prym w życiu towarzyskiem stolicy. Połowę niemal fortuny poświęcił na ten cel de la Roche, ale rezultat swych zabiegów osiągnął, gdyż zdołał zwrócić uwagę ogółu francuskiego na sprawę Polski, a równocześnie obmyślał sposób porozumienia się z Dąbrowskim, strzeżonym w Warszawie, której ewakuacya przez wojska rosyjskie miała nastąpić w styczniu 1796 roku. W gronie klubistów postanowiono powierzyć ową trudną misję de la Roche'owi, oraz Tremonowi, którzy za fałszywym paszportem, jako przekupnie stalorytów i sztychów, wybrali się na Lipsk i Drezno do Polski. Odjeżdżając, powierzył de la Roche zawiadowanie hotelu Diesbach Augustowi Bonneau, synowi uwięzionego przez Rosyan ajenta rzeczypospolitej w Petersburgu, zaś Tremo stanąwszy w Warszawie zająć się miał pozornie rewindykacją wiarygodności poszcze-

gólnych domów handlowych paryskich, których wypłatę poręczyły za Stanisława Augusta dwory rozbiorowe. Jakkolwiek ściśle tajemnica otaczała wyjazd wysłańców emigracji do kraju, mimo to wieść o właściwym celu ich podróży przedostała się do ogółu wychodźców, bawiących w Paryżu, a nawet wyprzedziła Tremona wśród ziomeków przebywających w Dreźnie, podczas gdy de la Roche zatrzymał się w Lipsku. Dlatego też Tremo z jak największą oględnością zbliżał się do Warszawy, zabawiwszy poprzednio przez czas jakiś u swych krewnych w Poznaniu i dopiero w styczniu 1796 r. zjechał do syreniego grodu. Pozoru do dłuższego pobytu w mieście, zajętem dopieroco przez Prusaków, dostarczyły mu zawikłane rachunki jego paryskich mocodawców, a tymczasem Tremo z żywością iście francuską krzątał się około powierzonej mu misji politycznej. Schadzki wtajemniczonych odbywały się podobno »na Kanonii« w mieszkaniu kasztelana Połanieckiego, w najbliższym sąsiedztwie zamku królewskiego, a władze pruskie, w obawie powstania utrzymujące nieustannie pogotowie garnizonu, mniej zwracały uwagi na poufne narady wojskowych dawnej służby, tembardziej, iż Dąbrowskiego, w myśl otrzymanych z Berlina instrukcyi, polecono im traktować z jak największą oględnością.

Tymczasem dojrzwał w ciszy plon posiewu emissaryuszów wychodźstwa. W dniu 6 stycznia 1796 r. zebrani w Krakowie obywatele podpisali tajny akt konfederacyi, w myśl którego oświadczały, iż nadzieje niepodległości Polski opierają na naszej dobrej sprawie, oraz na ufności, jaką nam dają: »Nasza odwaga, wspaniałomyślność narodu francuskiego i prawość mocarstw, które nie brały bezpośredniego udziału w zamachu, wymierzonym przeciw naszemu istnieniu«. Wyrażali nadto skonfederowani gotowość, iż na pierwsze wezwanie Francyi poświęcą majątki, życie i wszystko, co będzie w ich mocy, a zarazem uznawali deputacyą, istniejącą w Paryżu i zależnych od niej agentów, jako legalnie ukonstytuowanych Zastrzegając sobie wydanie odrębnej deklaracyi, wyłuszczającej wobec

Europy wszystkie rodzaje ucisków, jakich doznawała Polska ze strony najezdźców, zapowiadali konfederaci, iż zawezwą pomocy wszystkich narodów, które po zniszczeniu naszego zagrożone są tym samym losem przez nieograniczoną ambicją mocarstw, uprawiających politykę, polegającą na naigrawaniu się z najuroczystszych traktatów...

Dla łatwiejszego działania w kraju i w Niemczech, konfederacya krakowska założyła kluby we Lwowie i w Dreźnie, gdzie też z wiosną tegoż roku znalazł się Dąbrowski. Jenerał otrzymał pozwolenie na wyjazd z Warszawy niebawem po zajęciu tego miasta przez wojska pruskie. Korzystając z udzielonego mu paszportu, udał się przedewszystkiem do Berlina, gdzie doznał nader życzliwego przyjęcia. Rząd pruski proponował mu służbę w armii królewskiej, lecz Dąbrowski z prawdziwie żołnierską otwartością odpowiedział, że nie chciałby być sam obdarzony łaską, gdy jego towarzysze broni są nieczynni i nieszczęśliwi. Oświadczył przeto gotowość służenia w armii pruskiej, ale na czele trzydziestotysięcznego zastępu ziomków, powołanych pod broń w chwili, gdy Prusy w porozumieniu z Francją zechcą wystąpić orężnie, celem przywrócenia Polsce niepodległości. W dniu siedemnastym marca przyjmował król Fryderyk Wilhelm Dąbrowskiego na uroczystym posłuchaniu, przy której to sposobności jenerał wystąpił w mundurze polskim, ku niemałemu zdumieniu ministrów, oraz ciała dyplomatycznego. Król rozmawiał z Dąbrowskim przeszło godzinę o powstaniu ostatniem, tudzież o oblężeniu Warszawy, a w końcu zapytał gościa, jaki duch panuje w Polsce? Jenerał odpowiedział monarsze, że gdyby chciał podjąć walkę w obronie niezależności Polski, to cały naród stanąłby niechybnie po jego stronie, wybierając go swym królem, lub też wieńcząc koroną skronie jednego z książąt rodu Hohenzollernów... Król nie odrzekł na te słowa, a po chwili podjął znów rozmowę, chwając energią i waleczność Polaków...

Niezrażony tem milczeniem Dąbrowski przedłożył równocześnie gabinetowi berlińskiemu projekt wywołania powstania

w Galicyi, zupełnie ogołoconej z wojska. Rewolucya miała wybuchnąć równocześnie we Lwowie, w Jarosławiu, w Lublinie, w Sandomierzu i w Krakowie, z chwilą wkroczenia wojsk pruskich do Galicyi. Król pruski, lub który z książąt krwi zwołałby sejm z roku dziewięćdziesiątego drugiego do Poznania, ogłosiwszy się poprzednio władczą Polski pod gwarancją rzeczypospolitej francuskiej. Tymczasem powstańcy galicyjscy wiedliby partyzantkę, podczas gdy w Wielkopolsce należałoby sformować korpus trzydziestotysięczny, uzbrojony pruskim kosztem, a dowodzony przez polskich oficerów. Na wypadek wtargnięcia Rosyan do Galicyi, musiałyby się rozprawić z nimi wojska pruskie, operujące w sile trzech korpusów od strony Żmudzi, Warszawy i Karpat. Licząc na neutralność Turcyi, Saksonii i Danii, przypuszczał Dąbrowski, że dwór wiedeński, dla którego najgroźniejszym sąsiadem była zawsze Rosya, zrzecze się dobrowolnie posiadania Galicyi, tem bardziej, że ściągnięcie znaczniejszych sił z nad Renu wymagałoby kilku miesięcy czasu.

»Nie dotknę korzyści politycznych i ekonomicznych, jakie król pruski mógłby odnieść z odbudowania Polski« — pisze generał w końcowym ustępie swego memoriału — »ograniczę się tylko na wykazaniu ich z punktu widzenia czysto wojskowego. Naprzód król pruski przez przywrócenie Polski oddala od swych granic równie groźnego, jak niebezpiecznego nieprzyjaciela, jakim jest Rosya. W drugim razie, w obecnym stanie rzeczy, cesarz austriacki, chcąc zaatakować króla pruskiego, nie ma potrzeby przeprowadzać się przez góry czeskie, lecz będąc panem Krakowa, wpadnie na grzbiet Szląska ku Odrze. Po trzecie, Rosyanie w połączeniu z Austryakami, mogą w jednej kampanii połączyć pozycye swoje od Brześcia aż do Odry; wreszcie w przypadku wojny, skoro król pruski nie zrobi nic dla sprawy polskiej, Polacy będą zawsze więcej mu przeciwni, jak życzliwi«.

Memoriał rzeczony przyjął łaskawie król-filozof, lecz odpowiedź gabinetu berlińskiego nie zawierała nic innego nad

grzeczną odmowę. Rząd pruski zastrzegał sobie na później powzięcie inicjatywy w tej sprawie, jeżeli pozwolą na to okoliczności.

Zawiedziony w swoich nadziejach Dąbrowski udał się w połowie czerwca t. r. do Drezna, gdzie spotkawszy się z powracającym z kraju do Paryża Tremonem, zamierzył wraz z nim udać się nad Sekwanę. Na odwołkę wyjazdu wpłynęły okoliczności rozmaitej natury, wśród których najważniejszą odegrywała rolę pozornie przychylna dla Polski polityka pruska. Zaślubiny ks. Antoniego Radziwiłła z księżniczką pruską Ludwiką, oraz uwolnienie z więzienia generałów Madalińskiego, Giełguda i Grabowskiego, zdały się Dąbrowskiemu zapowiedzią lepszej przyszłości. Rzucił więc na razie myśl podróży do Francji i powrócił do Berlina, by się raz jeszcze przekonać o złudzie, jaką przedstawiały jego przypuszczenia co do możliwej sympatii Prus wobec sprawy polskiej. W tem mniemaniu utwierdziły go jeszcze bardziej przedstawienia de la Roche'a i Caillarda, odwodzących generała od zamiaru przyjmowania pruskiej służby. Zaopatrzone przez Caillarda w listy polecające do Jourdana, Bernadotte'a i Championeta, wyjechał ostatecznie Dąbrowski do Paryża, gdzie stanął w dniu 28 września t. r.

Nad Sekwaną, w gronie kolonii polskiej, nie było mowy o jedności i zgodzie. Według relacji Sułkowskiego, późniejszego adjutanta Napoleona, pisanej w kwietniu t. r., powodem waśni wewnętrznej były rozterki w łonie deputacyi wychodźstwa, w której skład, prócz Prozora, Taszyckiego i Mniewskiego, wchodził też ekspijar Dmochowski i Pawlikowski jako sekretarz. Nieporozumienia, wybuchłe między Barsem a Dmochowskim, doprowadziły w końcu do tego, iż poważniejsi członkowie emigracyi, jak Prozor, Wybicki, Wielohorski i inni, wzięli stronę Barsa i założyli protest przeciw czynnościom deputacyi. Rzućmy wszakże zasłonę na te smutne dzieje, powtarzające się zbyt często niestety wśród polskiego wychodźstwa na obczyźnie. »Wszystkich zamiary były patryotyczne« — opowiada w swych wspomnieniach aż nazbyt do pobłażliwości skłonny Wybicki —

»ale wszystkich pojęcia nie były równe. Byli tacy, którzy w tym błędnym pozostawali przesądzie, iż Francya ruszy zaraz z całą swoją siłą przeciw Rosyi, Austryi i Prusom na dźwignienie Polski. Był to rodzaj zawrotu głowy przy najlepszych sercach«.

... Przeciwko partyi umiarkowanej, kupiącej się koło Barsa, Prozora i Wybickiego, wystąpiły do walki skrajne żywioły, które nie licząc się z istniejącymi stosunkami, chciały ojczyznę zbawiać gilotyną. Wśród demagogów, rekrutujących się głównie z dawniejszych współpracowników kuźni Kollatajowskiej, główną odegrywał rolę kasztelan Mniewski, dzielny partyzant z czasów insurekcji Kościuszkowskiej na Kujawach, ale polityk nieszczególny i wróg zawzięty Dąbrowskiego, wobec którego jeszcze z czasów powstania dawną żywił urazę i przeniósł ją w zupełności na Wybickiego, jako na przyjaciela i zwolennika generała. Koło Mniewskiego grupowała się łatwo zapalna młodzież emigracyjna, w gronie której zdolnościami, energią i ruchliwością wyróżniali się: Ksawery Dąbrowski, Hoszkiewicz i Pawlikowski. Ten ostatni chlubnie zaznaczył w latach następnych swą działalność, jako emisaryusz w prowincjach zabranych. Na razie jednak poryczeza młodzież nie oddawała dobrej przysługi naszej sprawie na bruku paryskim, a sejmikowe swary wychodźców, dzięki jej gadatliwości, nie pozostały też obcemi Francuzom. Naturalnem więc następstwem tych waśni był ujemny rezultat czynionych przez Wybickiego oraz Barsa w dyrektorjacie zabiegów, celem stworzenia osobnego legionu z jeńców i dezertarów galicyjskich pod komendą Wielohorskiego.

Dopiero przybycie Dąbrowskiego i złożony przez niego w dniu dziewiątym października t. r. rządowi memoriał w sprawie stworzenia legionu francusko-polskiego, nadały temu projektowi bardziej sprzyjającą postać. Generał pragnąc wy badać opinię dyrektorjatu w kwestyi polskiej, nie poprzestał na wręczeniu swego memoriału, lecz równocześnie upraszał o pozwolenie służby w sztabie generała Klebera, dowodzącego armią Sambry i Meuzy, zanim szczęśliwy zbieg okoliczności pozwoli

mu podnieść broń w sprawie uciśnionej ojczyzny. Na tę ostatnią prośbę otrzymał odpowiedź przyzwalającą już w dniu 25 października t. r., a zaopatrzoną w następujący przypisek ministra wojny, Petieta: »Ten znak zaufania ze strony rządu francuskiego« — pisał minister — »może ci służyć jenerale za rękojmię żywego zajęcia, jakiego w Twojej osobie chciał dać dowód wszystkim prawdziwym obrońcom wolności polskiej«.

W tydzień później, (w dniu 1 listopada t. r.), doniósł tenże Petiet jenerałowi, iż dyrektoryat nie mógłby wprowadzić według zasad konstytucyi zgodzić się na formację legionów w służbie francuskiej, lecz nie widzi żadnej niestosowności w tem, by owe legiony powstały u ludów, sprzymierzonych z rządem polską i dobijających się wolności, a zarazem załączał list dyrektoryatu wykonawczego do głównodowodzącego armią włoską jenerała Bonapartego.

»Patryoci polscy« — opiewało owe pismo — »pragnąc przysposobić środki, mające na celu odrodzenie ich ojczyzny, życzą sobie obywatelu jenerale znaleźć umieszczenie w wsławionych wojskach francuskich. Jenerał Dąbrowski zaproponował nam, abyśmy przyjęli w służbę rządu polskiego zbiegów z szeregów cesarskich. Stosownie do przepisów konstytucyjnych, nie może rząd francuski przyjmować do swego wojska cudzoziemców i z tego powodu projekt ów był niewykonalny. Niemniej jednak ze względu, iż rządem polskim nie jest obojętne ułatwienie Polakom dezercyi z szeregów cesarskich, wzywa cię dyrektoryat, abyś wyrozumiał, czy nie dałyby się skłonić prowizoryczne rządy Lombardyi i Modeny do przyjęcia ich w swą służbę...«

Pismo powyższe rozstrzygało w zasadzie kwestyę istnienia legionów na korzyść Polaków, choć ostateczne w tej sprawie postanowienie oddawało uznaniu Bonapartego. Pomysł ten w każdym razie rezultat przypisać należało wspólnemu poparciu ministrów wojny i spraw zewnętrznych, Petieta i Delacroix, tudzież reprezentanta rządu polskiego na dworze berlińskim Caillarda, udzielonemu memoriałowi Dą-

browskiego. Przypatrzmyż się treści owego aktu, poprzedzającego krótkim wstępem, omawiającym polityczne następstwa rozbioru Rzeczypospolitej, a projektującego stworzenie kilku legionów franko-polskich przy armiach francuskich, walczących nad Renem i we Włoszech. Legiony te miały tworzyć kadry przyszłej armii polskiej, dowodzone przez generałów, odznaczonych zaszczytnie w ostatnich walkach z Rosyą, oraz przez oficerów, odmawiających służby dworom rozbiorowym, podczas gdy szeregowców dostarczyć im mieli żołnierze z pułków galicyjskich armii austriackiej. Legionom przeznaczają autor memoryału w armii republikańskiej stanowisko korpusu ochotniczego, o którego przeznaczaniu należałoby postanowić w drodze osobnego układu dla Francji, jak dla Polski, pracowały one miały »nad utrzymaniem wśród patriotów w kraju pozostałych, usposobienia rewolucyjnego przeciw rządowi nieprzyjaznym Francji«. W dalszym ciągu memoryału rozwijał Dąbrowski myśl gromadzenia oddzielnego legionu pod protektoratem Porty i na jej terytorjum, oraz zbijał możliwe zarzuty, jakoby we Francji ze stanowiska polityki zagranicznej przemawiać się zdawały przeciw tworzeniu tych oddziałów.

Tak opiewała pierwotna osnowa projektu Dąbrowskiego, która w ciągu lat następnych doczekała się urzeczywistnienia, acz nie bez zmian, dyktowanych przez czynniki i względy różnorodnej natury. Na razie przychylna, choć nieco ogólnikowa odpowiedź dyrektoryatu zdawała się, zbywanym czerembi obietnicami wygnać, zapowiedzią tyle pożądaną doby czynu i pracy dla dobra ojczyzny. — »Nigdy nie byłem tak szczęśliwy« — opowiada nam w swym pamiętniku Wybicki — »jak gdy tę odpowiedź dyrektoryatu Dąbrowski mi zakomunikował. Prócz może jakiej tajnej, pojedynczej zazdrości, radość między nami była ogólna. Smuciło nas tylko to, że ani Dąbrowski, ani my nie mieliśmy na tę drogę pieniędzy. Ubóstwo było powszechne«.

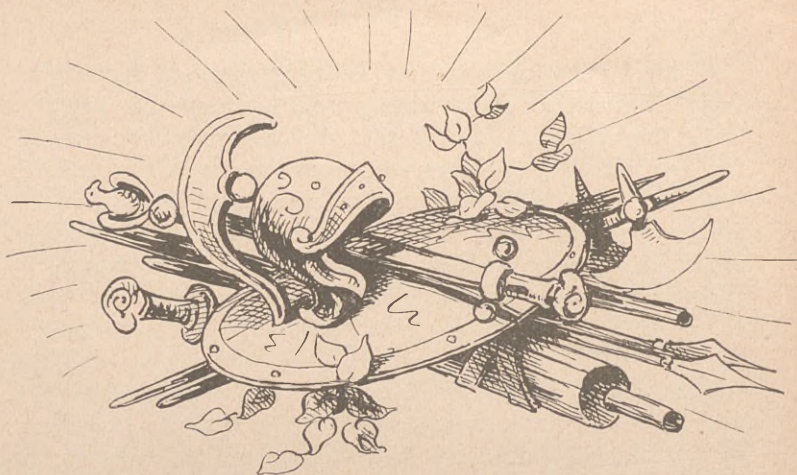
Ale i pod tym względem szczęście sprzyjało Dąbrowskiem. Niespodziewanie bowiem przybył do Paryża w owym czasie dawny jego adjutant, kapitan Zabłocki, przywożąc przeznaczoną dla Wybickiego sumę tysiąca czerwonych złotych. Rzecz oczywista, iż Wybicki nie omieszkiał użyć tych pieniędzy na wyprawienie Dąbrowskiego do Włoch i po pokojowym załatwieniu sprawy generała z Zajączkiem, poduszczonym przeciwko niemu z powodu rzekomej obrazy honoru, mógł się udać przyszyły twórca legionów na pole swej chlubnej działalności.

Powodem urazy Zajączka, której i później dawał niejednokrotnie dowody wobec wodza legionów, była krytyka jego działalności militarnej wyrażona przez Dąbrowskiego w bezimiennie wydanem dziełku p. t.: *Beitrag zur Geschichte der pohlnischen Revolution im Jahre 1794. (Frankfurt und Leipzig 1796)*. Natomiast Dąbrowski, pojednany z Zajączkiem, nigdy nie wspominał o swej publikacji, którą też przez długie lata mylnie przypisywano Zabłockiemu, to znów Molskiemu.

W połowie listopada t. r. był już Dąbrowski w Bazylei, zkąd wyprawił do Klebera list, tłumaczący powody, dla których nie może walczyć pod jego rozkazami, tudzież upraszał, by raczył się zaopiekować Polakami, przybywającymi do jego obozu i umożliwił im połączenie się z ziomkami pod sztandarami legii. Dzielnym Kleber nie odmówił zadośćuczynienia rzeczowej prośbie, a nawet ofiarowywał swe osobiste usługi na wypadek zbrojnego powstania w Polsce, która — jak się wyrażał — na to została stworzoną, aby używała wolności...

— Otóż tu był zaród tych sławnych legii — słowa Wybickiego — o których pewno dzieje świata nie zapomną. Wyłożyłem szczerą ich historię, że ja do ich związków największą się przyczyniłem. Mało mi w tem współcześni oddali sprawiedliwości, ale moje hasło jest tylko: *ut sit bene patriae!*





II.

Nie pozostał też bezczynnym klub patryotyczny w Wenecyi, któremu świeżego bodźca do działania dostarczyło oświadczenie przejeżdżającego przez to miasto w lecie 1795 r. do Stambułu posła rzeczypospolitej Verninac'a, iż Francya uśmierzywszy anarchię, szarpiącą jej łono, teraz bardziej niż kiedykolwiek skłonna jest do podania pomocnej dłoni wszystkim narodom, wybijającym się na wolność. Zarazem wskazał dyplomata paryski na konieczność utrzymywania polskiej reprezentacji przy dworach: szwedzkim i tureckim, przyrzekając z swej strony jak najżyczliwsze poparcie wysłannikowi klubu, przybywającemu nad Bosfor. Zaraz po wyjeździe Verninac'a oglądnęli się przebywający w Wenecyi ziomkowie za odpowiednią osobistością, któraby godnie reprezentować mogła sprawę naszą wobec Porty. Wybór ich padł na Michała Ogińskiego, byłego podskarbiego litewskiego, jednego z najczynniejszych członków klubu weneckiego, który na ogólne

naleganie przyjął zaofiarowany mu mandat, zaś zawiadomiona o jego postanowieniu deputacja polska w Paryżu nie omieszkała zatwierdzić tego wyboru i zaopatrzyła udającego się na wschód wysłannika w listy polecające, uzyskane od komitetu dobra publicznego, tudzież w jak najszczegółowsze instrukcje. Wśród takowych najważniejszym bezwątpienia było polecenie, dane Ogińskiemu, by wyjednał u rządu sułtańskiego zezwolenie na gromadzenie się wychodźców polskich w Mołdawii, w okolicy Botuszan i Chocimia z równoczesnym wydaniem rozkazów dla gospodarów Multan oraz Wołoszczyzny, aby przyjmowali wychodźców polskich do swych posiadłości, nie przeszkadzając im w tworzeniu siły zbrojnej. Czynności przygotowawcze oraz korespondencya, przeprowadzona w sprawie misji Ogińskiego między Paryżem a Wenecją, trwały do września 1795 r. a niemałą trudność w wyprawie naszego reprezentanta przedstawiał zupełny brak potrzebnych na tak kosztowną podróż funduszków. Ogromne dobra podskarbiego, czyniące milionową intratę, zostały zabrane przez rząd rosyjski i tylko z największą trudnością udało się Ogińskiemu wydestać sumę dwu tysięcy dukatów, przedstawiającą ostatnie okrucy jego fortuny. Tak więc w dniu czwartym listopada t. r. odpłynął Ogiński z Wenecyi za fałszywym paszportem Jana Riedla, kupca i obywatela rzeczypospolitej francuskiej do Neapolu. Atoli wydostanie się z portów włoskich w dalszą drogę, przedstawiało dla niego znaczne trudności, gdyż posłowie rosyjscy w Rzymie i w Neapolu, uprzedzeni przez swych szpiegów o bytności podskarbiego oraz o celu jego podróży na wschód, dokładali wszelkich starań, by go dostać w swe ręce i dopiero po dłuższej wędrówce od miasta do miasta udało się Ogińskiemu omylić czujność ścigających go zbirów i odpłynąć z Liworno do Smyrny. Z początkiem marca 1796 r. stanął wreszcie wysłannik emigracyi w Stambule i porozumiał się bezzwłocznie z Verninakiem, lecz zaraz z pierwszej z nim rozmowy odniósł to przykre przekonanie, że poseł rzeczypospolitej nie żywi już tych pomysłnych nadziei dla sprawy pol-

skiej, z jakimi nie tał się wobec klubistów podczas swej bytności w Wenecyi ubiegłego lata. Głównem zadaniem Verninac'a było wciągnięcie Turcyi do kontr-koalicyi, do której prócz Francyi należeć też miały Szwecya i Dania. W zamiarach dyrektoryatu leżało następnie wypowiedzenie wojny Rosyi przez Turcyą, Danią i Szwecyą, którym Francya miała popieszyć z pomocą. Śmiały ten plan musiał wszakże pozostać w sferze projektów, gdyż wszelkie zabiegi francuskiego posła rozбивały się o intrygi rosyjskie, posiłkowane sutem szafowaniem pieniędzy oraz podarunków między wpływowych członków rady padyszacha. Tak więc Verninac nie był szczęśliwszym od swych poprzedników i tyle tylko zdołał u Porty uzyskać, iż zalecono gospodarowi wołoskiemu, księciu Morucci, aby nie wzbraniał gromadzić się Polakom na swem terytorjum.

Tymczasem w Galicyi wrzało, gdyby w kotle. Utworzone przez konfederacyą krakowską kluby w Dreźnie i we Lwowie nawiązały stosunki z rodakami, przebywającymi w Hamburgu, w Karlsbadzie, i w Frankfurcie, z kąd wysyłano byłych wojskowych do Francyi, podczas gdy klub Iwowski wyprawiał ochotników do Multan i Wołoszczyzny. Na czele lwowskiego klubu patryotycznego stali głośni adwokaci tamtejsi: Franciszek Węgłęński, późniejszy minister sprawiedliwości w Królestwie Polskiem i Nowakowski, tudzież obywatele Grzymała i Waleryan Dzieduszycki. Ten ostatni przysyłanych do Jabłonowa legionistów zaopatrywał w pieniądze, a kozacy Dzieduszyckiego przeprowadzali ochotników przez granicę multańską pod Filipowce. Tam stali kwaterą wicebrygadyr Joachim Denysko i major Marchocki na czele sześćdziesięciu ludzi. Od Filipowiec snuły się nieprzerwanym łańcuchem dalsze stacje legionistów, których głównym przytułkiem był Bukareszt, dzięki opiece, jakiej używał Polakom tamtejszy konsul generał Carra-Saint-Cyr.

Bliskość granicy multańskiej a po części też oszczercze pogłoski, rozszerzane przez niewtajemniczonych w działania

wychodźców, przebywających w Paryżu, były powodem, iż znaczna część byłych wojskowych oraz patryotycznej młodzieży podążyła na Wschód. Nie brakło też w Galicyi demagogów, utrzymujących z całą stanowczością, że Bars, Wybicki i Wielohorski żyją po pańsku w stolicy Francyi, czerpiąc środki z nadesłanych im na cele patryotyczne funduszków, podczas gdy ogół wychodźców o chłodzie i głodzie zbija bruki w Paryżu i w Wenecyi. Pogłoski te były oczywiście bezczelnem kłamstwem, tem ohydniejszem, że rzucono je przeciw ludziom wypróbowanej cnoty obywatelskiej. Na razie jednak potwarz poskutkowała. Jakaś część gorętszych żywiołów pozostała w kraju. Wielu pospieszyło do Multan, a nierównie mniejszy zastęp patryotów podążył do Francyi.

Tym sposobem nagromadziło się na Wołoszczyźnie i w Multanach około dwóch tysięcy byłych wojskowych polskich; w tej liczbie około pięćdziesięciu oficerów, wśród których znacznieszą odgrywali rolę: pułkownik Krynicki, podpułkownik Kosmowski, major Tremo i porucznik Melfort. Nadto znaleźli się w gronie starszyny przyszlých legionów znani później: pułkownik Jabłonowski, wicebrigadyer Denysko, podpułkownik Korycki, majorowie Marchocki i Brodziszewski, kapitanowie: Kochanowski, Żurawski, Turski, Brzozowski, Kurnatowski, Stokowski, Jastrzębowski i porucznicy: Bogdanowicz, Klicki, Mochnacki, Pieniążek, Radoński, Ostrowski, Sokolnicki, Działyński, Ziemecki, Skotnicki, Sienkiewicz, Zabiełło, Kirkor, Dobrzański, Kąsinowski, Morawski, Biernacki, Węgrowski, Dembiński, Gurowski, Radziwiński, Bilski, Szymanowski, Cielecki, Kicki, Grabiński, Sosnowski, Mielżyński, Wojniłowicz, Jeliński, Lipski, Zarzycki, Gąsiorowski, Zakrzewski, Morski, Wiśniewski i Majewski.

Niebawem zjawił się wśród tego grona rozbitków, skupionych w przeważnej części w okolicy Bukaresztu, Franciszek Ksawery Dąbrowski, zwany też Dambrowskim lub Dombrowskim. Osobistość to była w każdym razie niezwykła i zasługuje na osobną wzmiankę. Dąbrowski urodził się w roku 1772

w Łęczyckiem i już w szesnastym roku życia jako chorąży oraz delegat swego województwa przedstawiony został królowi. Rewolucya Kościuszkowska zastała go pułkownikiem, Naczelnik zaś wydał mu patent jeneralski z poleceniem wywołania insurrekcyi w w Łęczyckiem. Jakoż młody jenerał sprawił się dobrze. Opanowawszy Koło, skupił w tej miejscowości siły powstańcze z całego województwa, a zebrawszy do dwóch tysięcy kosynierów i czterysta jazdy, urządził na ciągnący z pod Warszawy oddział pruski zasadzkę w lesie pod Choinami. Prusacy, eskortujący znaczną partję jeńców polskich, zaskoczeni znenacka, złożyli broń. Uwolniwszy do półtora tysiąca jeńców powstańczych, przebrał ich Dąbrowski w zdobyte na prusakach mundury i w ten sposób podszedł czujność załogi pruskiej w Koninie. Wkroczył do miasta bez oporu i ogłosił w niem powstanie. Dąbrowski uwijał się po Wielkopolsce aż do grudnia 1794 roku, ucierając się szczęśliwie z komendami wojsk rządowych, lecz w końcu rozbity dostał się do niewoli. Niedługo wszakże cieszyli się Prusacy z pojmania śmiałego partyzanta, który już w styczniu roku następnego umknął w Poznaniu z więzienia i nie oparł się, aż nad Sekwaną.

W Paryżu — jak wiadomo — należał Dąbrowski do skrajnej partyi, a wszedłszy w stosunki z żywiołami rewolucyjnymi, istniejącymi na miejscu, z łatwością, właściwą zresztą młodocianym umysłom, przejął się ich zasadami, marząc o bezwzględnem zastosowaniu takowych na gruncie polskim. Młody, przystojny, ogładzony, mówił Dąbrowski po francusku jak rodowity Francuz, po Niemiecku jak Niemiec. Z domu, jak każdy szlachcic, wyniósł dokładną znajomość łaciny, a nie wiadomo już przy jakiej okazji nauczył się po turecku i po mołdawsku i temi językami wyrażał się wcale dobrze. Do Bukaresztu przybywał zaopatrzony w listy polecające z Paryża, a że piastował najwyższy wśród wychodźców stopień wojskowy, oraz posiadał sporo determinacyi i energii, więc też gromada tułaczów obwołała go swym naczelnikiem. Ponieważ

zaś Porta dość niechętnem spoglądała okiem na gromadzących się u jej granic wychodźców, podejrzewając ich o rewolucyjne tendencje, przeto dla zaspokojenia podejrzliwości członków Dywanu utworzyli wychodźcy jeneralną konfederacją Rzeczypospolitej Polskiej, formę związku, uznaną już przedtem przez władze tureckie i marszałkiem jej obwołali Dąbrowskiego. Wobec tego Porta tolerowała pobyt marszałka i jego podkomendnych na swem terytoryum, a kwatery, łożdu i żywności dostarczała Francya, uznając w ten sposób w Dąbrowskim naczelnika wychodźców.

Zrazu na liście wyborczej, ogłaszającej mianowanie Dąbrowskiego, figurowało zaledwo trzysta podpisów, gdyż oficerowie dawnej służby wahali się iść pod komendę gołowąsęgo niemal młodzika, ale starych rębajłów ujął sobie nowo kreowany marszałek brawurą, okazaną w pojedynku z oficerem francuskiej inżynierji, Dessaix. Sprawa ta przedstawiała się następująco :

Podczas obiadu u księcia Morucciego, na którym byli zaproszeni również oficerowie polscy, Dessaix, przebrawszy miarę w napojach, jał się natrzasać z odwagi Polaków, twierdząc, że gdyby mężnie stawali w boju, nie byliby upadli. Niewczesnego żartownisia usiłował zrazu Dąbrowski przekonać spokojną argumentacją, która, jak zwykle w takich razach, nie odniosła pożądanego rezultatu. Od słowa do słowa, przyszło do namiętnego sporu, w którego dalszem następstwie Dąbrowski zniewolonym był wyzwąć Francuza na pistolety. Zaraz też dnia następnego przyszło do spotkania za miastem. Dessaix, jako wyzwany, miał pierwszy strzał i ranił przeciwnika w nogę. Ale Dąbrowski strzelać nie chciał, twierdząc, że nie pragnie rozlewu krwi obrońców wolności i dopiero na usilne nalegania świadków wypalił w powietrze, chybiając rozmyślnie. Czyn ten wspaniałomyślny nie tylko pozyskał mu szczerą przyjaźń Dessaix'a, lecz spowodował zarazem Jabłonowskiego i Kosmowskiego do podpisania akcesu na akcie konfederacyjnym. Za ich przykładem poszli też inni starsi

oficerowie i liczba akcesów wzrastała z dniem każdym.

Umieszczone w gazetach hamburskich i frankfurtskich odezwy Dąbrowskiego, wzywające do zaciągania się pod jego sztandary, znajdowały w kraju posłuch tem większy, że w Galicyi, w zaborze pruskim i w rosyjskim teren od dawna był przygotowany przez wysłanników klubów patriotycznych. Ich to dziełem były karty, które zrazu rozrzuciono po wsiach i miasteczkach, a następnie rozlepiono i na rogach ulic Lwowa. Widniał na nich napis krótki, lecz wymowny:

Kto kocha Ojczyznę,
Niech spieszy na Wołoszczyznę!

Nie próżnował też w Stambule Ogiński, który starał się o nawiązanie stosunków z wszystkimi osobistościami wpływowemi. Pod tym względem wielce był mu pomocnym niejaki Ibrahim, renegat i Francuz z pochodzenia, który w swoim czasie wzięty do niewoli rosyjskiej, uszedł z niej i znalazł w Warszawie gościnne przyjęcie. Wywdzięczając się za nie, pomagał Ogińskiemu w jego zabiegach, a dzięki stosunkom, jakie posiadał wśród dygnitarzy Porty, mógł dostarczać polskiemu wysłannikowi jak najdokładniejszych informacyi. Od niego dowiedział się Ogiński, że mimo najlepszych chęci sułtana, sprawa polska liczy zawziętych nieprzyjaciół w gronie członków Dywanu, obrażanych nieustannie dumą republikańską Verninac'a, a przytem czułych niezmiernie na datki, których im nie szczędził poseł rosyjski, hr. Koczubej, z zasobnej swej szkatuły. W rzeczy samej wpływ caratu wzmagał się do tego stopnia w Stambule, iż w połowie lipca t. r. konsul rosyjski w Jassach zażądał aresztowania dziewięciu polskich oficerów, dążących do zbornego punktu legionów pod Bukaresztem. Uwięziono ich, okuto w kajdany i niewątpliwie pojmani zostaliby wydani w ręce rosyjskie, gdyby nie energiczny protest ajenta francuskiego, Emila de Gaudin. Pilnie też śledziła policya hrabiego Koczubeja wszystkie kroki Verninac'a i Ogińskiego. Przekupiono nawet ich służbę, która co wieczora zda-

wała jak najdokładniejsze sprawozdanie o czynnościach swych panów w poselstwie rosyjskiem.

Nie dziw przeto, że akcyja Verninac'a nie odnosiła po-myślnego rezultatu, tem bardziej, że przedstawiciel młodzieuchnej Rzeczypospolitej nie grzeszył wcale energią. Okazało się to najdowodniej w sposobie przyjęcia, jakiego doznali u niego wysłannicy galicyjscy, jenerał Rymkiewicz i pułkownik Jabłonowski, przybyli w ostatnich dniach maja do Stambułu w towarzystwie braci Szumlańskich i Blumera, oficerów, pragnących zaofiarować swe szpady sprawie narodowej. Verninac, zawiadomiony przez Ogińskiego o ich przybyciu, oświadczył gotowość przyjęcia delegatów galicyjskich, zaś co do oficerów oświadczył, iż jego zdaniem, każdy Polak, mający zamiar słu-żenia ojczyźnie własnem ramieniem, nie powinien wydaleć się z kraju, aby mógł korzystać z pierwszej, nadarżającej się sposobności w celu jego wyswobodzenia... Również niezdecydowaną była taktyka posła francuskiego wobec delegatów galicyjskich, którzy mu wręczyli listy od komitetu lwowskiego a oraz nadmienili o zawiązaniu konfederacyi krakowskiej. I oto przedstawiciel republikańskiej Francyi, głoszącej na każdym kroku wolność i braterstwo ludów, nie omieszkał wyrazić delegatom zdziwienia z powodu, iż Galicya, pozostająca już od dłuższego czasu pod panowaniem austryackiem, tak żywo zajmuje się sprawą niepodległości Polski, a wypytawszy się dokładnie o stan kraju, tudzież o możliwość powstania w Polsce, zakończył audyencyą oświadczeniem, iż w sprawach polskich, w myśl instrukcyi od swego rządu otrzymanych, może się znosić tylko za pośrednictwem Ogińskiego. Łaskawszym okazał się dla przedstawicieli Galicyi Verninac na drugiej z rzędu audyencyi, zapewne pod wpływem nowych wskazówek, otrzymanych z Paryża. Teraz dopiero zrozumiał intencye dyrektoryatu, który nagromadzeniem wychodźców polskich u granic Porty zamierzał ją w ten sposób zmusić do energiczniejszego wystąpienia przeciw Rosyi i wówczas udało się Ogińskiemu uzyskać za staraniem Verninac'a posłu-

chaniu u pierwszego dragomana księcia Morucciego, brata hospodara wołoskiego.

Morucci, będący oficjalnym tłumaczem Rajs-efendego, kierownika polityki zagranicznej, nie szczędził zwyczajem wschodnich dyplomatów, przychylnych oświadczeń. Turcyja — według jego zapewnień — była już w roku 1794 zdecydowaną na zbrojne wystąpienie przeciwko Rosyi, gdyby rewolucya kościuszkowska zdołała się dłużej utrzymać. Niesłusznym jest również zarzut — twierdził książę — jakoby i obecnie Turcyja była obojętną na losy Polski. Zarzut ten uczyniłoby raczej można rzeczypospolitej francuskiej, która skutkiem odniesionych zwycięstw coraz to więcej nabiera politycznego wpływu i przewagi w Europie. A przecież ta rzeczpospolita, zawierając z Prusakami pokój bazylejski, przepomniała o Polsce, chociaż jako zwycięzca mogła zwyciężonym Prusom dyktować warunki. Jakże wy chcecie — zapytywał w dalszym ciągu Ogińskiego — aby Turcyja sama rozpoczynała dla waszej sprawy wojnę i narażała się na przemoc ze strony mocarstw rozbiorowych? Jednak nie dajcie się tem zniechęcić, bądźcie roztropni i wytrwali, a czas dla was przyjdzie! W końcu zapewniał dragoman Ogińskiego, że pokój, jaki w niedalekiej już przyszłości zawrze Francya z dworem wiedeńskim, przyniesie niezawodnie korzystne dla Polski rezultaty, oraz, że Turcyja na wypadek dywersyi ze strony Szwecyi, nie omieszką wystąpić zbrojnie przeciw Rosyi i uzbroić Polaków przeciw caratowi.

Na razie jednak, prócz swobody organizowania się, jaką pozostawiał rząd turecki przebywającym na terytorium padyśzacha legionistom, nie uczyniła Porta żadnego kroku na korzyść naszej sprawy. Wychodźcy korzystali przeto z pozostawionej im swobody, ćwicząc się w obrotach wojennych i tworząc coraz to nowe kadry z świeżo przybywających ochotników. W liczbie tych ostatnich, prócz dawnych kościuszkowskich żołnierzy, nie brakło też zbiegów z armii austryackiej i rosyjskiej, tudzież parobków, uchodzących, zwłaszcza na Pokuciu,

przed branką rekruta. Wśród ludności wiejskiej w Galicyi najskuteczniejszą na rzecz legionów wiodli propagandę Ormianie, handlujący skórami, rozprowadzający zdolnej pod broń młodzieży, że na Wołoszczyźnie zbierają się Polacy, przyjmujący w swe szeregi uciekających przed branką. Jaki taki parobczak, mając do wyboru między poborem w rekruty, a służbą w legionach, przebywał wpływ Dniestr, by na multańskiej stronie podążyć pod narodowe sztandary. Utrzymanie porządku i karności wśród tak różnorodnych żywiołów, nie było rzeczą łatwą. Ochotnicy, trapieni beczynnością, gnani tęsknotą do Ojczyzny, nie przedstawiali materiału, podatnego do utrzymania w karchach dyscypliny wojskowej.

Słuszność atoli nakazuje przyznać Dąbrowskiemu, że wśród niezbyt sprzyjających warunków zdołał utrzymać jaki taki ład i spokój wśród swych podkomendnych, a ponieważ żołd na ich utrzymanie był bardzo szczupły, przeto przyszli legioniści zarabkowali wśród krajowców, jak który umiał. Dostarczano im z Galicyi sukna na umundurowanie, które zamieszkały na Pokuciu szlachcie Głowacki, przewoził do Bukaresztu. Legioniści sami szyli sobie mundury, złożone z kurty i siwych spodni z czerwonymi wyłogami, tudzież z białej czapki, obramowanej czarnym barankiem. Jednym z najkrzykliwszych podwładnych Dąbrowskiego był Joachim Denysko, szlachcie jednowioskowy na Wołyniu, który podczas kościuszkowskiej rewolucyi z patentem brygadiera wyprawiony został w rodzinne strony, celem wywołania w nich powstania. Nie wiele on tam wskórał orężnie, gdyż cała komenda Denyski składała się z trzydziestu pięciu jeźdźców, ale po upadku powstania, usadowiwszy się w Filipowcach, w pobliżu Okopów Świętej Trójcy, hałasował co niemiara, intrygując swą osobą i moskiewskich generał-gubernatorów i chocimskiego paszę. Zaalarmowany przez Tutolmina, pisał ks. Repnin, wielkorządca Litwy, energiczne noty do ambasadora rosyjskiego w Wiedniu, Razumowskiego. Przedstawiał w nich, że »Galicya jest gniazdem niebezpiecznych knozań, że wolno tam o wszyst-

kiem mówić głośno, a nawet porozumiewać się z pewnym panem Denyską, przywódcą stronnictwa rewolucyjnego, zamieszkałym blisko granicy cesarstwa austriackiego«. Osobistość hałaśliwego szlacheica stała się nawet przedmiotem dyplomatycznych kroków, poczynionych przez posła rosyjskiego hr. Koczubeja u Porty. Zakazano skutkiem tego Denysce pokazywać się w Chocimiu, więc nie tracąc czasu, zawitał pan brygadyer do Bukaresztu ku niemałemu utrapieniu tamtejszego konsula rosyjskiego, Seweryna. Odwiedzał Denysko konno wszystkie osobistości, najgorzej notowane w carskim konsulacie, przemawiał nawet do gawiedzi ulicznej, gromadzącej się wkoło niego, lecz nierozumiejącej ani słowa po polsku... Z Bukaresztu podążył niespokojny duch do Stambułu, gdzie Ogińskiemu z trudnością udało się wyrobić dla niego pozwolenie na dłuższy pobyt, i dopiero pod koniec roku 1796 widzimy Denyskę z powrotem w dawnej kwaterze, w Filipowcach.

Już w sierpniu 1796 roku nastąpiła w Stambule jedna z częstych zmian gabinetu — na niekorzyść Polski, gdyż zarówno pierwszy dragoman, ks. Ypsilanty, jak nowy rajs-effendy, byli zdeklarowanymi zwolennikami Rosyi. Wobec tego wpływ Verninac'a obniżył się do zera, a nawet przyszło do poważnych zatargów między Portą, a posłem, skutkiem których ten ostatni zagroził wyjazdem. Wielki wezyr nie omieszkał załagodzić nieporozumienia, a zarazem zapewnił Verninac'a, że stosunki Turcyi z Rosyą są do tego stopnia naprężone, że brak tylko formalnego wypowiedzenia wojny celem rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich. Pocieszał przeto poseł Ogińskiego nadzieją wojny z przyszłą wiosną, ale obietnica ta nie polepszyła bynajmniej stanu naszej sprawy.

W Paryżu rozdrażnienie umysłów wśród kolonii polskiej, wywołane bezskutecznem oczekiwaniem, doprowadziło do wręcz gorszących sporów, a równocześnie deputaci galicyjscy Rymkiewicz i Jabłonowski, otrzymali listowną nagane od klubu lwowskiego, że trawią czas bezczynnie i bez pożytku dla sprawy powstania. Z Wołynia, z Podola, z Korony

i z Galicyi dolatywały na daleki wschód wieści o niezadowoleniu ludności z najezdniczych rządów, ale ostatecznie prowincye te oglądały się na emigracyą, która na razie nie mogła się zdecydować na krok stanowczy, łudzona nieustannie półśrodkami francuskiej dyplomacyi. Dyrektoryat zdawał się znów pilniejszą zwracać uwagę na stosunki, panujące na wschodzie. Ustanowił nowych konsulów dla Multan i Wołoszczyzny, w osobach życzliwych Polakom agentów dyplomatycznych, Parandiera i Stymatego, podczas gdy dotychczasowy przedstawiciel rzeczypospolitej w Bukareszcie, wspomniany już poprzednio generał Carra-Saint-Cyr, objąć miał na wypadek wojny kierunek naczelny działań, dokonywanych przez Arnautów, oraz przez legionistów polskich. Przybył również na wschód generał Beaupoile, przysłany w charakterze instruktora legionu, ale też wszystko skończyło się na tych mianowaniach i wśród legionistów, zgromadzonych u multanśkich kresów, wzburzenie, wywołane ciąglą przewłoką chwili boju, niepokojące poczęło przybierać rozmiary.

W tym stanie rzeczy otrzymał Ogiński od komitetu paryskiego zlecenie, by starał się porozumieć z Sułkowskim, adjutantem Bonapartego. Na wystósowane do niego listy odpowiedział Sułkowski propozycyą, by Ogiński wyprawił do generała list w imieniu ziomków, gdyż zainteresowanie go sprawą Polski, może nam przynieść znaczne korzyści. Tak się też stało. Ogiński wygotował żądane pismo, które w dniu 26 sierpnia t. r. wysłał Verninac wraz z innemi papierami poselstwa do głównej kwatery Bonapartego. Ważny ten dokument, prócz odpowiedniego wstępu, wielbiącego zasługi generała, zawierał ustęp następujący:

»... Piętnaście milionów Polaków, niegdyś niepodległych, a dziś ofiar przemocy i intryg niecnych, zwracają oczy ku tobie, jenerale. Przelecieć radziły przestrzeń, dzielącą ich od ciebie, aby jeno dzielić z tobą niebezpieczeństwa, uwięzić cię nowemi wawrzyny i do imienia zwycięzcy dołączyć ci nazwę ojca uciśnionych. Jenerale! Nie trać z oczu narodu,

którego nieszczęście na twój udział zasługuje, który tylko dlatego cierpi, że pragnął zapewnić swej ojczyźnie wolność i niepodległość. Ty jesteś jednym z tych, których wpływ ułatwi może Polakom sposób do zrzucenia obrzydłego jarzma, znoszonego z niecierpliwością. Jako obywatel francuski znajdziesz, jenerale, jeszcze więcej powodów do podania nam uciśnionym ręki, a patryotyczny zapał Polaków, wspierany twemi zdolnościami, zdoła wkrótce wszystkie przeciwności pokonać. Pokąd istnieje Francya, nikt nie będzie śmiał twierdzić, że Polacy skazani są na niewolę i ucisk, a chociażby nam zgodność uczuć, żywionych do obu narodów, nie dawała pocieszającej pewności, to zaufanie i przyjaźń nasza dla Francuzów zapewnią nam niechybnie braterskie wsparcie z ich strony. Spiesz, jenerale, oznajmić światu, że Francya upatruje swą najwyższą sławę w obronie uciśnionych i w zapewnieniu szczęścia ludom, wzywającym jej opieki. Spiesz spełnić nasze życzenia i nadzieje. Powróć Europie równowagę, oddając ludom wydartą im wolność i niepodległość. Działaj tak, aby od Włoch aż po źródła Borystenu prawa swe odzyskujące narody, uczciły w tobie zarazem bohatera i przyjaciela ludzkości!...«

Zanim jeszcze nadeszła odpowiedź na powyższe pismo, uznał dyrektoryat za stosowne odwołać nieudolnego Verninac'a, mianując w jego miejsce przedstawicielem Rzeczypospolitej w Stambule energicznego, lecz i awanturczego potroszę jenerała Aubert-du-Bayet. Verninac, chcąc przynajmniej na odjeździe pozostawić po sobie dobre wspomnienie, zajął się życzliwie losem polskich wychodźców, którzy tem bardziej potrzebowali jego opieki, ile że zarówno władze hospodarskie, jak i pasza chocimski, poczęli ich niepokoić. Nie udało się wprawdzie posłowi uzyskać od rządu sułtańskiego oficjalnego fermanu, pozwalającego Polakom pobytu w posiadłościach padyszacha, ale w drodze poufnej wydała Porta hospodarom oraz paszy polecenie, by pozostawiono wychodźców polskich tak długo w spokoju, dopóki oni nie narażą swem postępo-

waniem rządu tureckiego na nieprzyjemności ze strony Austrii i Rosyi. Ostrzeżenie to na razie poskutkowało i znów spokój zapanował u multaniskich kresów.

Nareszcie w dniu drugim października 1796 r. przybył do Stambułu długo oczekiwany Aubert-du-Bayet, którego szlachetna i ujmująca powierzchowność w połączeniu z marsową postawą prawdziwego żołnierza, sprawiły na wszystkich jak najlepsze wrażenie. Niebawem po przybyciu udzielił generał posłuchania Ogińskiemu, wobec którego nie ukrywał programu swej politycznej działalności, obejmującego obok odebrania caratowi Krymu, także projekt restauracyi Polski. Wprawdzie w instrukcyach pisemnych, udzielonych generałowi przez dyrektoryat, była tylko ogólna wzmianka o kwestyi polskiej, lecz w ustnych poleceniach otrzymał on, jak twierdził wobec Ogińskiego, zupełne pełnomocnictwo do działania, które w danym razie zamierzał rząd rzeczypospolitej poprzeć wysłaniem korpusu trzydziestotysięcznego, celem wspólnej akcji z Turcyą i z Polakami przeciw Rosyi. W dalszym ciągu rozmowy zalecał Aubert-du-Bayet Polakom ten sam sposób prowadzenia walki, jakiego się trzymali szuani w Bretanii, przyczem nie szczędził pochwał dla waleczności naszych rodaków, o której słyszał od oficerów francuskich, walczących w szeregach Barszczan. Przychylne to przyjęcie zdało się Ogińskiemu stanowczą zapowiedzią lepszego niż dotychczas powodzenia sprawy przez niego reprezentowanej, a jakkolwiek na pozytywny rezultat zabiegów nowego posła czekać znów wypadało przez czas dłuższy, to przecież otucha wstąpiła w serca dręczonych niepewnością rozbitków. Uczucie powodzenia spotęgowało się jeszcze bardziej pod wpływem listu, otrzymanego w ostatnich dniach października od Sułkowskiego, a przedstawiającego niejako odpowiedź na wyprawione do Bonapartego pismo. Generał — pisał Sułkowski do Ogińskiego — przeczytawszy wasz list, zamyślił się przez czas niejaki i rzekł następnie: Cóż mam odpowiedzieć? Cóż mogę obiecać? Napisz do twego rodaka, że kocham Polaków, że ich wysoko cenię, że podział Polski

jest czynem niesprawiedliwości, który się nie może utrzymać, że po skończeniu wojny we Włoszech pójdę sam na czele Francuzów, aby zmusić Rosyan do przywrócenia Polski. Lecz powiedz mu także, że Polacy nie powinni się spuszczać na pomoc zagraniczną, że powinni się sami uzbroić, niepokoić Rosyan, utrzymywać stosunki z krajem. Wszystkie piękne słowa, jakie im będą prawili, nie doprowadzą do niczego. Znam język dyplomatyczny i niedołęstwo Turków. Naród, zgnieciony przez swych sąsiadów, może się tylko podnieść z bronią w rękę!

Energiczna ta odprawa była zresztą zgodna z intencjami rządu rzeczypospolitej, zamierzającego ponownie stworzyć przeciwko Rosyi potężną koalicją, złożoną z Prus, Turcyi, Szwecyi i Danii. Na hasło, dane przez koalicją, miało wybuchnąć w Polsce powstanie. Ale plan ten, przypominający zresztą bardzo dokładnie podany gabinetowi berlińskiemu projekt Henryka Dąbrowskiego, rozbił się o ospałość Turcyi, której nawet energia nowego posła francuskiego przewyciężyć nie zdołała. Fatalne: *Bakałym*, (Zobaczmy), było jedyną odpowiedzią, jaką Aubert-du Bayet zdołał wydstać od apatycznych sterowników państwowej nawy tureckiej. Widząc to przedsiębiorczy generał postanowił użyć środków, któreby koniecznie musiały popchnąć Turcyą do zbrojnego wystąpienia przeciw caratowi. Jedną z takich sprężyn była kwestya polska, drugą szalona ambicya Paswana-Oglu, paszy widdyńskiego, który niezadowolony z udzielnego faktycznie władania powierzoną mu prowincją, pragnął rozszerzyć swe panowanie na Bośnią. Postarał się przeto Aubert du Bayet o zamianowanie generała Carra Saint Cyr jenerałnym konsulem na Multany i Wołoszczyznę, zalecając mu, by za pośrednictwem Franciszka Dąbrowskiego starał się zbliżyć do paszy widdyńskiego.

Dla Dąbrowskiego zlecenie podobne nie było może pożądanem, gdyż niecierpliwy naczelnik wychodźców, znużony dyplomatycznymi układami, zamierzał niezwłocznie wpaść na czele swego oddziału do Galicyi i na własną rękę rozpocząć

powstanie. Równocześnie klubisci paryscy domagali się natychywie powrotu Ogińskiego nad Sekwanę, celem naradzenia się nad planem dalszego działania. Wysławszy do Dąbrowskiego list pełen zakłęb na miłość ojczyzny, by powstrzymał swych podkomendnych od kroku, mogącego na szwank narazić sprawę narodową, pospieszył Ogiński do poselstwa francuskiego z relacją o gotujących się wypadkach. Ale Aubert-du-Bayet nie podzielał bynajmniej jego obaw. Przeciwnie, twierdził, że zebrani na kresach legioniści muszą mieć stonki i wiadomości z Galicyi i że śmiały ten krok może sprawie polskiej lepsze oddać usługi, niż wszystkie dotychczasowe, bezowocne w gruncie rzeczy pertraktacje. Według przewidywań jenerała, Turcy, skompromitowani inwazyą wychodźców, którym udzielili przytułku, zmuszeni będą rozpocząć przygotowania wojenne, a nadto wyprawa ta spowodowałaby dywersyą wielce korzystną dla armii francuskiej, działającej we Włoszech. Dwór wiedeński, zastraszony powstaniem w prowincyi, ogołoconej prawie zupełnie z wojska, zawrze niechybnie pokój z Francją, a wówczas dyrektoryat nie omieszką oddać do jego dyspozycyi trzydziestu tysięcy wojska, na czele którego poprze on działania powstańców przeciw Rosyi. Cały ten plan, osnuty z isticie francuską żywością, w ciągu kilku minut, zakończył Aubert-du-Bayet przytoczeniem cytatu z Voltaire'a: *Mądry przegadał, ale głupi pobił...* Nie podzielał optymistycznych poglądów francuskiego posła Ogiński, a twierdząc, że w porze zimowej, jako nieodpowiedniej do rozpoczęcia kampanii, obecność jego w Stambule jest niepotrzebną, postanowił usłuchać wezwania klubistów paryskich, a zarazem przekonać się o rzeczywistem usposobieniu umysłów, panującym w kraju. Przedstawivszy więc posłowi jenerała Rymkiewicza jako swego zastępcę, uzyskał od niego paszport, opiekający na imię obywatela francuskiego, kupca Martina, tudzież jańczara, jako eskortę. Nadto zaopatrzył poseł Ogińskiego w ferman sułtański, zapewniający mu bezpieczny przejazd aż do granicy. Mimo tej troskliwości, pokpił poczciwy Aubert-du-

Bayet sprawę, gdyż skutkiem wrodzonego mu roztargnienia zdradził mimowolnie *incognito*, dotychczas bardzo troskliwie przez Ogińskiego przestrzegane, tytułując go podczas obiadu pożegnane, danego na cześć jego w poselstwie, obywatelem-jenerałem, to znów hrabią... Nieuwaga ta miała dla Ogińskiego bardzo przykre następstwa, gdyż o mało co nie stała się przyczyną jego aresztowania podczas podróży.

Opuściwszy Stambuł w dniu czwartym listopada wraz z Denyską i z porucznikiem kawalerji narodowej Brodkiewiczem, stanął Ogiński w tydzień później w Bukareszcie, gdzie przedewszystkiem z ust jenerała Carra Saint Cyr, wysłuchać musiał zażaleń przeciwko Dąbrowskiemu oraz jego oficerom, którzy zawiązali między sobą rodzaj radykalnego klubu. Wprowadzony do tego klubu przez Dąbrowskiego i zapoznawszy się z jego czynnościami, zaprotestował Ogiński przeciw dalszemu istnieniu tej instytucji w imieniu posła francuskiego. Nie chcąc atoli zrażać młodego wodza, zrobił mu nadzieję, że mianowanie jego marszałkiem konfederacji, acz dokonane bez zgody i wiedzy Francji, uzyska zatwierdzenie ze strony jej przedstawicieli. Ujęty tem zapewnieniem, uznał Dąbrowski za stosowne, wtajemniczyć gościa w swe plany wojenne. Oto zamierzał on przekroczyć już w najbliższej przyszłości granicę galicyjską, a złupiwszy komory austriackie, użyć pozyskanych w tej drodze funduszów na wyekwipowanie swego oddziału i zaciąg świeżego rekruta. Z pomnożonemi w ten sposób siłami stanąłby na Trzy Króle we Lwowie podczas odbywających się w owej porze kontraktów. Zabranie kapitałów, przywiezionych na kontrakty do miasta, ogłoszenie rewolucji społecznej i powołanie pod broń wszystkich zdolnych do boju — oto były dalsze projekty Dąbrowskiego, który napojony nad Sekwaną destrukcyjnymi teoryjami tamtejszych jakobinów, chciał przenieść okropność francuskiej rewolucji na grunt narodowy.

»Niepodobna mi wyrazić zgrozy, jaką byłem przejęty dla człowieka, który śmiał powziąć tak zbrodniczy zamiar« — pisze w swych wspomnieniach Ogiński. — »Nigdy dowódzca ban-

dytów nie mógłby ułożyć potworniejszego planu. Tymczasem byłem wdzięczny Dąbrowskiemu za wyznanie tego wszystkiego, a ukrywając o ile możności przykre wrażenie, jakie uczyniło na mnie wyjawienie tego projektu, który nakreślił własną ręką, nie chciałem dalej drażnić go, obrażając wyrzutami, lecz w imieniu Auberta-du-Bayet zakazałem mu czynienia najmniejszych poruszeń z wojskowymi polskimi, bez wyznania takowego jemu i bez jego pozwolenia. Pogroziłem mu, że go każę aresztować, gdyby działał wbrew temu rozkazowi i kazałem sobie wydać ten plan i wszystkie dokumenta, odnoszące się do niego w zamiarze oddania ich na pastwę płomieni, aby nawet nie pozostawić śladu, że Polak mógł go powziąć.

Zupełnie odmiennie przedstawia smutne owe zajście Stanisław Kosmowski w swym pamiętniku. Według Kosmowskiego, spotkanie Ogińskiego z Dąbrowskim nastąpiło w Jassach, po powrocie tego ostatniego z Widdynia. »Dąbrowski uprzedzony odemnie o tym magnacie« — słowa pamiętnika — »ostrożny, żartował z niego. Ten obrażony powiedział coś przykrego Dąbrowskiemu, który porwawszy go za piersi, wyrzucił go za drzwi, kazał aresztować i chciał go nazajutrz kazać rozstrzelać, lecz Jabłonowski, pułkownik, któremu był Ogiński pod straż dany, że go w nocy wypuścił, odprowadzał do granicy, z kąd nie śmiał się wrócić do nas i z Ogińskim dalej pojechał...« Mimo sprzeczności w obu tych relacjach, więcej, naszym zdaniem, na wiarę zasłużyła wzmianka Ogińskiego, gdyż o terroryzmie, objawianym przez wychodźców na Wołoszczyźnie, znajdujemy bardzo dosadne świadectwo także w pamiętnikach szefa Drzewieckiego, który i jako szwagier Denyski, oraz jako jeden z główniejszych działaczy w sprawie legionów, był dokładnie obeznany z rzeczywistym stanem rzeczy. »Zgromadzenie wołoskie« — mówi pan szef — »było z terrorystów złożone i niepewne dla spokojnych obywateli. Dało tego dowody na Sierpińskim, którego uważając za przysłałego szpiega od Stanisława Augusta, bo on się jego młodością opiekował, zamordowano hufnalami w głowę zabijanymi, zyskawszy wprzód

pozwolenie osadzenia go pod wartą ludzi przy konsulu francuskim w Jassach będących. Zadrżał każdy na gwałtowność taką, lecz odierać jej nie śmiano«.

Powróćmy wszakże do przerwane go opowieści. Ogiński przed opuszczeniem Bukaresztu zaklął raz jeszcze zebranych oficerów polskich, by przed jego powrotem z kraju nie czynili żadnego kroku bez wiedzy generała Carra-Saint-Cyr, którego powiadomił o zamiarach Dąbrowskiego, poczem wyruszył w drogę ku granicy. Pierwotnie zamierzał okrążyć Jassy, ale za przyjazdem do Fokszan, oświadczone mu, że bez pozwolenia hospodara dalsza podróż jest niemożliwa. Chcąc nie chcąc, musiał Ogiński wrócić do Jass, gdzie na parę dni przed jego przybyciem pojmano i wydano konsulowi rosyjskiemu kilku wojskowych polskich. Że nie spotkał los podobny podskarbiego, to zawdzięczał on jedynie opiece towarzyszącego mu jańczara, który zaręczony głową posłowi francuskiemu, że jego protegowanego cało odstawi do granicy, pospieszył zaraz po przyjeździe do Jass do konaku hospodarskiego, by na mocy fermanu domagać się natychmiastowego wyprawienia francuskiego kuryera. Stanowcze wystąpienie jańczara poskutkowało. Spatary multańscy, podejrzewający w Ogińskim przebranego emisariusza, nie ważyli się stawiać oporu sułtańskiemu słudze i szczęśliwie dotarli nasi podróżni do wsi granicznej, gdzie Denysko miał znajomego rządzcę Głowackiego, który obiecał przeprowadzić Ogińskiego przez kordon austriacki, pilnie strzeżony z powodu zarazy. Odprawiwszy jańczara do Sambułu, pozostawił Ogiński Denyskę na granicy z poleceniem oczekiwania dalszych rozkazów, sam zaś wiedziony przez jednego z legionistów, znajomego wszystkie ścieżki wzdłuż granicy, przedostał się mimo śnieżycy, utrudniającej wielce drogę, na galicyjską stronę. Najbliższym przystankiem dla niego był Jabłonów, rezydencya zacnego patrioty, Waleryana Dzieduszyckiego, który wśród związkowych galicyjskich, jedną z najczynniejszych ról odgrywał. Dzieduszycki przyjął gościa z otwartymi rękoma, a korzystając z przyjazdu Ogińskiego w porze

nocnej, przebrał go na prędcę, kazał mu zgolić wasy i przedstawił nazajutrz domownikom jako Raczyńskiego, muzyka, przybywającego z Warszawy. W ten sposób upłynął cały tydzień. Ogiński, który niezłe grywał na skrzypcach, akompaniował hrabiance Anieli, znakomitej pianistce, a wieczorami przy drzwiach zamkniętych, naradzał się z gospodarzem co do dalszego działania w sprawie legionów. Dzieduszycki, powiadomiony o wszystkim przez przybyłego, postanowił zaprosić podczas świąt Bożego Narodzenia do Jabłonowa na poufną naradę Grzymałę, Leszczyńskiego, Raciborowskiego, Trzecieckiego i Nowakowskiego, głównych inicjatorów aktu konfederacji krakowskiej.

Tymczasem już dnia dziesiątego pobytu Ogińskiego w gościnnym domu Dzieduszyckich, pojawił się w Jabłonowie naczelnik cyrkułu i przedłożył hrabiemu najnowsze okólniki do przejrzenia. Jeden z tych aktów zawierał doniesienie, dotyczące osoby eksposkarbiego. Wiedzano już z całą dokładnością, że Ogiński przez dziewięć miesięcy bawił w Stambule, jako agent klubistów paryskich, że opuścił to miasto pod przybranym nazwiskiem Martina, kupca, zaopatrzonego w paszport francuski, oraz w ferman sułtański, że w końcu udał się do Galicyi. Polecał przeto ów okólnik cywilnym i wojskowym władzom galicyjskim, by przybysza pojmały i wraz ze znalezionymi przy nim papierami odstawiły do Wiednia, a zarazem groził wszystkim mieszkańcom jak najsurowszą odpowiedzialnością za danie przytułku poszukiwanemu. Do listu gończego dołączony był jak najdokładniejszy rysopis Ogińskiego, który obejmował nawet najdrobniejsze szczegóły porzuconej przez niego za przyjazdem do Jabłonowa odzieży. Na szczęście naczelnik cyrkułu nie domyślił się w Raczyńskim, muzyku warszawskim, tyle niebezpiecznego emisaryusza i odjechał najspokojniej do domu. Odtąd jednak zarządzono w jabłonowskim dworze jak najściślejsze środki ostrożności i Ogiński przeważną część dnia spędzał zamknięty w osobnym pokoju, niewidzialny dla obcych. W terminie oznaczonym stawili się w Jabłonow-

wie: Grzymała, Leszczyński i Raciborowski, by po odbytej naradzie postanowić, że przed oświadczeniem się Turcyi na rzecz Polski, oraz bez polecenia rządu francuskiego, aby zacząć stanowczo działać, nie należy przedsiębrać żadnych ważniejszych kroków. Na razie zaś zadecydowano wyjazd Ogińskiego do Paryża, celem porozumienia się z tamtejszymi patryotami i wybadania prawdziwych intencji dyrektoryatu. Prócz informacji piśmiennych, zaopatrzone Ogińskiego w listy polecające do klubistów nad Sekwaną, doręczono mu uwierzytelniony odpis aktu konfederacyi krakowskiej, a równocześnie wyprawiony został do Dąbrowskiego list z zakazem jakiegokolwiek akcji bez poprzedniego upoważnienia ze strony komitetu lwowskiego. List polecający do paryskich klubistów podpisali wszyscy uczestniczący w naradzie jabłonowskiej, upraszając patryotów, przebywających we Francyi, by zechcieli wspólnie i zgodnie działać. Wyrażano wobec nich zupełne zaufanie, lecz zwracano równocześnie uwagę naczelników klubu, by nie trudzili rządu francuskiego projektami przyszłej formy władzy w Polsce, lecz przedewszystkiem obmyśleli środki, z pomocą których możnaby wywalczyć niepodległość ojczyzny. Tak więc wyposażony w wszelakie pełnomocnictwa i zaopatrzony w potrzebne na podróż fundusze, wyruszył Ogiński w dniu dziesiątym stycznia 1797 roku pod opieką Dzieduszyckiego z Jabłonowa i jakkolwiek we wszystkich zajazdach po drodze figurował już jego rysopis, to przecież szczęśliwie dotarli nasi podróżni do Lwowa. W stolicy Galicyi godzinę tylko zabawił Ogiński i nie widząc się z nikim, na Kraków, Wrocław i Berlin pospieszał do Paryża.

Nie siedział też z założonemi rękoma Dąbrowski w Bukareszcie, a zdaje się, iż generał Carra-St. Cyr rozmyślnie patrzył przez palce na jego zabiegi, gdyż żadnych przeszkód nie stawiał czynnościom marszałka. Widocznie sądził, że ruch, wywołany na kreśach, jako kompromitujący Turcyę, może tylko korzyść przynieść sprawie Rzeczypospolitej. Dąbrowski zaczął od tego, iż wyprawił do Paryża umyślnego gońca

oświadczeniem, że w najbliższe święto Trzech Króli, stanie już we Lwowie. Wzywał przeto klub paryski, by jak najszybciej kończył przygotowania do wybuchu, tak, aby powstanie mogło się rozpocząć o jednym czasie na całej przestrzeni ziem dawnej Rzeczypospolitej.

Równocześnie wysłał Dąbrowski do Galicji pułkownika Krynickiego i majora Marchockiego celem werbowania nowych ochotników, zaś Jankowskiego wyprawił do klubów patriotycznych we Lwowie, w Krakowie i w Dreźnie po pieniądze. Osobną też misją otrzymał od niego Kosmowski, wysłany do Stambułu z zapytaniem, czy można obecnie nawiązać układy z Paswanem Oglu, a oraz z prośbą o oznaczenie terminu, w którym mają się rozpocząć działania wojenne. Żądał następnie Dąbrowski od posła francuskiego, by uzyskał od gospodarów wołoskiego i multańskiego dla niego pozwolenie na werbunek Arnautów, których cichaczem pozyskiwał sobie obietnicami sowitych łupów i rabunków, a w końcu domagał się, by obaj gospodarowie za poręką posła dostarczyli ochotnikom 3.000 koni wierzchowych. Prócz tych instrukcji jawnych, otrzymał jeszcze Kosmowski zlecenie popsucia kredytu w poselstwie francuskim Ogińskiemu. Tego ostatniego zadania podjął się wysłannik Dąbrowskiego tem chętniej, ile że wobec podskarbiego żywił niechęć jeszcze z kraju wyniesioną. Nie żałował też czarnych barw w odmalowaniu charakteru Ogińskiego u Auberta-du Bayet, który wprawdzie nabrał przy tej sposobności przekonania o przysłowionej, rzec można, niezgodzie wśród Polaków, ale żądaniu legionistów co do starania się o konie nie odmówił, a nadto przyrzekł im wyrobić potrzebne uzbrojenie, tudzież upoważnił Dąbrowskiego do bezwłocznego traktowania z paszą widdyńskim.

Ów Paswan czy też Passawan-Oglu, syn Passawana-Omara-Agi, wiódł od szeregu lat bój zacięty z wojskami padyszacha i opanowawszy Widdyń, ogłosił się władcą tej prowincyi. Paswan-Omar, schwytany przez władze sułtańskie, został ścięty jako buntownik. Lepiej powiodło się jego synowi

który ogłosiwszy się potomkiem kalifów, zebrał koło siebie liczne zastępy zbrojne i zwyciężkie z armią rządową staczał walki, aż w końcu Porta uznała za stosowne uspokoić zuchwałego rokoszanina, oddając mu w dziedziczne władanie paszalik widdyński wraz z godnością trzytulnego paszy. Stało się to dopiero w roku 1798, więc też w czasie formacji legionów na Wołoszczyźnie zaliczał się Paswan-Oglu jeszcze do malkontentów, chętnych w każdej chwili do poparcia mieczem swych uroszczeń. Do Widdynia wybrał się Dąbrowski w okazałej asystencji starszyny legionowej, w gronie której nie brakło oczywiście Kosmowskiego, świeżo przybyłego z Sztambułu, oraz tłumaczy dla języków wschodnich: Kristodola i Bogdanowicza. Już od granicy paszalicu towarzyszyła przybyszom zbrojna eskorta, pod której osłoną dostali się po dwudniowej podróży do Widdynia, silnie podówczas ufortyfikowanego. Nie zaraz wszakże puszczono ich do miasta i noc musieli spędzić w domu zajezdnym przed bramami Widdynia, gdyż wysłani do paszy oficer wraz z tłumaczem, oznajmiający przybycie Dąbrowskiego, powrócili dopiero późnym wieczorem. Nazajutrz już o godzinie piątej rano wysłał po swych gości Paswan-Oglu tłumacza, oraz dwudziestu jeźdźców, bogato przybranych i na dzielnych siedzących koniach. W ich towarzystwie wjechali Polacy do Widdynia, a następnie do konaku paszy. Przeszedłszy przez dziedziniec, otoczony wojskiem i działami, weszli goście do wnętrza budynku, gdzie w sali, otoczony licznym orszakiem, powitał ich Paswan-Oglu, powstaniem z sofy i przyłożeniem ręki do serca, poczem podał prawicę Dąbrowskiemu. Po wzajemnych przedstawieniach orszaku, podano Dąbrowskiemu niski taborecik, na którym usiadłszy wygłosił krótką przemowę do paszy. Sławiąc więc jego czyny i zdolności, które skłoniły Polaków do złożenia mu uszanowania, wyrażał wymowny marszałek nadzieję, że gospodarz, uprzedzony już o jego przyjeździe przez francuskiego posła, nie odmówi mu poufnej audyencji. Nie mniej uprzejmą była odpowiedź Paswana-Oglu, który oświadczył, że

zawiadomiony o przybyciu Dąbrowskiego, z upragnieniem oczekiwał chwili tej, by módz okazać sympatyą, jaką żywi dla każdego Francuza i Polaka. Zaraz też wschodnim zwyczajem podano sorbety w srebrnych, połączanych kubkach, kawę czarną w filiżankach z chińskiej porcelany, oraz luki zapalone, przyczem pasza — ciągle za pośrednictwem tłumacza — dopytywał się o rozmaite szczegóły z rewolucyi Kościuszkowskiej i wyrażał zdziwienie z powodu, iż Stanisław August zdał się na łaskę i niełaskę Rosyi. Gdy na usprawiedliwienie króla przytoczył Dąbrowski nierówny stosunek sił walczących, zawołał pasza w uniesieniu:

— Dla czego tak nie postąpił, jak Karol XII? Byłby w nas znalazł jeszcze lepszą protekcję, bo my umiemy szanować traktaty.

Po krótkiej jeszcze rozprawie o sukcesach orężnych rzeczypospolitej francuskiej, o czem Paswan-Oglu był bardzo dobrze poinformowany, odprowadzono gości do przygotowanych dla nich apartamentów, poczem nastąpił obiad, złożony z baraniny i z kapłonów. Dla Polaków nie szczędzono wina, którego gospodarz, jako ścisły przestrzegacz przepisów Koranu, wcale nie używał. Nazajutrz rano zaprosił pasza Dąbrowskiego wraz z całym orszakiem na popis swych wojsk. Zarówno piechota, jak jazda i artylerya, dowodzone przez francuskich oraz włoskich oficerów, manewrowały według najnowszej taktyki. Po przeglądzie Dąbrowski tylko w towarzystwie tłumacza udał się do zamiejskiego kiosku Paswana-Oglu, gdzie przez dzień cały odbywały się narady w obecności francuskiego rezydenta. Dąbrowski namawiał paszę, by, ogłosiwszy się dziedzicznym władcą opanowanych prowincyj, zajął MołdoWołoszczyznę, Bośnią oraz Siedmiogród, domagając się od Francyi uznania poczynionych zaborów. Dla pozyskania względów rzeczypospolitej, wypadłoby natomiast Paswanowi-Oglu posiłkować znaczniejszemi siłami wyprawę legionistów do Galicyi, skutkiem czego armia francuska snadniejby mogła skorzystać z poczynionej w ten sposób dywersyi.

Obietnica księżęcej mitry podziałała skutecznie na paszę, który na zaręczenie rządu francuskiego oświadczył gotowość posiłkowania legionistów ósmiotysięcznym oddziałem jazdy, a nadto przyrzekał dostarczyć pięćset koni i siodła wraz z bronią dla żołnierzy, wreszcie sto koni pod oficerów. Zastrzegął się wszakże najusilniej przeciw wciąganiu jego nazwiska do tej sprawy, żądając, by posiłkowy korpus, przysłany przez niego pod wodzą renegata Dechamp'a, uchodził jako zbiegły z pod sztandarów paszy. Tak więc ku wieczorowi plan wyprawy był już zupełnie wygotowany, a jak dalece projekt ten interesował Auberta-du Bayet, dowodziła najlepiej okoliczność, iż jeszcze podczas pobytu Dąbrowskiego w Widdyniu przybył tamże wysłany z ramienia posła generał Menon, który również namawiał Paswana-Oglu do uczestniczenia w zamierzonej ekspedycji.

Powróciwszy szczęśliwie do Bukaresztu, zajął się Dąbrowski gorliwie ekwipowaniem swego oddziału. Kosmowski, Tremo i inni zamawiali w okolicznych kuźniach lance w że-lazo oprawne, skupowali kulbaki, podczas gdy Denysko i Korycki targowali u bojarów konie, za które pieniądze mieli właściciele koni później otrzymać. Ponieważ jednak przyrządzone z Paryża fundusze nie nadchodziły, a termin ruszenia w pole się zbliżał, przeto wysłał Dąbrowski do Stambułu po pieniądze porucznika Bogdanowicza. Ale posłaniec powrócił z niczem. Aubert-du-Bayet oświadczył mu, że potrzebnej sumy jeszcze nie otrzymał, oraz zapewnił legionistów, że książe Morucci dostanie niebawem zlecenie dostarczenia im pięciuset koni. Obietnica ta nie zaspokoiła naczelników wychodźców, którzy po krótkiej naradzie przyszli do przekonania, że należy przygotować przynajmniej piki i siodła. W braku innych zasobów, sprzedał Dąbrowski własne brylanty, chowane na ostatnią potrzebę i uzyskawszy w ten sposób dziewięćset dukatów, polecił oficerom zakupować słane siodła, gromadzić lance z trójkolorowymi chorągiewkami, następcą zaś Morucc'ego w godności hospodarskiej, książe Ipsylanty, darował legioni-

stom sto siodeł. Kosmowski z polecenia marszałka konfederacji objechał wszystkie miejscowości, w których przebywali wychodźcy, z poleceniem, by w dniu oznaczonym stawili się pod Filipowcami. Oczywiście, iż nikt nie chybił na to wezwanie, a zapał trapiionych tęsknotą, przymierających częstoć głodem wygnańców, nie miał końca, ni miary, gdy usłyszeli z ust starszyny zapewnienie, że niebawem już ruszą na wroga. Lada dzień oczekiwał Dąbrowski ostatniego hasła od Auberta-du-Bayet, tem bardziej, że Paswan-Oglu zawiadomił go, iż wszystko przygotował do pochodu. Dnie wszakże mijały za dniami, nie przynosząc żadnej wiadomości z Stambułu. Rozpoczęła się i minęła zima bez żadnej odmiany w losie nieszczęśliwych rozbitków, wśród których coraz to bardziej potęgowały się rozpacz i zwątpienie.

Rozwijał też nadzwyczajną energię w tej sprawie lwowski klub patryotyczny, który, powiadomiony przez Ogińskiego o terrorystycznych zachciankach konfederacji, postanowił obejrzyć się za innym naczelnikiem powstania na wypadek wybuchu rewolucyi. Najodpowiedniejszą pod tym względem osobistością wydawał się lwowskim klubistom generał Kniaziewicz, przebywający u rodziny swej w Lubelskiem. Celem porozumienia się z generałem pojechał za kordon szef Drzewiecki, który w swej peregrynacji nie pominął też Warszawy, gdzie zawiązał tajny klub patryotyczny, a następnie sprowadził do Lwowa Kniaziewicza.

Tymczasem, gdyby grom z jasnego nieba, spadła wiadomość o zawarciu w dniu 18 kwietnia 1797 roku traktatu w Leoben. Ten sam kurjer, który przybył do Bukaresztu z wiadomością o podpisaniu układów, przywiózł też konsulowi francuskiemu rozkaz generała Auberta-du-Bayet, by niezwłocznie rozwiązał konfederację jeneralną na Wołoszczyźnie, a zarazem nakazano legionistom, aby odłożyli trójkolorowe kokardy francuskie, zdobiące ich rogatywki, gdyż rzeczpospolita zawierając pokój nie może się nadal kompromitować ich protegowaniem... Konsul doradzał legionistom, by się jak

najrychlej rozeszli. Sądny dzień nastał wśród wychodźców. Dąbrowski napół oszalały, wypadł z konsulatu, gdzie mu udzie lono tej okropnej nowiny i pochwywszy pistolet, chciał sobie życie odebrać. Z trudnością wyrwano mu broń z ręki, poczem dostał gorączki tyfoidalnej, która go przez sześć tygodni z rządu przykuła do łoża boleści, zaś ogół legionistów, złorzecząc Francyi, począł się rozpraszać na wszystkie strony świata. Jedni powracali z ciężkiem sercem w rodzinne strony, gdzie ich surowa czekała odpowiedzialność wobec władz rządowych. Inni, wytrwalsi i zasobniejsi, przemyślivali o sposobie dostania się do Włoch, gdzie już w styczniu t. r. Henryk Dąbrowski rozwinął chorągiew legionów w służbie Rzeczypospolitej cisalpińskiej. Ale i zawód świeżo doznany i wielka odległość i brak środków na podróż, sprawiły, iż szczupła zaledwo ilość oficerów dostała się do włoskich legionów z Wołoszczyzny. Wprawdzie wychodzący we Lwowie *Dziennik patryotycznych polityków* donosił w ostatnich dniach listopada t. r., iż uzbrojeni na Mołdawii Polacy przybyli z Warny do Stambułu, zkąd ich Aubert-du-Bayet przewiózł do Włoch, ale wiadomość ta w gruncie rzeczy nie była niczem innym, jak zwykłym, a bardzo częstym w owych czasach wymysłem gazeciarskim.

Przy Dąbrowskim w Bukareszcie pozostała tylko szczupła garstka oficerów dawnej służby, nie wiedzących co z sobą począć. Wobec tej niepewności, każda rada wydała się nieszczęśliwym zbawienną i jak tonący brzytwy chwycili się myśli, poddanej im przez konsula francuskiego, w myśl której Dąbrowski napisał do Stanisława Augusta list, prosząc o instancją wobec cara, aby go wraz z towarzyszami przyjęto w służbę rosyjską. Jako powód owej prośby wymieniał Dąbrowski opuszczenie sprawy polskiej przez Francją, która po zawarciu pokoju nie omieszka zredukować swej armii, zmniejszając równocześnie etat jenerałów i oficerów. List ten po wspólnej naradzie wręczyli wychodźcy konsulowi rosyjskiemu w Bukareszcie, Sewerynowi i w dwa miesiące później otrzymali z Petersburga odpowiedź, że imperator po-

zwala im przybyć do stolicy. Wobec tego postanowili wychodźcy, iż naprzód udadzą się nad Nową Dąbrowski wraz z Kosmowskim oraz z czterema innymi oficerami, a dopiero po uzyskaniu dla wszystkich pardonu oraz łaski carskiej uwiadomią pozostałych, aby pospieszyli do Rosyi. Dąbrowski, opuszczając kresy, zalecił Denysce i Melfortowi, aby zachowali się spokojnie i czekali cierpliwie rezultatu jego misyi. Łatwiej wszakże rozkazać, aniżeli spełnić otrzymane polecenie. Zaledwo eksmarszałek konfederacyi wyruszył na północ, by żebrać o łaskę carską, gdy opuszczona przez starszyzną garstka pozostałych pod bronią legionistów popełniła czyn szalony, tłómaczący się jedynie ostateczną rozpaczą. W dniu dwudziestym ósmym czerwca t. r. Denysko wraz z Melfortem przebyli na czele dwustu ludzi Dniestr wpływ pod Zaleszczykami i wtargnęli na Bukowinę. Ale rząd austriacki od dawna był przygotowany na ową inwazyą i prócz kirasyerów pod wodzą generała Schneidauera rozstawił wzdłuż granicy spędzoną z wsi okolicznych chłopską obławę. Walka była nierówna. Denysko w kilkadziesiąt koni uszedł z powrotem na Wołoszczyznę, zaś Melforta oraz szesnastu innych legionistów, pojmanych do niewoli, powieszono na miejscu potyczki. Awanturnicza wyprawa Denyski nie obyła się bez fatalnych następstw dla patriotów galicyjskich, którzy pod wrażeniem styczniowej odezwy Henryka Dąbrowskiego poczuli się energiczniej brać do roboty organizacyjnej. Już w dniu szóstym marca t. r. zbrali się Lwowie: Waleryan Dzieduszycki, Pius Raciborowski, obaj Trzeciescy, (ojciec i syn), Ulatowski, Matkowski, Szymon Lewiński, Ksawery Wygoński, Jerzy Zenowicz, Waldstein i wielu innych ziemian, celem obmyślenia najskuteczniejszych środków dla poparcia sprawy legionistów. Wydano odezwę, wzywającą do łączenia się z Dąbrowskim, wypracowano stosowną instrukcyą. W Lubelskiem agitowali w tymże duchu Koźmian i Dłuski, tudzież major kościuszkowski, Nowicki. Nieostrożność agentów wychodźstwa polskiego, zamierzających w Medyolanie stworzyć reprezentacyę narodową, za-

szkodziła wielce tym robotom. Kochanowski i Woyczyński tak się zwali owi ajenci, za przyjazdem do Galicyi zostali schwytni przez władze austriackie. Z papierów przy więźniach znalezionych dowiedziały się prawdopodobnie władze galicyjskie, śledzące oddawna Dzieduszyckiego, o jego związkach z emigracją i w dniu dwudziestym maja t. r. zjechał do Jabłonowa komisarz cyrkularny celem aresztowania Dzieduszyckiego. Urzędnik ów, życzliwy dziedzicowi, zatrzymał się pod jakimś pozorem przed karczmą i przez przechodzącą gościńcem żebraczkę ostrzegł hrabiego o celu swego przybycia, dzięki czemu zdołał Dzieduszycki wczas jeszcze zniszczyć bardziej kompromitujące go papiery. Aresztowanego przywieziono do Lwowa, gdzie pod strażą wojskową pozwolono mu mieszkać w domu prywatnym.

Niefortunny wynik wyprawy Denyski pogorszył jeszcze położenie Dzieduszyckiego a nadto spowodował aresztowanie Raciborskiego, Lewińskiego i Wygońskiego. Dalsze śledztwo wykryło bardziej obciążające okoliczności przeciw Dzieduszyckiemu. Zarzucono mu mianowicie, iż dawniej już czynił rządowi przedstawienia, by nie zabierano przymusowo do służby austriackiej byłych oficerów wojska polskiego, że był autorem bezimiennego memoriału, doręczonego gubernatorowi, w którym to akcie usiłował poróżnić rząd austriacki z rządami pruskim i rosyjskim, że wiedział o odezwie, spisanej we Lwowie w marcu t. r., oraz, że utrzymywał związki z wychodźcami, przebywającymi na Wołoszczyźnie, tudzież przyjmował w swym domu oficerów i inne osoby podejrzane. Sam Dzieduszycki oświadczył wobec sądu, iż lubo szanuje rząd istniejący, więcej wszakże miłuje swych rodaków, oraz, że żaden zakaz rządowy nie zdołałby go skłonić do szkodenia im lub pogorszenia losu ziomków. Mimo tak stanowczego oświadczenia, sąd najwyższy w grudniu roku następnego, (1798). uwolnił Dzieduszyckiego oraz Raciborskiego z pod śledztwa, oddając ich do ukarania władzy administracyjnej. Wyrok tej ostatniej doręczono Dzieduszyckiemu w sierpniu

1799 r. Opiewał takowy na utratę szambelańskiej godności, oraz na wywiezienie na czas nieoznaczony do twierdzy ołomuńskiej. Wywieziony w sierpniu 1799 roku przebył Dzie duszycki w Ołomuńcu do lutego roku następnego, a uwolniony za staraniem syna swego, Ludwika, oficera inżynierii austriackiej, musiał podpisać we Lwowie rewers, zobowiązujący go do lojalnego zachowania się na przyszłość.

Lepiej powiodło się Kniaziewiczowi i Drzewiekiemu, którzy umknęli ze Lwowa za paszportem. wyrobionym przez życzliwe osoby. W dokumencie tym figurował generał jako służący, więc też przyszły bohater z pod Civita Castellana i Calvi musiał na popasach znosić dla niepoznania kufry i tłumoczek. Na Kraków przybyli obaj szczęśliwie do Wiednia, gdzie Kniaziewicz znalazł przytułek w domu księcia Józefa Poniatowskiego, zaś Drzewiecki schronił się pod opiekę księżny Jabłonowskiej. Czujna policja śledziła jednak pilnie wychodźców, skutkiem czego, przestrzeżeni jeszcze w porę, wyjechali na Pragę do Karlsbadu. W Pradze Kniaziewicz, podróżujący ciągle w charakterze służącego swego towarzysza, ciekawą miał przeprawę z dyrektorem policji, który przy sposobności wizowania paszportów, wdawszy się z nim w rozmowę, zaczął żywić pewne wątpliwości co do lokajskiego charakteru swego interlokutora. Namyslał się dość długo, ale że w paszporcie zachowane były wszelkie wymagane formy, pożegnał tylko Kniaziewicza temi słowy:

— Zdaje mi się, że nie jesteś pospolitym człowiekiem, chyba niepospolitym oszustem.

Karlsbad roił się od Polaków, wśród których znajdowali się także Ignacy Potocki i marszałek sejmu konstytucyjnego, Małachowski. Za ich to poradą udał się Kniaziewicz wraz z Drzewieckim do przednich posterunków francuskich w Lauterbach, z kądem niebawem pospieszyli do włoskich legionów.

Gdy ścigani patryoci dążyli pod bratnie sztandary, rozwinięte na klasycznej, italskiej ziemi, nosił się Franciszek Dąbrowski z planami organizacyi wojsk polskich pod prote-

ktoratem rosyjskim. Początek zapowiadał się bardzo dobrze. Udających się nad Nową oficerów podejmował gościnnie w Kamieńcu Podolskim gubernator Bekłeszew i wyprawiał ich w dalszą drogę pocztą bezpłatnie. Za przyjazdem do Petersburga zwrócił się Dąbrowski przedewszystkiem do Stanisława Augusta, za którego wpływem przyjęty przez cara w Petropawłowsku, począł już roić plany ogłoszenia imperatora królem polskim i skupienia pod jego chorągwią wszystkich Polaków... Wygadawszy się z tym projektem wobec Stanisława Augusta, usłyszał z ust jego jak najenergiczniejszą przestrożę, by się z czemś podobnem przed carem nie wrywał, gdyż może się narazić na najgorsze następstwa. Dąbrowski przyrzekł zastosować się do rady królewskiej, ale zaraz dnia następnego, zawezwany do Petropawłowska celem przedłożenia carowi listy pozostałych na Multanach oficerów, dał folgę językowi i wyciągnięty na słowo oświadczył z całą otwartością, że gdyby car ogłosił się królem polskim, to Francya za cenę uznania z jego strony rzeczypospolitej, z pewnością mu dopomogła do odebrania prowincyj, zajętych przez Austryą.

Paweł uśmiechnął się tylko i spojrzawszy znacząco na obecnego przy tej rozmowie kanclerza Bezborodkę, zaczął ostro indagować Dąbrowskiego, o czym dnia poprzedniego rozmawiał z Stanisławem Augustem. Badany począł się mięszać i po krótkim wahaniu opowiedział treść swej rozmowy z królem, oraz powtórzył radę, którą od niego otrzymał.

Wówczas Paweł uderzył go po ramieniu mówiąc:

— Nic to nie szkodzi. Bądź u księcia Bezborodki i projekt swój podaj na piśmie. Nie obawiaj się niczego. Ja poznałem, że z przychylności do mnie mówisz. Dziś będziesz przyjęty w służbę moją jako generał-major kawaleryi — ciągnął car dalej — i będziesz przy moim boku.

Wówczas polecił Dąbrowski swoich towarzyszy łasce imperatora, od którego uzyskał zapewnienie, że wszyscy zostaną przyjęci w służbę cywilną lub wojskową, stosownie do uzdolnienia. Jakoż w dniu 28 czerwca t. r. czytano w roz-

kazie dziennym: Jenerał-major polskiej służby Ksawery Dąbrowski zostaje przyjęty w tymże stopniu do kawaleryi. Polecamy mu uformować pułk dragonów z Polaków, zwerbowany w odebranych Polsce guberniach«. Wiadomość powyższą przesłał Dąbrowski bezwzględnie pozostałym na kresach legionistom. Niestety przyszła ona zapóźno. Szalony zamach Denyski był już oddawna faktem dokonany.

Więść o inwazyi legionistów do Galicyi sprawić miała początkowo niemiłe wrażenie na dworze petersburskim, lecz Denysko wraz z pozostałymi mu podkomendnymi uderzył w pokorę i za pośrednictwem Dąbrowskiego otrzymał pardon carski, oraz pozwolenie na przyjazd do stolicy. Jak wymowny szlachcic tłómaczył się wobec cara z swego postępku — nie wiemy. To tylko jest rzeczą wiadomą, iż w uznaniu jego nieudolności żołnierskiej, zamianowano go radcą stanu, a w zamian za skonfiskowaną podczas rewolucyi kościuszkowskiej wioskę o stu poddanych, otrzymał Denysko spory kawał ziemi w okolicy Bałty, Hetmanówkę i Studzieniec, gdzie też w kilka lat później sył zaszczytów i fortuny, życia dokonał.

Inny los był sądzony Dąbrowskiemu, marszałkowi nie szczęśnej konfederacyi jeneralnej na Wołoszczyźnie. We wrześniu 1792 roku pojawił się ukaz carski, dający mu upoważnienie do formowania pułku jazdy, z samych Polaków złożonego, w gubernii litewskiej. Werbunek szedł tak pomyślnie, iż w krótkim stosunkowo czasie stanęło pod bronią piętnaście szwadronów. Główna kwatera pułku mieściła się w Wilnie; komenda była polska, zaś barwy dawnej dragonii Rzeczypospolitej. W październiku rozkaz dzienny armii rosyjskiej ogłosił mianowania oficerów »dragonńskiego pułku jenerała Dąbrowskiego«. Podpułkownikiem zamianowany został Kosmowski, lecz prócz niego w gronie oficerskiem pięciu zaledwo dawnych znalazło się legionistów. Resztę korpusu składała młodzież miejscowa. Ale równie prędko jak błysła, tak też i przeminęła łaska carska, której objawem był ów pułk polsko-rosyjski. Już w listopadzie t. r. władze rosyjskie wpadły

na ślad sprzysiężenia, istniejącego w Wilnie a utrzymującego tajne stosunki z patryotami lwowskimi. Bliższe szczegóły tej sprawy utonęły bezpowrotnie w tajnych archiwach, lecz prawdopodobnie proces wileński był analogicznym z prześladowaniem, jakie w owym czasie spotkało patryotów galicyjskich. Sądy rosyjskie wystąpiły wobec obwinionych z całą bezwzględnością. Posypały się wyroki, opiewające na karę śmierci, knuty i na ciężkie roboty w kopalniach nerczyńskich. Car ułaskawił skazanych na śmierć, wysyłając ich do robót katorżnych, lecz od tego czasu z wrodzoną mu podejrzliwością począł spoglądać na Polaków. Następstwem tej zmiany w zapatrywaniach imperatora były mnożące się z dniem każdym procesy o obrazę majestatu, wytaczane ziemianom, księżom, oraz byłym wojskowym polskim, zamieszkałym w świeżo zabranych prowincjach. Z kolei carska niełaska dotknęła też Dąbrowskiego. W listopadzie 1798 roku przyjechał po niego Makarew, jeden z wyższych dygnitarzy policyjnych. Jenerał znikł bez śladu, a pułk jego zreorganizowano na modłę rosyjską. Jak utrzymuje Rolle w swych *Niedoszłych legionach*, rewizya u Dąbrowskiego nic nie wykryła. Krążyły pogłoski, że car Paweł miał być uprzedzony, jakoby Dąbrowski formował pod jego opieką pułki polskie w zamiarze przedarcia się na ich czele do Włoch. To miało być powodem niełaski i uwięzienia młodego dowódcy w rygskiej warowni. Dopiero w roku 1801 odzyskał Dąbrowski wolność, ale już żadnej roli politycznej nie odegrał, usunąwszy się w zacisze życia prywatnego.

Stworzone przez niego na multzańskich kresach legiony były bezwątpienia płodem poronionym, wytworem i ofiarą szalbierstwa dyplomatycznego, którego niejednokrotnie w dziejach naszych porozbiorowych padaliśmy pastwą... Niemniej przeto zaważyły one na karcie historii, stanowiąc przygrzywkę do wielkiej epepei, tworzonej orężem ku zdumieniu ludów Europy. Były nią legiony włoskie!





III.

Rok 1796 zdawał się zwiastować Europie długo upragniony pokój. Rzeczpospolita francuska, osłabiona wewnętrznymi zamieszkami, korzystała z wysilenia swych przeciwników i zawierała z nimi korzystne traktaty. Toskana, Prusy, Hesya i Hiszpania ułożyły się już w ciągu 1795 roku o pokój z zwyciężką republiką, a za ich przykładem poszła też dumna Austria, która, uczyniwszy zadość wymaganiom honoru, odniesioną chwilowo przewagą nad armią francuską, zgodziła się w dniu pierwszym stycznia 1796 roku na zawieszenie broni z tyle groźnym dla niej przeciwnikiem. Ale rozejm ów nie okazał się długotrwałym, gdyż już z wiosną tegoż roku rozległ się ponownie szcęk oręża nad Renem i na równinach Lombardyi.

Młodzięcza republika i słyszeć nie chciała o odstąpieniu jakiegokolwiek części swych posiadłości, mieczem zdobytych, a równocześnie i Austria nie myślała o zrzeczeniu się swych praw historycznych, dzięki czemu przeciw Francyi wystąpiła do boju świeża koalicya z Austryą i z Anglią na czele. Piemont i Neapol, drobni potentaci włoscy i niemieccy, sku-

pili swe siły pod sztandarem wspólnej sprawy, która w najbliższej przyszłości rozstrzygać miała o ich losie. Wewnętrzny stan Francji przedstawiał widok wielce niepomysłny. Terorystyczna gospodarka konwentu pozostawiła dyrektorjatuowi w spuściznie pustki w kasach publicznych, kredyt wyczerpany, wojsko zdemoralizowane. Nadto wojna domowa srożyła się po dawnemu w Wandei, zaś reakcja coraz śmieiej podnosiła głowę w samym Paryżu, grożąc obaleniem istniejącego rządu. Ale Bonaparte, wyniesiony po wstąpieniu Barrasa w skład dyrektorjatu, na stanowisko naczelnego wodza armii krajowej, okazał się najsilniejszą podporą władzy. W zdumiewająco krótkim czasie zorganizował armią i gwardyą narodową paryską, z których pomocą zgniół dążących do państwowego przewrotu facyonistów w lutym 1796 roku i w nagrodę tego czynu otrzymał buławę naczelnego wodza we Włoszech.

Była to bezwątpienia najpiękniejsza chwila w życiu przysłego cesarza, gdyż powołany na pełne odpowiedzialności pole czynu, mógł na niem Bonaparte rozwinąć wszystkie zalety swe jako genialny wódz i organizator. Wyposażony na drogę w sumę zaledwo dziesięciu tysięcy lirów, przybył Napoleon z końcem marca t. r. do Nizy, gdzie mieściła się w owym czasie główna kwatera. Armia, oddana pod jego rozkazy, znajdowała się w isticie opłakanym stanie. Pozbawiony żołdu od dłuższego czasu, bosy i obdarty, zniechęcony bezczynnością, szemrał żołnierz przeciw starszyźnie, która dziwnie nieporadna i obojętna spoglądała spokojnie na rosnące z dniem każdym na Apenińskim półwyspie zastępy nieprzyjacielskie. Przybycie wielkiego wodza zmieniło od razu postać rzeczy. W głodną i łachmanami okrytą armią republikańską zdołał on tchnąć wielkiego ducha, wiodącego ją do zwycięstw i chwały. W dniu dziewiętnastym kwietnia rozpoczęły się działania wojenne, a już w połowie maja Sardynia podpisała układ pokojowy, tracąc Sabaudyą i Nizę na rzecz zwycięzcy. W ciągu następnych dwóch tygodni byli Francuzi panami Lombardyi i Bonaparte odbył wjazd uroczysty do Mediolanu, upokorzył



AMILKAR KOSIŃSKI

podług miniatury współczesnej, sztychowany przez Wł. Jaroczyńskiego.

ksiąząt Parmy i Modeny oraz zmusił państwo kościelne do przyjęcia neutralności w toczącej się walce. Stłumiwszy siłą zbrojną gotowane w Medyolanie powstanie zwolenników rządu austriackiego, ogłasza rzeczpospolitą transpadańską z prowizorycznym dyrektoryatem u steru władzy, zdobywa Peschierę tudzież Weronę i odrzuca trzykroć silniejsze wojska nieprzyjacielskie do Tyrolu. Neapol, przerażony pogromem swych sprzymierzeńców, pospieszył również do szczęśliwego zdobywcy z prośbą o rozejm, z czego korzystając Napoleon, zabraną w Medyolanie artylerią rozpoczyna oblężenie Mantui. Niebawem wszakże musiał takowego zaniechać, gdyż w lipcu pojawił się w Lombardyi Wurmser, spiesząc na czele świeżej armii cesarskiej w pomoc zagrożonej fortecy. I tym razem szczęście sprzyjało francuzkiemu orężowi. Wurmser po stracie dwudziestu pięciu tysięcy żołnierzy w zabitych, rannych i jeńcach, musiał ponownie szukać schronienia wśród gór tyrolskich. Wychylił się z nich wprawdzie pod koniec sierpnia, by stratą niemal całej swej armii okupić zamiar ubieżenia Mantui, w której zaledwo z pięcioma tysiącami niedobitków znalazł wódz austriacki chwilowy punkt oparcia. Szybki gdyby piorun na polu walki, niestrudzonym był Napoleon w tworzeniu nowych ustrojów państwowych, które związane ideą przewodnią i formą rządu z Francją, stawały się naturalnym sojusznikiem macierzystej rzeczypospolitej. Zaledwo poskromił świeże zastępy cesarskie w uporczywej walce pod Arcole, gdy już z księstw Parmy i Modeny, oraz z odjętych państwu kościelnemu legacyi stworzył rzeczpospolitą cispadańską.

W zwycięskim tym pochodzie brała też udział garstka Polaków. Rząd rzeczypospolitej transpadańskiej postanowił bowiem zaraz w pierwszych chwilach swego istnienia stworzyć własną siłę zbrojną. Ponieważ jednak odwykły od broni wieśniak lombardzki nie przedstawiał odpowiedniego materiału na żołnierza, przeto postanowiono powołać pod sztandary nowo powstałej republiki cudzoziemców. Jeńcy austriaccy, złożeni przeważnie z galicyjskiego rekruta, dostarczyli zaraz



JENERAŁ JÓZEF SUŁKOWSKI
podług litografii Engelmanna, rytował S. Łukowski.

w pierwszej chwili najliczniejszego zastępu nowozacieżnych, z których utworzono osobny batalion. Komendę batalionu powierzono majorowi Strzałkowskiemu, który służywał ongi w gwardyi koronnej, a później dzielnie stawał w Kościuszkowskiej insurekcji, by po jej upadku zaofiarować swe usługi Francji. Batalion Strzałkowskiego, w którym Puchała i Konopka pełnili służbę kapitańską, nosił mundur i odznaki lombardzkie, ale komendę miał polską. Równocześnie z Strzałkowskim przybył też do Włoch Amilkar Kosiński, który zrazu jako ochotnik, a po otrzymaniu naturalizacji mianowany kapitanem kwatremistrzowstwa, odbył pod rozkazami Napoleona kampanią 1796 roku. Był też w głównej kwaterze adjutantem Napoleona zdolny i przedsiębiorczy Józef Sułkowski. Szczupła ta jednak garstka Polaków, w obce przybrana mundury i obcej służąca sprawie, nie zwracała mimo zasług i męstwa, na siebie uwagi wśród wielojęzycznych zastępów Bonapartego i dopiero przybycie Henryka Dąbrowskiego w dniu drugim grudnia 1796 r. do Mediolanu, dało początek formacji legionów polskich na ziemi włoskiej.

Dąbrowski przywiózł z sobą, jak już wspomniano, pismo polecające dyrektoryatu wykonawczego do generała Bonapartego, lecz mimo przychylniej treści rzeczony odezwy, przyjęcie, jakiego doznał w głównej kwaterze, nie było wcale zachęcające i zdawało się źle wróżyć o powodzeniu sprawy legionów. Bonaparte, który niechętnie przyjmował jakiekolwiek zlecenia od władzy naczelnej, udzielił w dniu czwartym grudnia t. r. przybywającemu posłuchania w sposób obojętny i niezbyt grzeczny, a odebrawszy z rąk Dąbrowskiego pismo dyrektoryatu, nadmienił chłodno, iż nie wątpi wprawdzie o waleczności Polaków, lecz nie ma pewności, czy żołnierz, zbiegły z szeregów austriackich, zdoła stawić czoło dawnym towarzyszom broni.

— Kazałem zresztą na próbę uformować batalion z Polaków — dodał w końcu Bonaparte, zwrócony do Dąbrowskiego oraz do towarzyszących mu generała Wojezyńskiego

i Eliasza Tremo. — Panowie możecie być w nim umieszczeni jako oficerowie...

Zimna ta odpowiedź uraziła Dąbrowskiego, który nie pojmując sprzeciwienia się ze strony naczelnego wodza poleceniom dyrektoryatu, przypisywał je tajnym instrukcyom rządu francuskiego, chcącego się pozbyć Polaków. Zamierzał przeto porzucić dwór medyolański, jak żołnierze armii włoskiej zwali kwaterę swego dowódcy i powrócić do Paryża, gdy traf szczęśliwy zetknął go z Kosińskim.

Ten ostatni, podkomendny jenerała z czasów wyprawy wielkopolskiej, przybywał świeżo z Brescyi, a dowiedziawszy się o celu przyjazdu Dąbrowskiego, oraz o przyjęciu, jakiego doznał u Bonapartego, zaklął go na wszystko, co najświętsze, by nie zrażał się początkową trudnością, jeno wytrwale dążył do wytkniętego celu. Znający dokładnie miejscowe stosunki, oddał Kosiński sprawie legionów nieocenione usługi i zasłużył w zupełności na przyznane mu przez kolegów miano »pierwszego legionisty«. Dzięki znajomościom, jakie posiadał w gronie oficerów sztabu głównego oraz przyjaźni Viscontiego, członka rządu prowizorycznego, zdołał Kosiński trafić do szefa sztabu, Berthiera, cieszącego się najzupełnijszem zaufaniem Napoleona. Projekt legionu polskiego, poparty przez Berthiera, znalazł przychylne przyjęcie u naczelnego wodza, który tym razem sam zawezwał Dąbrowskiego do siebie i nie szczędząc słów uznania dla jego dotychczasowej działalności, polecił mu wejść z rządem tymczasowym w układy co do formacyi legionu polskiego. Nie dość wszakże na tem. Osobnem pismem zalecił go temuż rządowi jako znakomitego oficera, zaś o Polakach wyraził się jako o narodzie walecznym, zasługującym na przyjęcie przez lud, dążący do wolności.

Równocześnie Tremo otrzymał od Bonapartego upoważnienie do udania się do Francyi celem zebrania w tamtejszych zakładach jeńców Polaków, oświadczających gotowość wstąpienia do legionu, zaś w dniu dziewiątym stycznia 1797 roku przyszła do skutku konwencya, w myśl której admini-

stracya jeneralna Lombardyi — taki tytuł nosiła władza prowizoryczna — przyjmowała usługi Polaków, tworzących legiony polskie, posiłkowe Lombardyi, Mundury, odznaki i organizacya tego korpusu miały być zbliżone, o ile możliwości, do organizacyi dawnego wojska polskiego. Na epoletach legionistów o barwie narodowej lombardzkiej widniały słowa: *Gli uomini liberi sono fratelli*, (»Wolni ludzie są braćmi«), a nadto oficerowie i szeregowcy legionu nosili kokardy francuskie, jako odznakę republiki, spieszącej z pomocą ludziom wolnym. Żołd i utrzymanie, tudzież świadectwa służbowe otrzymywali legionieści na równi z wojskiem narodowym, zaś stanowisko korpusu wobec rządu warował osobny, najważniejszy, naszym zdaniem, artykuł umowy: »Lud lombardzki oświadcza« — czytano w szóstym artykule konwencji — »że uważać będą Polaków, uzbrojonych na obronę wolności, jako prawdziwych braci, nie zaś jako zaciąg cudzoziemski. Stosownie też do tego przyznaje im administracya jeneralna Lombardyi wszystkie prawa, służące rzeczywistym obywatelom kraju. To jednak nie przeszkodzi im udać się do swych rodzinnych ognisk, jeżeli tego wymagać będą wypadki i jeżeli wolna Lombardya nie będzie potrzebowała bronić swej niepodległości«.

Akt konwencji, zawierającej w oryginalnym brzmieniu dziesięć artykułów, potwierdzonych przez Bonapartego, wyszedł podobno z pod pióra Kosińskiego, który wedle pamiętników współczesnych pułkownika Wierzbickiego, miał być również autorem podpisanej przez Dąbrowskiego w dniu dwudziestym stycznia 1797 roku odezwy do ziomków. Pamiętny ten akt opiewał jak następuje:

Wolność.

Równość.

Odezwa do Polaków!

Dąbrowski, jenerał-lieutenant Rzeczypospolitej polskiej, umocowany do formowania legionów we Włoszech.

Do Współobywateli!

Wierny ojczyźnie mojej do ostatniego momentu, walczyłem za jej wolność pod nieśmiertelnym Kościuszką.

Upadła ona pod przemocą i nie zostaje nam jak pocieszające wspomnienie, żeśmy krew przelewali na ziemię przodków naszych, żeśmy widzieli chorągwie nasze zwyciężkie pod Dubienką, Raclawicami, Warszawą i Wilnem.

Polacy! Nadzieja powstaje... Francya zwycięża, ona się bije za sprawę narodów, starajmy się osłabić jej nieprzyjaciół.

Francya pozwala nam schronienia, czekając lepszych losów dla kraju naszego. Idźmy pod jej chorągwie. Te są oznaką honoru i zwycięztwa.

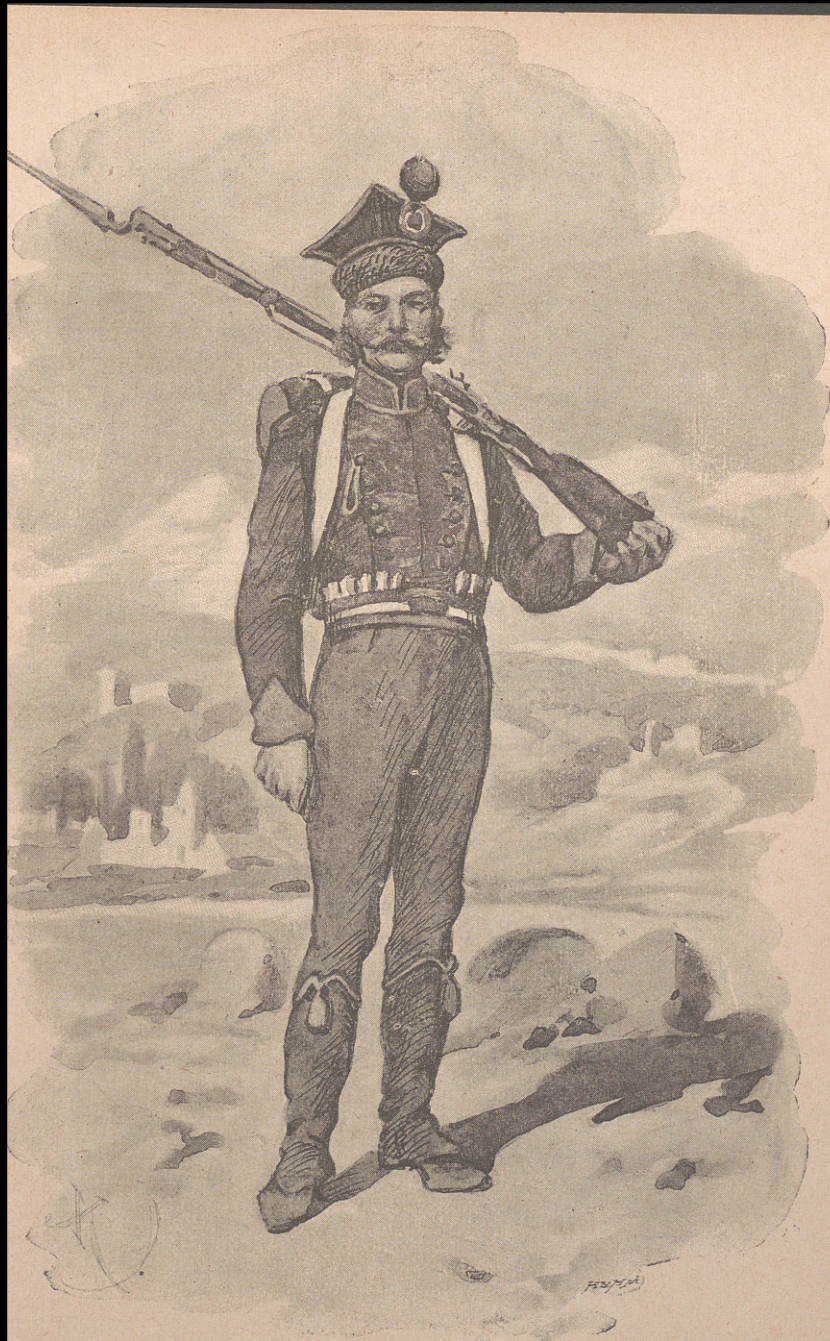
Legiony polskie formują się we Włoszech, na tej ziemi, niegdyś świątyni wolności. Już oficerowie i żołnierze, towarzysze trudów waszych i męztwa, są ze mną, już się bataliony formują. Przybywajcie koledzy, rzucajcie broń, którą was nosić przymuszono. Bijmy się za sprawę wspólną wszystkich narodów, za wolność, pod walecznym Bonaparte, zwycięzcą Włoch.

Tryumfy rzeszypospolitej francuskiej są naszą jedyną nadzieją, za jej pomocą i jej aliantów może jeszcze zobaczymy domy nasze, któreśmy z rozrzewnieniem porzucili!...

Proklamacya rzeczona, ogłoszona w czterech językach, rozeszła się w tysiącach egzemplarzy po całych Włoszech. We Francyi rozpowszechniał ją doświadczony przyjaciel Polski, Kazimierz de la Roche, a kluby paryotyczne, polskie, istniejące w Paryżu, w Wenecyi, oraz w celniejszych miastach niemieckich, starały się przemycić odezwę Dąbrowskiego przez graniczne kordony do kraju, pozbawionego wieści o losie robotników z ostatniej rewolucyi. Rozrzucono ją na linii posterunków austryackich, wśród których nierzadko znajdowali się obok rekrutów, pochodzących z Galicyi, wojskowi dawnej służby, kościuszkowscy oficerowie, przemocą zabrani pod karabin... Ludzie ci, zstęsknieni za rodzinną zagrodą, zmuszeni do pełnienia służby pod obcym sztandarem, nie pytali o gwa-

rancyą, której im zresztą nie dawała Francya, warująca im powrót do ojczyzny z bronią w rękę. Nie rozumieli oni, że owe legiony, które miały być zawiązkiem przyszłego wojska narodowego, przedstawiały się na razie jako oddziały ochotnicze, bojujące w imię międzynarodowego hasła: wolności i braterstwa ludów. Sądziło się, że szczerą ofiarą krwi swej i życia, złożoną na ołtarzu całej ludzkości, zdołają odzyskać utraconą niepodległość. Nie pierwsi to i nie ostatni niestety marzyciele, dążący do wskrzeszenia ojczyzny poświęceniem bezgranicznem i krwi szafunkiem na wezwanie wspólnej sprawy ludów Europy... Wrażenie proklamacyi Dąbrowskiego potęgowała jeszcze we Włoszech odezwa administracyi jeneralnej lombardzkiej, przemawiająca w imieniu ludu do wszystkich Polaków, opuszczających lub chcących opuścić ojczystą ziemię z przywiązania do wolności.

Mówiono w niej o cnotach narodu polskiego, budzących podziw całego świata, o nieustraszonych zastępach, które pierwsze się zasłużyły całej ludzkości w walce przeciw ciemnościom, deptającym nogami wszelkie prawa, wskazując równocześnie Francją jako wyswobodicielkę ujarzmionych narodów, utrwalającą zwyciężkim orężem panowanie ludu. »Pospieszajcie, drodzy Polacy, pomiędzy nas« — słowa odezwy — »my was przyjmujemy jako braci. Będziecie zawsze mieli z nami wspólną ojczyznę, tak długo, dopokąd czas, może niezbyt odległy, nie sprowadzi wam pory szczęśliwszej, w której ujrzycie z radością wasze rodziny i odbudujecie jako zwycięzcy waszą ojczyznę!...« Wezwaniu takiemu któżby oprzeć się zdołał? Wyprawiony do zakładów, istniejących w Piemontcie i w Lombardyi Kosiński, wyniesiony równocześnie do rangi podpułkownika, zorganizował z jeńców austriackich batalion strzelców, nad którym mu powierzono dowództwo. Toż samo Elias Tremo, adjutant Dąbrowskiego, wysłany do Francyi, zgromadził w ciągu kilkunastu dni zastęp ochotników, wystarczający aż nadto do stworzenia drugiego batalionu.



LEGIONISTA POLSKI WE WŁOSZECH

»Misya moja« — pisze Tremo do de la Roche'a z Dijon w dniu 19 stycznia t. r. — »wiedzie mi się cudownie. Wszędzie spotykam Polaków, miłujących nadewszystko ojczyznę i gotowych do poświęcenia jej krwi, oraz życia. O ileż szczęścia sprawiło mi moje posłannictwo, ilu dzielnych ludzi poznałem już, ilu przyjaciół wolności znalazłem we Francyi, zajmujących się gorąco naszym losem i dających mi tysiące dowodów współczucia dla naszej sprawy. O gdyby poświęcili wszystko i zapomnieli o wszystkim dla sprawy ojczystej! Twoją teraz rzeczą kochany przyjacielu, rzeczą wszystkich wiernych ojczyźnie Polaków, pracować nad jej szczęściem. Róbmy, co tylko zdołamy; nagrodą naszą będą nasze czyny i szczęście ojczyzny«.

Zapał ten i gotowość ziomków w spieszeniu pod narodowe znaki omal, że nie spełżyły na niczem wobec zupełnego braku funduszków na organizację legionu. Kasy armii włoskiej oraz świeżo utworzonej rzeczypospolitej lombardzkiej świeciły pustką. Ale i temu brakowi zaradziły energia tudzież ofiarność Dąbrowskiego, który pod zmienionem nazwiskiem pospieszył do Galicyi, w okolice Bochni, gdzie w połowie lutego stanął w dziedzicznym swych Pierzchowicach. Kuzyn jego szambelan Jan Kępieński, bawił podówczas w Płuchowie, lecz na wieść o przyjeździe brata pospieszył na jego powitanie. Dąbrowski nie tracąc czasu, zaproponował mu nabycie Pierzchowic. Zawezwano na radę sąsiadów, Ludwika hr. Dębickiego i hr. Moszczeńskiego. Kępieński znaczną część gotowizny miał w domu, a resztę, potrzebną do wypełnienia ceny kupna, pożyczył mu Dębicki. Bez komornika i rządowych formalności dopełniono w dniu 22 lutego t. r. aktu kupna i sprzedaży, a po podpisaniu dokumentu, liczącego zaledwo kilkanaście wierszy tekstu, oraz po otrzymaniu pieniędzy, pospieszył Dąbrowski co rychlej w powrotną drogę do Włoch.

Nie dziw, iż wobec takiego poświęcenia dla sprawy legionów, szeregi tego korpusu pomnażały się z nadzwyczajną szybkością. W dwa tygodnie po ogłoszeniu odezwy jenerała,

w dniu trzecim lutego t. r. liczył legion 1.127 ludzi pod bronią, umundurowanych na wzór dawnej armii Rzeczypospolitej Polskiej. Uniform legionisty składały przeto: granatowa kurtka i spodnie, tudzież czapka. Poszczególne bataliony różniły się między sobą barwą wyłogów. I tak pierwszy batalion odznaczał się wypustkami karmazynowemi, zaś oficerowie posiadali guziki i szlify srebrne, podczas gdy strzelcy Kosińskiego przy zielonych wyłogach używali szlif i guzików złotych. W pierwszej chwili formacyi dawał się odczuwać brak oficerów, ale i temu niedostatkowi zaradził Kosiński, który z objazdu swego po Piemontie sprowadził liczniejsze grono oficerów polskich. W ich liczbie znajdowali się między innymi: Ludwik Dembowski, Kazimierz Konopka, Borowski i Bracia Downarowicze. Przeszedł też pod rozkazy Dąbrowskiego wspomniany już poprzednio major Strzałkowski, wzięwszy dymisią z dotychczasowej służby. Jemu też przypadł w udziale zaszczyt, iż pierwszy poprowadził legionistów w ogień. W dniu ósmym marca 1797 r. otrzymał bowiem Dąbrowski rozkaz wyruszenia do Mantui, która poddała się armii francuskiej. Pozostawiając przeto zakłady rekrutów i ubiory pod komendą Konopki w Medyolanie, udał się, mając już do 2000 ludzi na miejsce nowego przeznaczenia, gdzie z jeńców, oraz z zbiegów armii austriackiej, dawnych żołnierzy Kościuszkowskich, począł się tworzyć nowy batalion fizylierów pod dowództwem Dembowskiego, gdy równocześnie artylerją legionu organizowano w Medyolanie. Żółte wyłogi i szlify srebrne oznaczały fizylierów, zaś czarne wypustki i także lampasy przy złotych szlifach i mundurze zielonym nosili artylerzyści.

Chrzest ogniowy otrzymał legion w walce z ludowym powstaniem, wybuchłem w okolicy Brescyi pod wpływem zamieszek, których widownią stało się państwo kościelne. Tam bowiem lud górski, sfanatyzowany przeciw Francuzom, gotował się do otwartej walki z najeźdźnikami, gdy niespodziewane a pełne stanowczości wystąpienie Bonapartego kres położyło wicherzoniom nieprzyjaciół republiki, znajdującym w Rzymie

chwilowy przytułek. W początku lutego t. r. znalazł się Napoleon w Bolonii, zagrażając Stolicy Piotrowej, ogołoconej z obrońców, siłą zbrojną. Ale wbrew instrukcyom dyrektorjatu, oszczędził tym razem młody wódz bezbronnego przeciwnika i poprzestał na okupie trzydziestu milionów franków oraz na odstąpieniu Ferrary, Ankony i Bolonii wraz z Romanią, które Pius VI oddawał rzeczypospolitej. Nadto trzysta arcydzieł pędzla i dłuta wzbogaciło publiczne zbiory paryskie kosztem galeryi wiecznego miasta, a powszechne zdumienie wywołało *breve* papieskie, tytułujące Napoleona: drogim symnem... Atoli traktaty pokojowe nie zdołały uspokoić wzbudzonych umysłów ludności w świeżo pozyskanych prowincjach. Chłopsstwo, podburzane przeciw Francuzom, mordowało bez litości nie tylko błędzących samopas żołnierzy i kurjerów rządowych, lecz pustoszyło ogniem i mieczem posiadłości zwoleńników republiki.

Mnożyły się w przerażający sposób zbrodnie morderstwa i rabunku, zwłaszcza w okolicach Salo i Brescyi, dokąd też wyruszył na czele czterystu pięćdziesięciu grenadyerów Strzałkowski, mający pod swymi rozkazami walecznego brygadyera Liberackiego, świeżo przybyłego z Wołoszczyzny. Pierwsza ta wyprawa legionu uwieńczona została jak najpomysłniejszym rezultatem. Bandyci, żądni łupów, nie zdołali stawić oporu garstce polskiego żołnierza i rozproszyli się bez śladu, rzucając broń, którą w zdobyczy odesłał Strzałkowski do Mantui, pozostawiając na obserwacyi pod Brescyą Liberackiego. Równocześnie górale w Romanii poszli za przykładem lombardzkiej czerni, więc też celem uśmierzenia popełnionych przez nich gwałtów wyprawiono tamże batalion Kosińskiego, który w marcu i w kwietniu tego roku przywrócił spokój w nawiedzanej przez powstanie okolicy. A jednak Kosiński nie uciekał się przy tej sposobności do środków ostatecznych, do stryczka lub kuli, jakimi nazbyt może chętnie posługiwali się francuscy komendanci. Przeciwnie, załogując w Cesenie i w Rimini, pozostawił po sobie jak najlepsze

wspomnienie, a władze municypalne w tych miejscowościach wyrażały się o legionistach jako o żołnierzach pełnych ludzkości, najpożądańszej grzeczności i uprzejmości (*quali tutti si sono dimonstrati umanissimi e pieni della più desiderabile umanità e pulitezza*). Nie poprzestały wszakże władze krajowe na piśmiennych dowodach uznania dla mężstwa i obywatelskości legionistów, gdyż rząd rzeczypospolitej w podzięce za przywrócenie ładu w zakłóconych rewolucją prowincjach nadesłał wszystkim batalionom sztandary, a Dąbrowskiego obdarzył koniem z przepysznym rzędem. Administracya jeneralna zaproponowała jenerałowi tworzenie kawalerji legionów, oraz pomnożenie istniejącego już oddziału artylerji, lecz myśl ta na razie nie mogła doczekać się urzeczywistnienia dla braku odpowiedniej ilości oficerów, którzy przedzierając się przez Niemcy i prowincye austryackie, nie mogli jeszcze na czas zdążyć.

Tymczasem wypadki, gotujące się na głównym teatrze wojny, zapowiadały chwilę stanowczego działania dla polskiego legionu. Austria, opuszczona przez Niemcy i Rosyą, postanowiła pomścić dotychczasowe klęski, poniesione na włoskiej ziemi, gdzie też z początkiem marca t. r. zjawił się najzdolniejszy z jej wodzów, arcyksiążę Karol. Ale zanim armia cesarska zdołała się przygotować do rozpoczęcia kroków wojennych, stanął już Bonaparte pod Bassano i w odezwie do żołnierzy obwinił ministrów austryackich o przekupstwo na rzecz Anglii, dzięki czemu monarchia Habsburgów znaleźć się miała rzekomo na żołdzie wyspiarzy, drwiących ze zniszczeń, jakie wojna wywołuje na kontynencie europejskim!... W dniu dziewiątym marca rozpoczął Napoleon walkę, licząc pod swymi rozkazami 53,000 żołnierza, dowodzonych przez jenerałów tej miary, co Joubert, Bernadotte i Massena. Żołnierz francuski, zagrzany ciągłym powodzeniem, widział w Bonapartem bóstwo wojny, któremu nic się oprzeć nie zdoła, gdyż walczy za sprawę wolności ludów. Przeciwnie arcyksiążę Karol dowodził wojskiem, zniechęconem nieustannemi klęskami, ponie-

sionemi na niemieckich oraz italskich pobojuwiskach. Żołnierz cesarski nie odczuwał żadnego zapału dla sprawy, w obronie której mu życie narażać kazano, bił się przeto z musu, bez wiary w zwycięstwo. W dodatku arcyksiążę nie miał już dość czasu na należyte skupienie swych sił, rozrzuconych między Tryestem i Alpami Noryckimi, gdy armia francuska w trzech kolumnach zaatakowała go równocześnie w Tyrolu, nad Piawą i w Gorycy. W krwawym spotkaniu pod Tagliamento złamany został główny korpus wojsk cesarskich i arcyksiążę cudem zaledwo ocalał przed ujęciem go w niewolę. Następstwem tej bitwy było zajęcie Palma-Nuowa oraz Gradyjski przez Francuzów, którzy w kilka dni później opanowali Treviso, mieli już otwartą drogę w głąb krajów dziecięcych monarchii.

W ostatnim dniu marca główna kwatera Bonapartego znajdowała się w Celowcu, zkąd wydał on proklamacyę do ludów austriackich z zapewnieniem, że Francya jest przyjaciółką Niemiec, oraz zwalającą całą odpowiedzialność za klęski wojenne na przekupstwo wiedeńskiego gabinetu angielskimi pieniędzmi... Stan armii arcyksięcia Karola był w istocie rozpaczliwy, gdyż w przeciągu miesiąca postradała ona czwartą część żołnierzy. Ale i położenie Napoleona nie było, mimo wywalczonych zwycięstw, wolne od niebezpieczeństwa. Zagrozały mu i odcięcie od Renu i osaczenie dokoła ludowym powstaniem, gdy równocześnie niechęć dyrektoryatu, czy też — jak sądzą inni — zawiść dowodzącego armią nadreńską Moreau, sprawiły, iż o ostatecznem wyzyskaniu odniesionej nad przeciwnikiem przewagi nie mogło być i mowy. Już przednie straż francuskie ukazały się na wyżynie Semmeringu, gdy w dniu siódmym kwietnia zgodziły się obie strony wojujące na zawarcie rozejmu w Judenburgu, poczem w dniu ósmym t. m. nastąpiło podpisanie preliminarjów pokojowych w Leoben.

W kampanii tej nie brał udziału legion polski, który w tym czasie liczył już do 5.000 ludzi pod bronią. Napróżno

Dąbrowski dopraszał się w głównej kwaterze, by go powołano na linię bojową. Bonaparte chwalił zapał i gorliwość Polaków, ale zwlekał z wydaniem odnośnego polecenia, jakkolwiek generał przedstawił mu wyczerpujący plan działania za pomocą legionu, wspartego oddziałem wojsk francuskich.

Jeżeli rząd francuski pragnie wskrzeszenia Polski przez samychże Polaków — słowa memoryału — i jeżeli chce wywołać silną dywersyą przeciw Austrii, trzeba, aby działał tak, jak działano ongi w wojnie amerykańskiej, kiedy to wysłano do Waszyngtonu posiłki w ludziach i pieniądzach. Projekt niniejszy przedstawia także korzyść, iż w przypadku nieudania się, nie kompromituje Francją, a jego wykonanie obudzić może Turcyą z letargu, w jakim się obecnie pograżała.. Tu rozwinął generał szczegóły swego planu, w myśl którego działania legionu należałoby wesprzeć oddziałem dwutysięcznym piechoty, pięciotysięcznym jazdy oraz artylerją, wystarczającą do obsłużenia sześćdziesięciu armat. Tak wzmocniony korpus wyruszyłby na Palma-Nuova i Fiume, przez Dalmacyą, Serbią i Mołdowołoszczyznę ku granicom Bukowiny, by wkroczyć do Galicyi, która, zdaniem Dąbrowskiego, przepełnioną była ludźmi, przywiązany do kraju i gotowymi do boju dla przywrócenia niepodległości ojczyzny. Austria, zaskoczona niespodzianą inwazyą, będzie zniewolona celem jej odparcia użyć części swych wojsk włoskich dla obrony własnych granic. Nadto owa kolumna polska stanie się w krótkim czasie siłą, wzbudzającą poszanowanie, gdyż połączą się z nią nie tylko patryoci, rozproszeni wzdłuż wschodnich kresów austriackich, lecz z chwilą jej wkroczenia do Galicyi, wybuchnie powstanie w całej tej prowincyi i korpus austriacki, któryby przez Węgry i Siedmiogród podążył na spotkanie przeciwnika, musiałby wpaść między dwa ognie i uleść rozbiciu. W dalszym ciągu swego projektu liczył Dąbrowski na zbrojną neutralność Turcyi, oraz na odwieczną zawisć Prus wobec Austrii. Pod wpływem tego antagonizmu Prusy w porozumieniu z carem Pawłem miałyby postawić na porządku dziennym:

kwestją polską, wobec której nowy samodzięzca Rosyi nie był wrogo usposobiony, skutkiem czego polscy patryoci mogli się z nim porozumiewać, nie wyrzekając się nadziei uwieńczenia swych zabiegów pomyslnym rezultatem... Ale i na wypadek, gdyby powyższe kombinacye zawiodły, starał się generał wykazać, że plan jego nikomu przynieść nie zdoła szkody. Polacy, formujący legią, nie powrócą nigdy do swej ojczyzny — jak twierdził Dąbrowski — dopóki ta nie będzie wolną. W razie więc, gdyby ich plan się nie udał, cofną się, z kąd przyszli i po raz wtóry szukać będą schronienia za granicami kraju. Toż samo oddział francuski, dzielający niebezpieczeństwa tej wyprawy, może być w najgorszym razie pewnym opieki tureckiej, pod której osłoną powróci do ojczyzny, zaś rząd francuski, pośrednio tylko wmięszany w ową sprawę, nie będzie dźwigał na sobie żadnej odpowiedzialności.

»Lecz zarzuci mi kto może«, — pisze w końcowym ustępie memoriału Dąbrowski — »że Turcy oprą się przechodowi Polaków i nie pozwolą im przejść przez swe kraje. Odpowiadam na to, że byłoby nadzwyczajnie trudno spotkać się z takimi przeszkodami. Gdyby jednak kiedykolwiek mogły one mieć miejsce, to Polacy mieliby to zadowolenie, iż okazali, że niema niebezpieczeństwa, na któreby nie byli gotowi rzucić się w nadziei odzyskania możności powrotu do ojczyzny i stargania kajdan, więzających ich w poddaństwie«.

Jakkolwiek osnowa projektu Dąbrowskiego, oparta na tak rozległych i nie dających się obliczyć kombinacyach, wydać się dziś musi aż nazbyt fantastyczną, to jednak w owym czasie znalazła ona żywe poparcie nie tylko w kołach legionistów, ale i wśród patryotów paryskich, którzy jak najgorliwiej poczęli popierać plan Dąbrowskiego u władzy naczelnej. Ogiński, Prozor, Wybicki, Mniewski, Bars i Taszycki starali się wszelkimi sposobami, by usposobić dyrektoryat jak najkorzystniej dla przedłożeń Dąbrowskiego, co mogli tem łatwiej skutecznie, ile, że ówczesny kierownik polityki zagra-

nicznej, Karol de la Croix, nie taił się bynajmniej z myślą, iż należy dać Polakom galicyjskim do zrozumienia, że godzina odrodzenia ich ojczyzny wybiła. Choć więc minister ten sądził, że dyrektoryat nie może się kompromitować otwartem wezwaniem Galicyan do podniesienia rewolucyi, to jednak wobec Ogińskiego wyraźnie zaznaczał, że nie ma chwili korzystniejszej do działania, oraz, że jest rzeczą Polaków korzystanie z niej i czynienie, coby im honor i obowiązki nakażywały... Pod wpływem tego oświadczenia pierzchnąć musiały wątpliwości ostrożniejszych w gronie patryotycznym polityków, którzy lękali się na niepewne narażać swych ziomków galicyjskich, tem bardziej, że wahającym się przypomniawszy de la Croix wszystkie objawy sympatyj, jakie rzeczpospolita okazała dla sprawy polskiej, dając im niedwuznacznie do poznania, że Francya obędzie się na przyszłość bez ich pomocy. Patryoci, zaskoczeni takim ultimum, zgodzili się jednomyślnie na plan zrewolucjonizowania Galicyi i wybrali z swego grona Ogińskiego oraz Mniewskiego celem udania się do głównej kwatery, tudzież omówienia wszystkich szczegółów planu Dąbrowskiego.

Legioniści pełni byli najlepszej myśli, gdyż z końcem marca nadszedł tyle pożądaný rozkaz, by Dąbrowski, ścigając rozrzucone komendy swego korpusu, podążał pospiesznym marszem do Palma-Nuowa. Polecenie to, zbliżające legion do linii bojowej, wykonane zostało z możliwym pospiechem, ale za przybyciem na miejsce przeznaczenia spadła na legion, gdyby grom z jasnego nieba, wieść o układach w Leoben. Wśród ogólnego przygnębienia pospieszył generał do Gracu, by uzyskać posłuchanie u Bonapartego i dowiedzieć się coś pewnego o losie swego oddziału. Prócz zaszczytnych wszakże pochwał dla waleczności i karności Polaków, usłyszał z ust naczelnego wodza tylko ogólnikową zachętę do dalszej wytrwałości i cierpliwości wraz z utyskiwaniem, że stosunki polityczne nie pozwalają teraz uczynić coś stanowczego dla sprawy polskiej. Z uczuciem bolesnego zawodu po-

wrócił Dąbrowski do swoich, lecz nie chcąc odbierać tułaczom tej resztki nadziei, jaka im przyświecała wśród niedoli, postanowił nie opuszczać sztandaru, który pierwszy rozwinął na obczyźnie i według otrzymanego rozkazu udał się wraz z legionem w ostatnich dniach sierpnia do Treviso.

Niemniej przykre wrażenie wywołała wieść o układach z Austryą między Polakami, przebywającymi w Paryżu. Nie było już mowy o wyjeździe deputacyi do Napoleona. Natomiast Bars, Wybicki i Prozor podnieśli myśl zwołania sejmku konstytucyjnego, zalimitowanego w roku 1792, do Medyolanu, utrzymując, że w ten sposób uda się stworzyć legalną reprezentację narodową za granicami kraju. Jakkolwiek wykonanie tego projektu natrafiało na znaczne przeszkody, już choćby ze względu na trudność w zgromadzeniu odpowiedniej liczby posłów, to przecież pomysł ów zdał się ostateczną deską ratunku zawiedzionym świeżo w najdroższych nadziejach robotnikom, a nawet w gronie dyrektoryatu znalazł pewne poparcie. Tak przynajmniej utrzymywał Bonneau, były rezydent francuski w Warszawie, z tym jednakowoż dodatkiem, że po ostatecznym zawarciu traktatu z dworem wiedeńskim oraz po powrocie Bonapartego do Paryża, należy się spodziewać zmian ważnych. Głównymi autorami sejmowego projektu byli Bars i Wybicki, którzy zniósłszy się z Dąbrowskim oraz z ważniejszymi osobistościami w gronie legionistów, starali się dla swej myśli zjednać ogół wychodźstwa i wygotowali okólnik, wzywający członków sejmku wielkiego, przebywających w kraju, by co rychlej spieszyli do Medyolanu.

»Usiłowałem im wykazać« — pisze w swych pamiętnikach Ogiński — »wielką niestosowność tego projektu, dałem im do zrozumienia niebezpieczeństwa i trudności, na jakie wystawiamy obywateli, którzy już tyle ofiar ponieśli dla ojczyzny. Przedstawiłem im w sposób przekonujący, że my wszyscy wychodźcy, pozbawieni majątków i nie posiadający żadnych zasobów, możemy rozporządzać naszym losem i żyć według usposobienia żłudne nadzieje, lecz, że jest rzeczą,

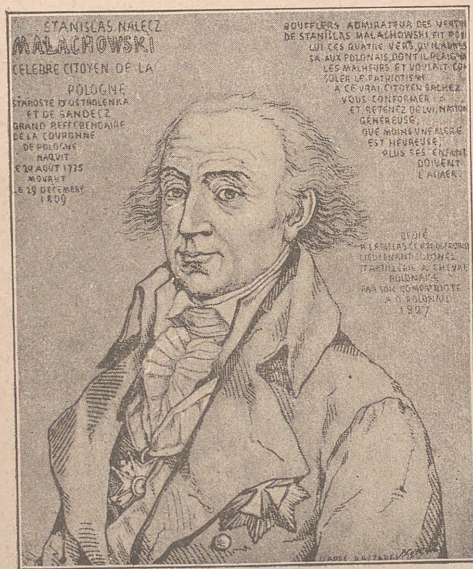
nierozsądną, nieludzką i niegodną nas, wzywać spokojnych włóścicieli, by opuszczali swe posiadłości, odrywać ojców rodzin od dzieci i wystawiać ich na krok sprzeczny w samym sobie, niepewny i nieużyteczny według mego przekonania...» Trzeźwe to zdanie wpłynęło o tyle na obradujące w Paryżu grono, iż zmieniono treść okólnika w tym sensie, że omówiono w nim ogólnie zasady zwołania sejmku w Medyolanie, wzywając byłych posłów, by podany projekt według własnego uznania rozważyli. Popełnili wszakże autorowie okólnika tę nieostrożność, iż w akcie swym wymienili nazwiska celniejszych członków sejmku wielkiego, jakoto Ignacego Potockiego i Małachowskiego, chcąc w ten sposób nadać wysłanemu orędziu więcej powagi i znaczenia. Samowolny ten krok wywołał fatalne następstwa. Na granicy bowiem cesarskiej schwytani zostali — jak już wspomniano — wysłańcy wychodźców: Woyczyński i Michał Kochanowski, a na podstawie znalezionych przy nich papierów, uwięziły władze austriackie marszałka Małachowskiego oraz Ignacego Potockiego. Małachowskiego wraz z Kochanowskim i z Woyczyńskim aresztowano w pierwszej połowie października t. r. i pod silną strażą odstawiono do Krakowa, gdzie traktowano wprawdzie marszałka z przyzwoitemi jego stanowisku względami, dano mu mieszkanie odpowiednie, pozwolono przyjmować gości i zatrzymać własną usługę, lecz mimo to śledztwo toczyło się powoli i dopiero w sierpniu 1799 roku odzyskał uwięziony wolność. Niemniej zagadkowem było porwanie Ignacego Potockiego, którego, bawiącego na kuracyi w Bardyowie, wśród nocy wywieziono do Krakowa. Przeszło rok trzymano go pod kluczem i dopiero za instancją księcia jenerała ziem podolskich odzyskał Potocki wolność. Wobec tego myśl zwołania sejmku medyolańskiego odłożono do lepszych czasów.

Tak więc jedyna nadzieja pomocy dla sprawy narodowej spoczęła znów w legionach, które wzięły czynny udział w blokadzie Wenecyi. Dumna ta rzeczpospolita utratą niepodległości przypłacić miała naruszenie neutralności, jakiego się dopuściła

podczas ostatniej kampanii, zwołując na tyłach armii francuskiej popolite ruszenie. Zatrwożeni odstępstwem Bergamo i Bescii, które oderwały się od jedności z królową Adryatyku, ogłaszając u siebie rzeczpospolitą, zamierzali oligarchowie weneccy odciąć odwrót Francuzom, których już za zgubionych uważali, a zarazem

podburzyli mieszkańców Weronny do powstania i rzezi, jakiej ofiarą, prócz szczerpłej załogi francuskiej, padli też ranni, leczący się w szpitalach tamtejszych.

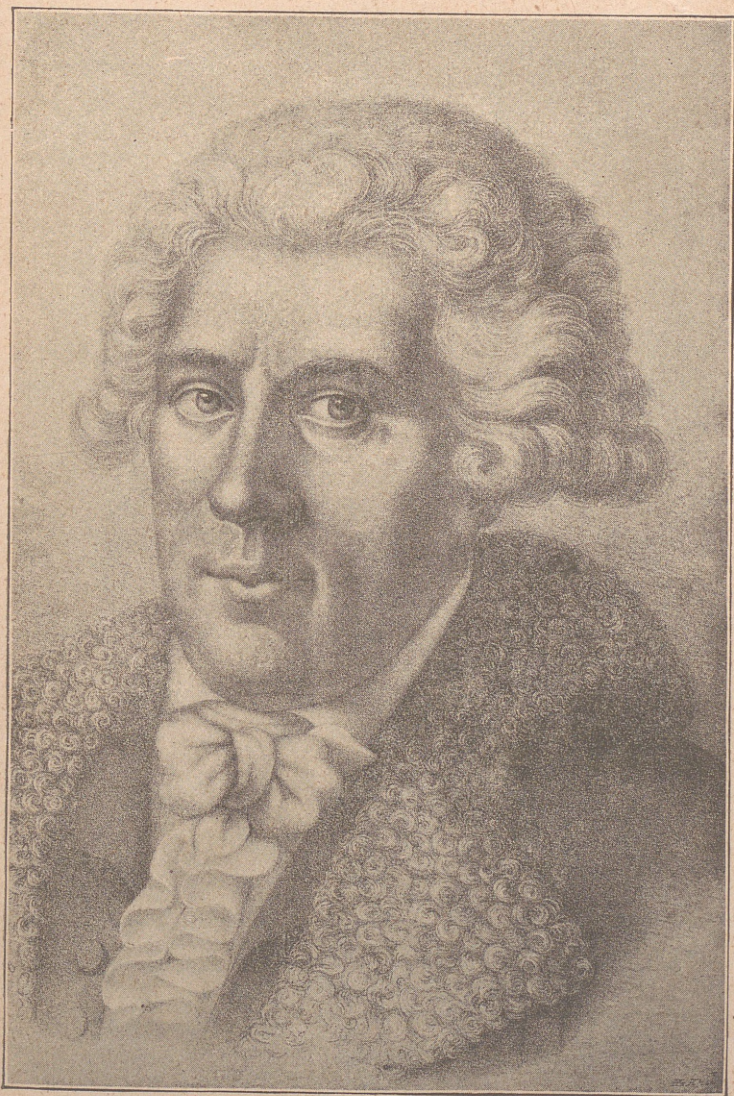
Czyn ten nie mógł ująć bezkarnie sprawcom i zaraz też generał La Hoz otrzymał rozkaz opanowania ponownego Weronny. W tym też czasie odwołany z pod Bescyi, powrócił do Medyolanu Libe-



MARSZAŁEK STANISŁAW MAŁACHOWSKI

wedle portretu Bacciarelego rytował A. Oleszczyński.

racki, którego wysłano również pod komendą La Hoza, zamierzającego obleżone miasto wzięść szturmem. Liberacki przybył pod Weronę w chwili, gdy kolumny francuskie, rażone ogniem kartaczowym powstańców, myślały już o zaniechaniu ataku na mury miasta. Widząc to, wsparł ustępujących swoim oddziałem i garstka Polaków pierwsza wdarła się na wały



IGNACY POTOCKI, MARSZAŁEK LITEWSKI
podług pastelu w Zakładzie narodowym im. Ossolińskich.

Werony. Liberacki jednak przyplacił czyn swój bohaterski życiem, gdyż walcząc w ulicach zdobytego miasta, odniósł postrzał śmiertelny, skutkiem którego trzeciego dnia ducha wyzionał. Rząd uczcił pamięć poległego łacińskim napisem na jego grobowcu wyrytym:

Liberackius.
Polon. Cohort. Praefect.
in proelis ad Veronam occubuit
suis antea monitis
aut vinendum aut moriendum
lege patria.

Wzniesiono też na cześć walecznego legionisty pomnik na jednym z placów mantuńskich, zburzony następnie przez wojska austriackie, zaś Cypryan Godebski uczcił pamięć towarzysza broni następującym sześciowerszem:

Tu mszcząc się na mieszkańcu praw ludzkich pogardy,
Szedł w sławie na wyścigi Sarmata z Lombardy;
A wprawiony do boju swoich przodków torem,
Stary uczeń Bellony nowemu był wzorem
I rycerz co odwagą w swej ojczyźnie słynął,
Walcząc mężnie za swoją, za cudzą tu zginął.

O zgonie Liberackiego krążyło wśród legionistów następujące podanie, zapisane przez szefa Drzewieckiego. Oto Liberacki pozostawał od lat młodych w ścisłej przyjaźni z starostą Grabianką, głośnym z dziwactw i mistycyzmu, który zaliczał się do gorliwych zwolenników Illuminatów, przebywających podówczas w Awinionie. Tam też czas dłuższy bawił przed wstąpieniem w służbę legionów Liberacki, którego Grabianka przestrzegał, iż w walce pierwsza kula go nie minie. Jakoż w Weronie przepowiednia się sprawdziła, wywołując przykre wrażenie nawet wśród ostrzelanych w boju żołnierzy.

Zdobycie buntowniczego miasta przyspieszyło chwilę poddania się Wenecyi, która nie znalazła nawet dość odwagi, by pomyśleć o stawieniu silniejszego oporu przeciwnikowi. Bonaparte wraz z szefem sztabu Berthierem oraz z adjutantem Sułkowskim udał się w samotrzeć do Wenecyi, do której po podpisaniu kapitulacyi weszły wojska francuskie, gdyby do zdobytego grodu. Podczas blokady Wenecyi legia przebywała chwilowo w Mestri, dokąd też przybyli Kniaziewicz z Drzewieckim, dążący z Galicyi pod bratnie sztandary. O ich przyjeździe zawiadomił bezzwłocznie Dąbrowski Bonapartego, bawiącego pod Campo-Formio, celem ostatecznych z Austryą układów i zaraz też otrzymał wiadomość, iż wódz naczelny pragnie widzieć Kniaziewicza. Główna kwatera mieściła się w Passiniano, gdzie nowoprzybyli spotkali zaraz po przyjeździe przyodzianego w zwykły surdut oficera, który zapytawszy ich, czego szukają, wskazał Kniaziewiczowi oraz jego towarzyszowi mieszkanie naczelnego wodza. Weszliśmy na piętro do obsznej sali — opowiada w swych wspomnieniach szef Drzewiecki — mnogość jenerałów z korną postacią oczekiwała z nami. Przy kominie dwóch adjutantów osuszało zmokłe, podróżne odzienia. Z nich jeden, widząc nasz mundur, zapytał jenerała o nazwisko i oświadczył, że był pożądanym. Że po polsku mówił, zgadliśmy, że to był Sułkowski. Dostrzegliśmy tu i zagranicznych, bo ich nieznanne wówczas we Francyi ordery zdobyły, a kilku w albańskim i w greckim stroju. Otwierają się podwoje, wchodzi Bonaparte, ten sam właśnie, który nam pokazywał przed chwilą, dokąd się udać mamy...

Pozdrowiwszy obecnych, zbliżył się wódz naczelny wprost do Kniaziewicza i stanąwszy z nim w głębokiej framudze pod oknem, przemówił do jenerała w te słowa:

— Wiem o ruchu w waszym kraju. Świadczy o tem licznie przybywająca młodzież i pan, który tu przybywasz. Radbym wam szczerze dopomódz, ale żadnej reprezentacyi nie widzę, z nikim traktować nie mogę. Gdzież jest Mała-

chowski i Sapieha? Gdzie członkowie ostatniego sejmku? Pragnęłam ich widzieć zebranych w Medyolanie...

— Nie są niestety swobodni — odparł Kniaziewicz. — Małachowskiego i Potockiego widziałem pod nadzorem policyjnym, Sapiehę w Wiedniu. Inni zapewne podobnego doznali losu.

— Wkrótce kończy się rozejm — ciągnął dalej Bonaparte. — Wkroczę do Węgier, które nas wzywają, równie jak Grecya i wyspy Jońskie. Widzisz tu ich posłanników. Mogę posunąć się aż po Karpaty...

— Po drugiej stronie Karpat niezawodnie wybuchnie powstanie — zawołał Kniaziewicz.

— Dobrze, ale zkąd broń? artylerya? — pytał żywo Napoleon i sam sobie odpowiadając dodał: — Choć może Turcy nam je przesłać dozwolą... Ale czy się to da w jednym czasie uskutecznić?

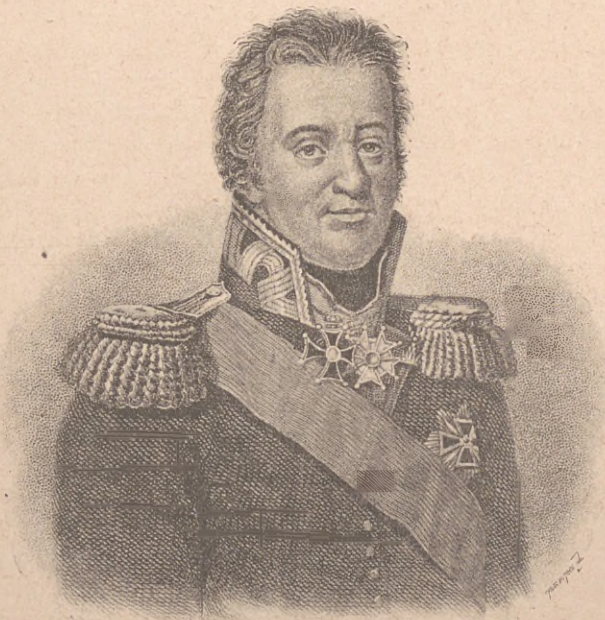
— Broń dostaniem z rąk nieprzyjaciela. Imię twoje dopomoże do zwycięstwa! — brzmiała żołnierska odpowiedź generała.

— Poszlę was w przedniej straży, a generał Bereguedilliers, który nią dowodzi, odprawi wasz przegląd. Z tą wiadomością wracajcie do swoich — rzekł wódz naczelny, dając tem samem do zrozumienia, że rozmowa skończona, i zwrócił się do dyplomatów z Wiednia przybyłych, którzy mu przywieźli warunki pokoju.

— Co to za warunki? — wykrzyknął groźnym głosem. — Niemasz pokoju, aż go w waszej stolicy podyktujemy.

I odszedł, zostawiając zdumionych taką odprawą posłów, podczas gdy w legionistach aż krew zagrała na tę wiadomość. Spodziewali się dalszego boju i z tem większą skwapliwością gotowali się do przeglądu, na który zjechał Bereguedilliers. Towarzyszyła generałowi uroczą małżonka, dzielająca z nim trudy kampanii. Rewia wypadła znakomicie, a tylko adjutant Tremo, zapatrzony w piękną generałową, wpadł wraz z koniem w wodę i z trudem został wyratowany.

Po kapitulacji Wenecyi dostał legion rozkaz wymarszu do Bolonii, gdzie stanął w połowie kwietnia i tam też otrzymał Dąbrowski radosną wiadomość, iż dawny jego podkomendny, Białowiejski, zebrawszy w Lille do tysiąca nowozaa-



JENERAŁ HENRYK DĄBROWSKI, NACZELNIK LEGIONÓW POLSKICH
(podług sztychu Villerey'a).

ciężnych, spieszy z nimi celem połączenia się z legionem. Maj zeszedł twórcy legionu na dalszych pracach organizacyjnych, zaś w dniu trzynastym czerwca udał się Dąbrowski do Medyolanu, gdzie już zastał znaczną ilość przybyłych z Polski oficerów. Byli między nimi: jenerał Wielohorski, pułkownik Chamand, majorowie Forestier i Zabłocki, tudzież wielu innych. Wielohorskiemu polecono zbadanie stanu służby zgła-

szających się do legionu oficerów, zaś Chamand pełnił zrazu obowiązki majora w świeżo zawiązanej legii drugiej, której dowództwo objął Kniaziewicz. Zabłocki piastował ten sam stopień w pierwszym legionie, gdzie też umieszczono Białowiejskiego i Forestiera w randze szefów batalionowych.

Tak więc Polacy w czerwcu 1797 r. tworzyli dwie legie piesze, każda w sile trzech batalionów, (batalion składał się z dziesięciu kompanij po 125 żołnierzy), oraz z trzech kompanij artylerji pod szefem Wincentym Aksamitowskim.

»Legion polski, pod komendą jenerała Dąbrowskiego, znacznie się powiększył« — pisał wychodzący we Lwowie *Dziennik patryotycznych polityków* w dniu 31 lipca t. r. — »rachują w nim 10.000 piechoty i jazdy. Jest teraz w służbie Rzeczypospolitej Czystałpińskiej, która go utrzymuje i opłaca. Liczy on wielu jenerałów, którzy pod panem Kościuszką służyli. Między innymi znajduje się w nim mężny Świstacki, były oficer grenadyerów krakowskich w czasie rewolucji. Ten legion zachowuje najściślejszą karność i teraz się w legacyach znajduje...«

Pod względem służby garnizonowej obowiązywał legionistów regulamin, przyjęty w armii francuskiej, lecz co do musztry i domowej karności trzymano się dawnego regulaminu wojsk narodowych, z tym jedynie wyjątkiem, że kara cielesna nie była w użyciu. Nie dziw przeto, że do legionów garnęli się bezustannie dezserterzy z armii austriackiej, tudzież polscy jeńcy wojenni, tak, iż niebawem obie legie miały dostateczny komplet szeregowców i podoficerów. Nie na wiele zdały się przeto ogłaszane przez dwory rozbiorowe zakazy, grożące karą śmierci wszystkim, którzyby poważyli się choćby tylko utrzymywać stosunki jakiegokolwiek z legionistami. Duch najlepszy panował wśród legionów, podsycany nadzieją rychłego powrotu do Ojczyzny i zmierzenia się z nieprzyjacielem.

Inne wszakże były zamysły Bonapartego, który żadną miarą nie chciał uwierzyć, by legionieści, rekrutowani w znacznej części z szeregów austriackich, mogli bić się odważnie

przeciw armii cesarskiej. I dlatego na wieść o rozruchach w Reggio, wywołanych poduszczeniami reakcyonistów wśród rodzinnych mas ludowych, otrzymał Dąbrowski rozkaz z głównej kwatery wyruszenia w okolice tego miasta i przywrócenia porządku. W pierwszych dniach lipca przybył generał na czele batalionu grenadyerów do Reggio, a już w przeciągu tygodnia mógł donieść naczelnemu wodzowi, że spokój panuje w zagrożonej powstaniem okolicy. Pobyt w Reggio upamiętnił się w dziejach polskiego legionu i całego narodu tym znamennym faktem, iż tutaj pod wpływem otuchy i wiary w lepszą przyszłość powstał mazurek Dąbrowskiego, ta pieśń bojowa wygnańców, która od tej chwili niejednokrotnie rozlegała się na widowni starć krwawych o wolność Ojczyzny.

Jak najnowsze badania wykazały, hymn narodowy »Jeszcze Polska nie zginęła« powstał z całą pewnością w Reggio, w lipcu tego roku, zaś autorem tekstu oraz kompozytorem muzyki był tyle zasłużony dla sprawy narodowej Józef Wybicki, który po rozwianiu się projektu zebrania sejmu konstytucyjnego w Medyolanie, znalazł się w tem mieście z początkiem kwietnia tegoż roku, dzieląc złe i dobre losy legionu. Lubo obcy wojennemu rzemiosłu i nie pierwszej już młodości, towarzyszył Wybicki wszystkim wyprawom rodaków i przyczynił się wiele — jak to wyznaje sam twórca legionów — przez swą odwagę, światłość, moralność i filozofią, do owej reputacyi, którą jego współrodacy zyskali sobie we Francyi i we Włoszech. Autor *Listów patriotycznych*, oraz wielu sztuk teatralnych, ożywionych znaczą tendencją podniesienia narodu z niedoli i z niemocy, osobisty przyjaciel i wielbiciel Dąbrowskiego, witał z najszczerzem uczuciem wschodzącą gwiazdę odrodzenia, chciał ogień własny przelać w serca swych towarzyszy.

Tak więc pod wpływem wypadków, wstrząsających całą Europą, pod wrażeniem wielkich zwycięstw Bonapartego, zanucił zacny piewca bojową pobudkę, pełną naiwnej prostoty, a jednak tryskającą życiem i siłą. Pieśń ta, gdyby zwiastunka rychłej swobody, witająca rodzinne pielesze, nietylko trafiła

odrazu do serc bezdomnych tułaczów, znajdujących w niej pokrzepienie na dalsze trudy i zapasy, lecz przedarła się przez góry i morza pod ojczystą strzechę, nucona z zapalem i przez tych, którzy o setki mil oddaleni od kraju, marzyli o nim i nocą i przez rodaków, dźwigających obce jarzmo na ziemi ojców. Słuszność nakazuje wyznać, iż nie sam tylko Wybicki pracował nad podniesieniem patryotycznego ducha i wyrobieniem uczuć obywatelskich wśród legionistów. Bojowe piosnki dla towarzyszy układali prócz niego szef Drzewiecki i Cypryan Godebski. Ten ostatni, zamianowany adjutantem przy Rymkiewiczu, przybyłym do Rzymu w maju 1798 roku, odkomenderowany został wraz z nim do Mantui, gdzie załogował drugi legion, którego komendę powierzono generałowi. Przybywszy na miejsce przeznaczenia, począł Rymkiewicz przy pomocy Godebskiego wydawać pisemko dla żołnierzy, zwane *Dekadą*. Nazwę tę wzięło rzeczzone wydawnictwo z republikańskiego kalendarza, w myśl którego rok dzielił się na dwanaście miesięcy po dni trzydzieści. Co dziesiąty dzień w miesiącu zwał się dekadą i był dniem spoczynku oraz wypłaty żołdu dla wojska. Oczywiście *Dekada*, wydawana dla legionistów, nie była tłoczona drukiem, lecz przepisywano ją na kilka rąk i odczytywano żołnierzom przy rozkazie dziennym. Każdy jej numer składał się z dwóch arkuszy bitego pisma i zawierał w jednej połowie tłómaczone z gazet francuskich wyciągi, obchodzące bliżej Polaków, a w drugiej korespondencye z różnych części kraju, otrzymywane z niemałym trudem przez legionistów. Nadto Rymkiewicz, dbały o zachowanie wśród legionistów nieskażonego języka polskiego, zalecał tłómaczyć wyjątki z dzieł naukowych i odczytywać żołnierzom, których wykształcenie głównie mu leżało na sercu, Godebski zaś oraz kapitan Paszkowski zajmowali się systematycznym kształceniem legionistów, ucząc ich arytmetyki, tudzież dziejów ojczystych.

Gdy Wybicki i jego towarzysze rodzimem słowem podtrzymywali ducha zapału wśród legionistów, budząc zarazem nadzieję lepszej doli w sercach ogółu narodu, nie ustawał

Dąbrowski w przypominaniu naczelnemu wodzowi polskich pragnień i żądań. W dniu dziesiątym lipca t. r. wystosował on z Reggio odezwę do Bonapartego, rozpoczynając się od słów: »Pozwól mi obywatelu jenerale być przed Tobą tłumaczem uczuć moich rodaków i towarzyszy broni, którzy się zgromadzili pod Twą opieką oraz zwierzchnictwem we Włoszech i daruj, że Cię zatrudnię przez chwilę sprawą nieszczęśliwego narodu.« ... W dalszym ciągu tego pisma opowiadał generał przebieg dotychczasowych usiłowań legionów, formowanych na ziemi włoskiej, tudzież na Wołoszczyźnie, a oczekujących jedynie stosownej chwili powrotu do ojczyzny... Nagłe układy przedwstępne pokoju zadały kłam naszym nadziejom — słowa odezwy. — Ale ponieważ nic w świecie nie zdoła nas odwieść od naszego przeznaczenia i dobijania się o wolność, przeto udajemy się do Ciebie obywatelu jenerale z ufnością, którą umiałeś nas natchnąć. Nadeszła chwila, która ma przynieść powszechny pokój Europie i państwom, składającym ją, zapewnić byt stały. W chwili tej, kiedy nawet nieprzyjaciele Francyi, którzy najwięcej złęgo wyrządzili ludzkości, jak naprzykład familia Burbonów, starać się będą o zapewnienie sobie jakiegokolwiek losu, czyż sami tylko Polacy zostaną zapomniani, czyż sami staną się ofiarą? I dla czego? Czyż za to, że służyli wiernie sprawie wolności, że pokazali światu, iż oddaleni o trzysta mil od ojczyzny zdołali stworzyć w ciągu pięciu miesięcy korpus sześciotysięczny?.. Nie możemy się do nikogo zgłosić, jeno do rzeczypospolitej francuskiej i cyzalpińskiej, które same tylko — jesteśmy tego pewni — uwzględnią nasze położenie z dobrą wolą, jakiej tylokrotnie daliśmy im dowody i mamy nadzieję, że za ich pośrednictwem otrzymamy prawo niezaprzeczone reprezentacyi narodowej na nadchodzącym kongresie pokoju. To są życzenia Polaków, tworzących legiony z wszystkich patryotów rozprószonych po całej Francyi — to woła całego narodu!

W trzy dni później nadeszła odpowiedź Napoleona na rzeczoną odezwę. Wódz naczelny oddawał zasłużone pochwały

jenerałowi za szybkie uśmierzenie rozruchu w Reggio, przyrzekając zarazem, iż na wypadek zerwania układów pokojowych odda pod jego rozkazy dywizyjną francusko-włoską i wyrażał nadzieję, że przyłączony do niej legion figurować będzie zaszczytnie. Co do żądania, które objawiłeś, aby Polacy weszli w skład kongresu — pisał Bonaparte w końcowym ustępie listu — czujesz sam, jenerale, jak to jest trudne. Życzliwość przyjaciół wolności jest po stronie walecznych Polaków, lecz zależy to od czasu i przeznaczeń, aby ją w życie wprowadzić...

Odmowna ta odpowiedź, osłodzona ogólnikową obietnicą przypuszczenia legionu do przyszłych zapasów z Austryją, mniej niekorzystne sprawiła wrażenie wobec równoczesnego rozkazu, by legie zbliżyły się ku przyszłej widowni walki. Już część legionu pod wodzą Wielhorskiego posunęła się pod Pisannę, gdy pewnego wieczora nadbiegł kuryer z doniesieniem o zawarciu z Austryją ostatecznego traktatu w Campo-Formio (dnia 17 października).

»Jenerałowie potracili głowy« — pisze w swym pamiętniku Drzewiecki — »puszczano krew Wielhorskiemu, zachorował Dąbrowski, Kniazewicz połowę swej energii postradał, legią jednak poprowadził.« Odwrót nastąpił na całej linii. Z końcem października główne siły legionu zajęły leże w Ferrarze, artylerya i dwie kompanie piechoty w Mantui, zaś batalion strzelców pod wodzą Chłopickiego posłano na załogę do Wenecyi, gdzie każdej chwili obawiano się wybuchu rewolucyi. Była to służba wielce uciążliwa, gdyż w mieście panowało nieustanne wzburzenie. Teatry i kawiarnie pozamykano, na ulice wytoczono działa, by w pierwszej chwili stłumić bunt w samym zarodku. Na szczęście jednak do rozlewu krwi nie przyszło i skończyło się na osadzeniu w zamku św. Michała ważniejszych wicherzycieli.

Tymczasem w Ferrarze oficerowie legionów zebrali się na naradę, by postanowić o przyszłym swym losie, a ostatecznym wynikiem tego zjazdu było wyrażenie zupełnego zau-

fania do Dąbrowskiego w połączeniu z prośbą, by generał zechciał być tłumaczem życzeń legionistów wobec Bonapartego. Mów do niego z tem głębokim przekonaniem i ufnością — upraszali oficerowie w swym adresie do Dąbrowskiego wystosowanym — jakimi natchnąć Cię powinny dobro, szczęście i chęć odbudowania ojczyzny!... Z tem oświadczeniem popieszył generał raz jeszcze do głównej kwatery, polecając względem naczelnego wodza sprawę polską, poczem Bonaparte opuścił Włochy, zostawiając główne dowództwo Berthierowi.

W dniu siedmnastym listopada wyruszył Bonaparte, stojący u szczytu wojennej chwały i popularności, na konferencye, odbywające się w Rasztacie, witany w przejeździe jak tryumfator, lecz zaraz po jego wyjeździe widnokrąg polityczny we Włoszech zaniepokoiły groźne ruchy, których widownią było państwo kościelne. Kierownik polityki zagranicznej, rzymskiej, wszechwładny chwilowo kardynał Bosca, nie wiązał się zbyt przysiężeniem zachowania neutralności, danem w Tolentino, a działając wrogo przeciw Francji po za granicami posiadłości papieskich za pośrednictwem swych emisaryuszów, przesłał równocześnie zwolenników zasad republikańskich na terytorjum jego władzy podległym. Prześladowani nie omieszkali upraszać o pomoc Berthiera, który nie chcąc mięszać bezpośrednio w ową sprawę Francję, zalecił Dąbrowskiemu przekroczyć granicę kościelnego państwa, oddając zarazem pod jego rozkazy, prócz legii polskiej, także oddziały wojsk rzeszypospolitej cyzalskiej, z której nowym rządem zawarł był generał konwencyą jeszcze w dniu siedmnastym listopada t. r. Kilka tygodni czasu zabrały konieczne przygotowania do owej ekspedycyi, zanim biorące w niej udział wojska zebrały się w Rimini i dopiero w dniu trzecim grudnia wyruszono w pochód. Miejscowość Poggio di Berni zajęto bez wystrzału, natomiast komendant papieżkiej twierdzy San Leo odmówił bezwarunkowo poddania tej warowni, która położona na niedostępnej skale, trudną była do opanowania, ile że Dąbrowski nie posiadał dostatecznej artylerji, która dopiero w styczniu

nadciągnęła do Rimini. Nie pozostało mu przeto nic innego, jak blokowanie twierdzy, pod której murami przyszło w dniach czwartego i piątego grudnia do krwawej rozprawy między wojskiem oblężniczem a spieszącą w pomoc oblężonym odsieczą. W obu starciach odparto odsiecz ze znacznymi stratami w jej szeregach i nie zwlekając dłużej, w dniu siódmym grudnia, dał Dąbrowski rozkaz do wzięcia warowni szturmem. Na czele kolumn atakujących stanęli grenadyerzy legionu i na bagnety zatknąwszy swe bermyce, zdobne w czerwone kity, ruszyli przodem wśród wojennego okrzyku. Z murów zamku ozwały się kilkakrotne salwy działowe, nie czyniąc szturmującym znaczniejszej szkody, ale już po dwugodzinnej walce ukazała się na wałach twierdzy biała chorągiew. Załoga kapitulowała, zastrzegając sobie wolne wyjście z bronią i z bagażami. Natomiast działa i magazyny stały się łupem zwycięzców, którzy zaraz po oddaniu warowni przez komendanta wojsk papieskich pospieszyli na oględziny więzień tamtejszych, kutych w skale. Zwiedzano z ciekawością celę, w której siedział Cagliostro, siłąc się, acz napróżno, na odgadnienie znaczenia kabalistycznych znaków i napisów, pokrywających jej ściany i uwolniono natychmiast uwięzionego w jednej z kaźni żyda polskiego, talmudzistę, osadzonego w twierdzy z powodu zapalczywości, z jaką bronił swych zasad w dyspucie z teologami rzymskimi. Zresztą nie znaleziono w twierdzy żadnych przestępców politycznych i zostawiwszy w niej załogę, posunął się Dąbrowski w głąb państwa kościelnego.

Wojska papieżkie cofały się bez oporu i w przeciągu miesiąca całe księstwo Urbino było w rękę armii republikańskiej, podobnie jak prowincya Pezaro, której zarządca, kardynał Saluzzo, znający Polaków z czasów, gdy jako nuncyusz bawił w Warszawie, sam zawiązywał Dąbrowskiego do zajęcia jego rezydencji, w której nie czuł się bezpiecznym wobec podburzonego pospólstwa. Lecz podczas, gdy prowincye Państwa Kościelnego niemal bez krwi rozlewu dostawały się w ręce sprzymierzeńców Francyi, wieczne miasto stało się

widownią poważnych zaburzeń, które spowodowały dyktando do formalnego wypowiedzenia wojny władzy papieżkiej. Pod wpływem polityki angielskiej, wiele znaczącej w królestwie neapolitańskim, stolica rzymska zwlekała z uznaniem rzeczypospolitej cyzalpińskiej, a nadto, polegając na obietnicy posiłków z Neapolu przyrzeczonych, coraz to obojętniejsze utrzymywała stosunki z paselstwem francuskim, na którego czele stał brat Napoleona, Józef Bonaparte.

Tymczasem zasady republikańskie zyskiwały coraz to więcej zwolenników wśród ludności rzymskiej, a nawet wśród starych rodów arystokratycznych wiecznego miasta nie brakło stronników Francji, kupiących się pod przewodem książąt Borghezów. W ostatnich dniach grudnia 1797 roku nastąpiła katastrofa. Tłum ludu zgromadził się przed pałacem poselstwa francuzkiego, wydając okrzyki na cześć rzeczypospolitej. Józef Bonaparte w towarzystwie generała Duphot, zaniepokojony tą demonstracją, napróżno usiłował nakłonić jej uczestników do rozejścia się, lecz w chwili, gdy członkowie poselstwa zmieszali się z tłumem, przepełniającym ulicę, uderzyło na zgromadzonych wojsko. Wśród ogólnego zamieszania padł, ugodzony śmiertelnie, Duphot. Z skutkiem czego przedstawiciel Francji zażądał swych paszportów i opuszczając Rzym, zawiadomił o doznanej zniewadze Berthiera, jako głównodowodzącego armią włoską, a równocześnie odwołał się do pomocy Dąbrowskiego, który posunął się pod Fano, podczas gdy wojska papieżkie skoncentrowały się w Foligno w Perugii.

Taki był stan rzeczy, gdy w dniu dwudziestym siódmym stycznia 1798 roku zjawił się niespodziewanie w kwaterze Dąbrowskiego generał Berthier i zapytał go groźnym tonem, co go do tego przywiodło, iż na własną rękę zajmował posiadłości papieżkie? W odpowiedzi złożył mu Dąbrowski pismo, otrzymane od Józefa Bonapartego, tudzież wezwanie kardynała Saluzzo, dodając, iż ważne te pozycje zajął bez straty choćby jednego żołnierza. Ale Berthier, korzystając z przewagi, jaką mu dawało naczelne stanowisko, jął wyrzucać na-

czelnikowi legionów, iż, stojąc na czele szczupłej garstki, chciał działać zaczepnie i w ten sposób mógł skompromitować niezwyciężoną dotychczas armią. Godną wszakże odprawę otrzymał on z ust naszego generała, który wręcz wyraził zdziwienie z powodu, iż tego rodzaju wyrzuty spotykają go ze strony towarzysza broni Bonapartego, stwierdzającego na każdym kroku czynem, że kraje zdobywają się nie ilością żołnierzy, lecz zręcznością i odwagą...

Ostatecznie jednak musiał Dąbrowski postąpić według rozkazu swego zwierzchnika, który zalecił mu pozostać na stanowisku, dopóki nie zostanie zastąpiony przez dążące z jak największym pośpiechem w tym kierunku kolumny francuskie, a następnie cofnąć się do Rimini. Jakoż niebawem ściągając się poczęły do Urbino i Ankony, brygady Berthiera. Piechotę dla pośpiechu transportowano na wozach, zaś działa wieziono pocztą. W miarę zbliżania się sił liniowych, ustępowały legiony ku Rimini, dokąd też w dniu siódmym lutego przeniósł się wraz z swym sztabem Dąbrowski, który skazany na chwilową bezczynność, skorzystał z chwili wytchnienia, by znów w drodze dyplomatycznej poruszyć sprawę polską. Powód do tego kroku nastąpiła mu nota, nadesłana w owym czasie przez pewnego Polaka, »znakomitego przez swe talenta, patriotyzm oraz ważne urzędy, piastowane w kraju« — jak się wyraża Dąbrowski w swym pamiętniku, pisząc o autorze memoriału. Nowy ten projekt dotyczył mianowicie restauracji Polski przy pomocy dworu wiedeńskiego, który najmniej interesowany w akcie rozbioru Rzeczypospolitej, najmniej też odczułby utratę nabytych prowincji a najwięcej mógłby zyskać na restauracji Polski, tworzącej naturalne przedmurze monarchii Habsburgów wobec wrogich zakusów jej północnych sąsiadów. Cesarz austriacki — czytamy w owej nocie — silniejszy od każdego z tych dwóch mocarstw, wziętych oddzielnie, mógłby się mniej obawiać koalicji obu swych przeciwników, deklarując się po stronie polskiej, gdyż charakter protektora zjednałby mu powszechne zaufanie Polaków, którzyby go

wspierali, gromadząc się koło jego chorągwi dla zwalczenia wspólnych nieprzyjaciół... Z wszystkich krzywd, które Polska wyrzuca swym uzurpatorom, Austria jest tą, która się ich najmniej dopuściła. Opinia publiczna wśród Polaków jest jej już przez to samo najmniej przeciwna. Miałaby więc daleko mniej trudności w pozyskaniu ich zaufania, nadewszystko, gdyby wiadano, że Francya brała ją za przywódcę w odzyskaniu praw i niepodległości Polski.

Zaznaczywszy w ten sposób powody, dla których restauracya Rzeczypospolitej najłatwiej może nastąpić za pomocą Austrii, zastanawia się anonimowy autor nad środkami, jakimi należałoby skłonić dwór wiedeński do podjęcia zadania wskrzeszenia Polski. Za taki środek uważa traktat przymierza Austrii z Francją, w myśl którego ta ostatnia osadziłaby na tronie konstytucyjnym, polskim arcyksięcia Karola, ożenionego z księżniczką saską. Traktat rzeczony nie doznałby żadnej przeszkody ze strony Turcyi i Szwecyi, przez Rosyą zagrożonych, a carat, oraz Prusy, występujące przeciw projektowi wskrzeszenia Polski, miałyby do czynienia nie tylko z Polakami i z Austrią, lecz nadto z Francją, Turcyą, Szwecją i Saksonią. Podnosi następnie nota, że Francyi, jako pierwszemu narodowi w Europie, wypada przedewszystkiem skarcić niesprawiedliwość, tudzież ucisk, i powraca do znanego już nam projektu zwołania zalimitowanego sejmu konstytucyjnego na ziemi włoskiej. Taka reprezentacya narodowa, stanąwszy na czele wojska polskiego, istniejącego we Włoszech — konkludował autor memoryału — postarałaby się wspólnie z mocarstwami zaprzyjaźnionemi oświecić cały naród o przywróceniu jego niepodległości w formie, jakąby za najwłaściwszą uznano w miejscu jej posiedzeń. Gdyby Rosya i Prusy, przewidując następstwa tego wypadku politycznego, zdecydowały się miały na przedsięwzięcie stosownych środków celem ogólnej pacyfikacyi, wówczas Francya winna wesprzeć polską reprezentacyą narodową w układach o pokój powszechny. Gdyby zaś przeciwnie te oba mocarstwa, zaślepione swym osobnym

interesem, chciały go bronić i opierać się postanowieniu sejmowemu, wówczas sejm przystąpiłby do działań, jakieby uznał za stosowne do okoliczności, oraz jakieby mu wskazały mocarstwa, współpracujące nad szczęściem narodu.

Energiczna ta nota, doręczona Dąbrowskiemu, zachęciła go do podniesienia sprawy polskiej na wiedeńskim dworze za pośrednictwem Bernadottego, przedstawiciela Rzeczypospolitej nad modrym Dunajem. Przesłał więc otrzymany memoriał generałowi, który niejednokrotnie oświadczał się z sympatjami dla Polaków, używszy do tej misji kapitana Biernackiego z poleceniem, by w razie potrzeby udzielił posłowi ustnych wyjaśnień. Jakkolwiek Austria chwilowo zbliżyła się do Francji, to przecież nie zdołała się zdecydować na krok tak stanowczy, jakim było zerwanie z dworami rozbiorowymi i wystąpienie w charakterze wskrzesicielki Polski. Tak więc i nota anonima, mimo poparcia jej u Bernadottego przez wspomnianego już poprzednio Bonneau i przedstawień samegoż posła u sfer decydujących w Wiedniu, nie doprowadziła do żadnych, pozytywnych rezultatów.

Niepewność oczekiwania na wynik poczynionych u Bernadottego starań skróciła legionistom wiadomość o odwołaniu Berthiera do Paryża. Miejsce jego w dowództwie armii rzymskiej zajął Massena, zaś komendę wojsk cyzalspińskich oddano generałowi Brune, który przybyłemu do Medyolanu po nowe rozkazy Dąbrowskiemu polecił zastąpienie w Civita Vecchia częścią legionu wyprawionych do Egiptu oddziałów francuzkich oraz wzmocnienie główną siłą swego korpusu załogi Rzymu. Wskutek tego, w połowie kwietnia, wyruszyli legionieści w pochód z Rimini, idąc wolnym marszem, nie nagabywani ze strony ludności, która nauczyła się już ich odróżniać od niekarnych wojsk francuzkich, nieposzanowaniem religii oraz łupieństwem ściągających przeciw sobie nienawiść krajowców. W Pezaro przyjął gościnnie legionistów kardynał Saluzzo, który wraz z całym domem mile wspominał czasy w Warszawie spędzone i przyjęcie, jakiego w Polsce doznawał. On

i ci co go otaczali, pamiętali Warszawę — pisze w swych wspomnieniach Drzewiecki — przypominali nazwiska osób, gościnność polską wielbili, bogobojność podziwiali, siebie i Rzym polecając jako dawnym znajomym, licząc na wyniesione z kraju uczucia. Lud nas widział po kościołach, do których jednego domowa pobożność, innych sztuk pięknych zamiłowanie kupami wiodło; dawano nam listy do znajomych w Bzynie.

Niemniej życzliwe przyjęcie spotkało Dąbrowskiego oraz jego towarzyszy w Immoli, w rezydencji kardynała Claramonti, który później zasiadł na stolicy Piotrowej pod mianem Piusa VIII. W Immoli wypadł dłuższy postój legionistom z powodu rozruchów, jakie zdarzyły się wśród okolicznego ludu. Ponieważ kwatery jenerała oraz całego sztabu mieściła się w pałacu kardynalskim, przeto uprzejmy gospodarz tego gmachu zapraszał do siebie często na gawędę i jego przybocznych oficerów, wobec których nie taił przyjaznych uczuć dla Polaki. W obszernej, niezbyt bogato przybranej sali stało przy kominku marmurowym wygodne krzesło kardynała, podczas gdy zaproszeni zajmowali zazwyczaj miejsce na taborecie. Kardynał nosił strój cywilny i tylko fioletowa czapeczka była oznaką wysokiej jego w kościele godności. W rozmowie z legionistami unikał on wszelkiej wzmianki o toczącej się walce, natomiast rozwodził się szeroko nad upadkiem moralności i rozluźnieniem obyczajów.

— Widzę skutki lekceważenia wiary — zwykł był mawiać w takich razach Claramonti — zniknęła ufność między podwładnymi a rządem, który w każdym widzi nieprzyjaciela, a ów w każdej władzy ciemiejącę. Wiara tylko połączyć ich mogła, rozróżniając, co jest wolą Boga a co namiętności ludzkiej dziełem. Wiara uczy, jak wolę Bożą znosić a namiętności z serca wykorzeniać należy, bez względu na to, jakie kto stanowisko na tym świecie zajmuje...

Słowem między kardynałem a legionistami, którzy wynieśli z domu ducha wiary i poszanowanie kościoła, nawiązał się stosunek szczerzej życzliwości. To też, gdy nadszedł rozkaz

wymarszu, żołnierze żegnali z rozrzewnieniem czcigodnego starca, który ich po ojcowsku błogosławił.

Dalszy pochód odbywał się na Ankonę, Spoleto i w dniu trzecim maja 1798 roku weszła legia do Rzymu. Żołnierz polski pragnął pokazać się najokazalej u wstępu do wiecznego miasta. Wystąpili więc legionieści w odświętnych mundurach a postacie ich marsowe, obcy język komendy i chęć ujrzenia nieznanego dotychczas ludu zgromadziły tłumy Rzymian na ulicach.

— Motłoch nas za wojsko cesarza rzymskiego uważał — pisze szef Drzewiecki — kapłani za lud kościołowi przychylny a zawsze zbierający się pod chorągiew Maryi, inni za pogrom Muzułmanów, za uczestników ostatnich wypraw krzyżowych, teraz przychodzących na obronę wiary i krzyża. Byli i zasnućeni, jakby mówić chcieli: Dopełniają ucisku naszego! Ale to byli ludzie myślący, a takich w tłumie nie wielu...

Najpiękniejsza pogoda towarzyszyła wejściu legionistów do Rzymu. Okna przepelniały kobiety, ciekawie spoglądające na jasnowłosych, roślących i barczystych synów północy, którzy w trzech kolumnach weszli przy odgłosie trąb i bębnow na kapitolnińskie wzgórze. Rozwinęły się szeregi dokoła posągu Marka Aureliusza i w środek szyku wjechał Dąbrowski, który w te słowa odezwał się do swych podkomendnych:

»Stanęliście na szczycie góry, na której od tylu wieków sława jaśniała. Ona i wam towarzyszy. Pomnijcie, w jakim dniu wstępujecie tutaj, w dniu drogiej dla nas pamiątki. Niech godło sławy i miłości kraju w sercach waszych na zawsze pozostanie!«

Po tej przemowie rozeszło się wojsko na kwafery, Dąbrowski zaś, korzystając z podniesłego nastroju, panującego w owej chwili wśród legionistów, polecił w rozkazie dziennym młodzieży i oficerom, by nie marnując czasu daremnie, w godzinach wolnych od służby zajmowali się swem wykształceniem, zwłaszcza w zakresie języka ojczystego, historii i matematyki, gdyż we wszystkich okolicznościach — wedle słów

rozkazu — a mianowicie w tej, w której się obecnie znajdujemy, powinni Polacy zwracać na siebie uwagę Europy nie tyle liczbą, ile cnotami, wyższemi od tych, jakich się wymaga od zwykłego wojownika...

Klasztor Ara Coeli przeznaczono na pomieszczenie legionistów, którzy w dniu ósmym maja obchodzili uroczyste święto patrona Polski w kościółku świętego Stanisława, wznoszącym się przy uliczce Del li Polachi. Z niemniejszą solennością święcili legioniści akt wręczenia w dniu ósmym czerwca chorągwi Mahometa, zdobytej przez Jana III pod Wiedniem a przechowywanej w Loretto. Do odebrania tego sztandaru otrzymał Dąbrowski upoważnienie z głównej kwatery. Niezwłocznie więc polecił stojącemu niedaleko Loretto ze swą komendą kapitanowi Kozakiewiczowi przeniesienie chorągwi do Rzymu, co też z wszystkimi honorami wojskowemi uskutecznił. Równocześnie otrzymał Dąbrowski w dani od jednego z konsulów Rzeczypospolitej rzymskiej klingę szabli Sobieskiego wraz z sztandarem zdobytym, Matce Przenajświętszej Loretańskiej ofiarowanej. Z drogocennej rękojeści tej szabli, szczerozłotej i wysadzanej kosztownemi kamieniami, nie pozostało już w owym czasie ani śladu.

Pamiątkowe owe dary nie zdołały wszakże zaradzić panującemu wśród legionu niedostatkowi. Żołnierz był źle ubrany i niepłatny, gdyż z powodu częstych zmian w składzie rządu Rzeczypospolitej cyzalpińskiej ani byt legii pod względem prawnym, ani też tem mniej pod względem materyalnym nie był dostatecznie zapewniony. Dąbrowski i Wielohorski czynili w tej mierze usilne starania w Medyolanie, ale na razie nie zdołali usunąć różnorodnych trudności. Tymczasem legioniści pełnili służbę o chłodzie i głodzie. W legii, cierpiącej początkowo na brak oficerów, znajdowało się wówczas więcej niż czterdziestu oficerów nadliczbowych, którzy częściowo poprzestawali na stopniu podoficerskim, a częścią też zastępowali chorych lub nieobecnych kolegów. Rząd nie chciał im nawet przyznać żywności w racyach, więc też zamożniejsi służyli o własnym

koszcie, a na uboższych składali się koledzy, dzieląc z nimi kwaterę, żołąd i żywność. Toż samo i szeregowcom dokuczał niedostatek. Francuzi, przywykli do żartów nawet wśród nędzy, opowiadali, że żołnierzom armii polskiej wydzielano dziennie ośm kasztanów i cztery żaby na całe pożywienie... Wilczy apetyt naszych wiarusów wprawiał w podziw oficerów francuzkich, powtarzających z uśmiechem o Polakach: *Ah ce sont de braves coquins; ils mangent comme les loups, boivent diablement et se battent comme les lions...* Rząd z powodu drożyzny żywił legionistów jak najgorzej. Chciał temu Dąbrowski zaradzić, a wiedząc, że przy żniwach, rozpoczętych na olbrzymich łanach, osuszonych z pod dawnych bagien pontyjskich, płacono robotnika po talarze dziennie, pozwolił legionistom najmować się do tej roboty. Ale nadmierne upały oraz wyziewy z pobliskich moczarów wywołały wśród nich złośliwą gorączkę. Malaria zaczęła dziesiątkować biedaków. Zrazu lekarze myśleli, że przyczyną śmiertelności wśród naszych jest brak kwasów, do których żołnierz w kraju nawykł. Nakupiono więc buraków i kapusty, kwaszono je w olbrzymich kadziach i rozdawano szeregowcom. Mimo to śmiertelność się nie zmniejszyła, a sekcyja pośmiertna wykazała gangrenę w żołądku zmarłych. Co rychlej więc rozkazano żołnierzy ściągać do koszar, w których dawna rozgościła się bieda. Szeregowcy szemrali, zaś Włosi widząc ich, modlących się po kościołach i przystępujących tłumnie w bazylice św. Piotra do konfesyonału, gdzie znalazł się polski spowiednik, sądzili, że Polacy, jako katolicy połączą się z nimi. Nadomiar złego, spowiedników, ksiądz Fałęcki, wdał się w politykę, pouczając żołnierzy, że nie godzi się uciskać własną wiarę, oraz że należy im kochać katolików. Wiarusy, w niepewności co czynić, zebrali się na naradę w koszarach, poczem wysłali do Dąbrowskiego deputacyą z oznajmieniem, iż ksiądz na spowiedzi kazał im kochać baurów — jak nazywali krajowców — bo oni są lepsi chrześcianie od Francuzów... Dąbrowski, widząc grożące niebezpieczeństwo znowy, a oraz nie chcąc ściągnąć kary na

księdza, posłał mu rozkaz wyjazdu z Rzymu wraz z zasiłkiem na drogę. Ale ksiądz Fałęcki pieniędzy nie przyjął i podziękowawszy za wczesne ostrzeżenie, zaraz z miasta wyjechał. Mimo to nie ustawały zakusy ze strony pewnej części mieszkańców celem namówienia legionistów do sprzeniewierzenia się sprawie republiki. Knowania te wszakże nie doprowadziły do żadnego skutku i ustały po rozstrzelaniu kilku główniejszych podżegaczy. Nieszczęśliwym tym ofiarom towarzyszyło silne współczucie ludności, która krew ich, przelaną na placu egzekucyi, starannie zbierała w chustki i unosiła ją z sobą, gdyby relikwie.

Wśród przykrych tych zająć upłynęły legionistom chwile pobytu w Rzymie. W drugiej połowie lipca Dąbrowski widząc, że przez listy i posły nie zdoła niczego wskórać dla legionu, udał się do Medyolanu, a komendę w swem zastępstwie oddał Kniaziewiczowi. Ten ostatni, dzień cały zajęty służbą, mniej zwracał uwagi na to, co się po za jej obrębem dzieje, skutkiem czego na bruku rzymskim poczęli podnosić głowy awanturnicy, jakich nigdy nie brakło w czasach wojennych. Wprawdzie o politycznych wicherzeniach żaden z owych rycerzy, strojących się w cudze piórka, nie pomyślał. Odstrasza-
jąco pod tym względem podziałał na nich przykład Turskiego i Neymana, których na przedstawienie Dąbrowskiego żandar-
mami za Alpy wyprawiono. Natomiast nie obyło się bez in-
nych wybryków, które nie przynosiły zaszczytu imieniowi pol-
skiemu. Głównym bohaterem tych awantur był niejaki Hadz-
kiewicz, świeżo przybyły z Litwy, człowiek podobno zdolny
i żołnierz nie bez zalet, czego dowody złożył w powstaniu
wileńskim dziewięćdziesiątego czwartego roku, ale przytem
duch niespokojny, a co gorsza, namiętny szuler. Z kraju przy-
jechał z suto zaopatrzonym trzosem, zdobytym — jak mó-
wiono — przy zielonym stoliku i początkowo oświadczył go-
towość wstąpienia do legionów. Ale Dąbrowski pozbył go się
grzecznie wymówką, że wobec nadmiernej ilości oficerów nie
mógłby mu dać odpowiedniego stopnia i Hadzkiewicz przy-

łączył się do przebywającego w Rzymie byłego generała - inspektora Grabowskiego, w którego wmówił, że prowadząc dom otwarty i przyjmując u siebie dygnitarzy oraz generałów francuskich, podniesie znaczenie Polaków w sferach rządowych i kto wie, czy z czasem nie uda się mu zająć naczelnego stanowiska w legii. Zrazu Grabowski żywił pewne wątpliwości co do przedłożonego mu projektu, tem bardziej, iż Hadzkiewicz podejmował się opędzenia kosztów przyjęcia z własnej kieszeni. Skoro jednak projektujący zaręczył mu, iż kart do ręki nie weźmie, Grabowski uspokojony w zupełności, zgodził się na wszystko.

Jakoż w kilka dni później odbył się świetny wieczór w paradnych salonach pałacu Borghese, zamawianych przez Grabowskiego. Wszyscy dostojnicy wojskowi i cywilni nie omieszkali stawić się na zaproszenie, podobnie jak wiele osób z arystokracji rzymskiej, stęsknionych za zabawami. Przyjęcie było wspaniałe, bawiono się rozmową i grą w karty, bez śladu wszakże hazardu. Hadzkiewicz stronił od gry zupełnie i dopiero nad ranem, gdy panie odjechały do domu a gospodarz znużony udał się na spoczynek, rozpoczęli pomocnicy jego ciągnąć banczek. Po chwili już przy kilku stołach odbywała się gra szalona i w ostatecznym rezultacie kilku młodych ludzi z miejscowej arystokracji zgrało się do nitki. Zawiadomiony o tem dnia następnego Grabowski, zerwał z Hadzkiewiczem i zaniechał dalszych przyjęć, których koszta miała opędzić gra. Mimo to Hadzkiewicz kart nie porzucił, a co gorsza, na instancją Macdonalda, jako naczelnego wodza, uzyskał niebawem pomieszczenie w legionie...

Podobnym do Hadzkiewicza typem był Zaremba, który w Paryżu przez czas dłuższy udawał... admirała polskiego... a po traktacie w Leoben pojawił się we Włoszech, gdzie jako marynarz odbywał przegląd floty w Ankonie. Zatrzymywał się ten samozwańczy dostojnik także w Rimini i z wyższego rozkazu oddawano mu honory wojskowe. Tem też większe było zdumienie legionistów, gdy w Rzymie ujrzeli Zarembę w księżej

sutanie, uganiającego się przez dzień cały za płåtami mszami, których, jak złośliwi twierdzili, codziennie kilka odprawiał. Widocznie jednak zdemaskowano rychło awanturnika, gdyż niebawem znów ujrzano go w mundurze oficera armii francuskiej. Musiał mieć ów Zaremba wyższe usposobienie na oszustwa, gdy mu się tak udawało — dodaje w swych zapiskach jowialny Drzewiecki...

Pobyt w Rzymie upamiętnił się w gronie legionistów krwawem zajściem, którego ofiarą padł dzielny major Zabłocki. Sprawa przedstawiała się, jak następuje. Oto przy pierwotnej formacyi pierwszego legionu komendantem trzeciego batalionu zamianowany został Zabłocki, żołnierz jeszcze kościuszkowski, lecz później na usilne nalegania Sułkowskiego, adjutanta Napoleona, oddał Dąbrowski dowództwo batalionu Grabińskiemu, zaś dla Zabłockiego stworzył osobny stopień majora legii. Wobec Grabińskiego mimo to Zabłocki zachował urazę, której nie taił, tak, iż niechęć owa udzieliła się także oficerom trzeciego batalionu, odznaczającego się żółtymi wyłogami i z tego powodu zwanego żartobliwie przez Dąbrowskiego polentą, to jest mamałygą... Pewnego dnia Zabłocki, spotkawszy w kwaterze jeneralskiej kapitana batalionu, Haumana, powitał go drwiącym tonem:

— Jak się masz, Polento?

Odpowiedział na to zagadniony, że przezwisko to znosić może tylko z ust Dąbrowskiego, jako objaw jego przychylności, a równocześnie oświadczył majorowi, iż w służbie nie pojmuje żartów... Nie omieszkął więc Zabłocki wyzwać kapitana. Spotkanie na pistolety odbyło się nazajutrz, i Zabłocki odniósł w niem śmiertelną ranę. Konając, zaklinał jeszcze towarzyszy, by unikali zwad osobistych, pomnąc, że ojczyzna ich krwi potrzebuje. Zgon Zabłockiego powszechną wywołał żalność wśród legionistów. Hauman, jego sekundant Szumlański, tudzież Grabiński musieli opuścić legion, przyłączając się do ekspedycyi egipskiej, a śmierć Zabłockiego przez dłuższy czas odstrasżającym pozostała przykładem dla zbyt pochopnej

do pojedynku młodzieży. Mimoto pojedynki zdarzały się bardzo często między Polakami a Francuzami, jakkolwiek oficerowie obu narodowości sympatyzowali między sobą. Słynnym w całej armii włoskiej stał się z tego powodu Jakób Bogusławski, zmarły jako pułkownik oraz komendant korpusu inwalidów, w lipcu 1819 roku w Warszawie, który w ciągu życia odbył sześćdziesiąt pojedynków i piętnastu przeciwników położył trupem na placu spotkania. Bogusławski, zwany też piekielnym człowiekiem, był oficerem wojsk narodowych jeszcze przed rozbiorem kraju, następnie służył jako kapitan w francuskiej armii, walczącej nad Renem, i w roku 1797 zaciągnął się w tymże stopniu do legionów włoskich. Stacyonowany w Wenecyi, bawił za urlopem w Padwie i przebrany po cywilnemu, udał się na obiad do restauracyi. Niskiego wzrostu, szczupły, mimo, iż zajął miejsce w kątku sali, zdał się bawiącym tam oficerom francuskim łatwym przedmiotem igraszki. Kapitan i trzech niższych rangi oficerów siedli naprzeciw Bogusławskiego i kpiąc głośno z niepociesznej jego postawy, jęli mu wymyślać, nadając nieznanemu rozmaite przydomki.

Zaczepony znosił to spokojnie, i dopiero w chwili, gdy jeden z napastników uderzył go w czoło gałką z chleba, powstał i zbliżywszy się do oficerów, rzekł do nich:

— Panowie! Jestem kapitanem legii polskiej. Żądam od was wszystkich zadośćuczynienia. Na wasze gałki odpowiem wam kulą!

— Służymy! — zawołali butnie Francuzi.

— Nie tu moi panowie — odparł Bogusławski. — Ponieważ niejeden z was zginąć musi, nie chcę tego czynić w ukryciu. Garnizon panów znajduje się w Weronie. Tam więc jadę i czekam na was!

Nie tracąc czasu, udał się nasz legionista do Werony i przybrany w mundur wojskowy, stanął przed dowódcą pułku, do którego należeli jego przeciwnicy. Opowiedział mu przebieg zajścia, żądając, by mu wyznaczył sekundantów

z grona oficerskiego. Tak się też stało. O oznaczonej godzinie czterej wyzwani i Bogusławski stanęli wraz z sekundantami na placu spotkania, który wyznaczono za murem koszarowym. Pułkownik podążył za nimi, podczas gdy reszta oficerów z drugiej strony muru zgromadzona, oczekiwała na wynik pojedynku. W krótkich przerwach usłyszano ośm wystrzałów, poczem pierwszy wyszedł za mur pułkownik, a za nim pojawili się sekundanci — wszyscy bladzi i pomieszani. Ostatni wracał miarowym krokiem spokojny, jak zwykle, Bogusławski, który wytrzymałszy zimną krewią każdy pierwszy strzał swych przeciwników, zabił na miejscu tego, który go galką uderzył, dwóch dowcipnisiów ranił śmiertelnie, zaś czwartemu z nich, najmniej winnemu, przestrzelił obie nogi. Skłoniwszy się obecnym, odjechał Bogusławski do Wenecyi, lecz Francuzi od tej pory winnym otaczali respektem mundur legionistów.

W całym też słowa znaczeniu tragicznym był zgon Świstackiego, towarzysza Głowackiego, który zamianowany przez Kościuszkę na polu bitwy chorążym, dzielił po upadku insurekcji smutny los wielu oficerów armii powstańczej i zabrany został jako szeregowiec do wojska austriackiego. Przeniesiony wraz z pułkiem do Włoch, dostał się w jednej z bitew do niewoli i poznany przez swoich, odzyskał w legii dawny stopień. Za przybyciem do Rzymu, dano Świstackiemu oficerską kwaterę w jednym z pałaców tamtejszych. Lokaj oprowadził go po olbrzymich salach i wskazał łóżko do spania, ale gdy noc nadeszła, poczciwy Świstacki w żaden sposób odszukać nie mógł posłania. Nie mogąc się rozmówić ze służbą, udał się w strapieniu po radę do kapitana swej kompanii, który pospieszył mu z pomocą i odnalazł łóżko, skryte za blejtrmem w alkowie.

— Tak to i wprzód było — ozwał się ekskosynier — ale jak pan mnie opuści, znowu łóżka nie stanie...

Naiwne to powiedzenie rozeszło się rychło w kole legionistów, żartujących wesoło z kłopotu pana Świstackiego i nikt

nie przypuszczał, jak smutnym miał być koniec bohatera z pod Raclawic. Pewnego dnia znaleziono go zakłutego sztyletem na ulicy, a śledztwo zarządzone wykazało, że Świstacki zabity został skutkiem pomyłki przez Włocha, który mając jakiś rachunek do załatwienia z pewnym oficerem francuskim, czychał na niego, ukryty za drzwiami restauracji. Nieszczęście chciało, iż Świstacki pierwszy opuścił ów lokal, w którym pozostał jeszcze upatrzony przez Włocha oficer, i miasto niego otrzymał cios śmiertelny.

Od domowych spraw legionu pora wszakże powrócić na szerszą widownię wypadków współczesnych. Dąbrowski do połowy września bawił w Medyolanie, gdzie udało mu się wprawdzie uzyskać nominację dla nadliczbowych oficerów legionu. Wypłata zaległego żołdu, tudzież uzyskanie funduszków na odzież dla legionistów, przedstawiały jednak znaczne trudności z powodu zupełnego wycieńczenia skarbu publicznego i ciągłych zmian w naczelnem dowództwie armii. Zawiodły również jenerała nadzieje, żywione z powodu powrotu Kościuszki do Francji. Sądząc, że za staraniem dawnego Naczelnika zdoła uzyskać od dyrektoryatu jakiegokolwiek korzyści dla legionu, wyprawił do niego zaufanego posła w osobie Eliasza Tremona. Ale i ten wysłannik nie zdołał przynieść jenerałowi pomyślnych wieści. Władze rzeczypospolitej przyjęły wprawdzie Kościuszkę z wielką ostentacją, lecz na tem też poprzestały, nie troszcząc się wcale o sprawę polską.

Obojętność ta jednakże, okazywana Polakom przez naczelników republiki, nie przeszkadzała wodzom armii francuskiej w użyciu legionistów do wypraw najbardziej hazardowych. Do rzędu takich ekspedycji należała walka z powstaniem, jakie niespodziewanie ogarnęło południowe prowincje państwa kościelnego, podżegane nieustannie przez rząd neapolitański. Przeciw powstańcom wyruszył w końcu lipca jenerał Girardon na czele oddziału, złożonego z francuskich żołnierzy, oraz z naszych legionistów. Pierwsze spotkanie z rokoszanami nastąpiło już w dniu 29 lipca t. r. pod Ferentino, a po kll-

kogodzinnej, uporeczywej walce, cofnęli się powstańcy za rzekę Cosa, gdzie w dniu 3 sierpnia przyszło do ponownej, bardziej morderczej rozprawy. Pierwsi przekroczyli rzekę Polacy, mimo strzałów kartaczowych, broniących przeprawy i po stromych skałach zaczęli się wspinać ku miasteczku Frosinone, bronionem przez przeważne siły przeciwnika. Legioniści, rażeni ogniem z ręcznej broni, utrzymywany z każdego niemal załomu skały, oraz ogniem z armat, ustawionych w mieście, pierwsi, z majorem Nadolskim na czele, wysadzili bramę w Frosinone, by następnie zdobywać dom za domem, ulicę po ulicy, podczas, gdy z dachów i z okien szturmowanych domostw spadał na nich grad kul i kamieni. Z nadejściem Francuzów dokonano zwycięstwa, lecz rozszrożony oporem mieszkańców żołnierz nie dawał pardonu żadnemu zbrojnemu. »Frosinone zdobyte« — donosił Macdonald dyrektoryatowi — »Polacy i Francuzi spełnili swą powinność. Major legionu polskiego, Nadolski, wszedł pierwszy do miasta.«

Po Frosinone przyszła kolej na Piperno, a obfitym krwi przelewem wślawiła się w owej kampanii Terracina, gdzie zamordowano komendanta francuskiego Leduca. I tym razem legioniści pierwsi poszli na bagnety, zdobywając armaty, brońące wstępu do miasta. Powstańcy uszli po sześciogodzinnym boju w góry, częścią też ratowali się ucieczką w łodziach na otwarte morze. Za umykającymi posłano jednak kilka strzałów działowych, które znaczną część łódek zatopiły. Walka, po sforsowaniu wejścia, przeniosła się do wnętrza miasta, gdzie zbrojny tłum powstańców uporeczywy wojsku stawił opór, i dopiero po dłuższem starciu, Terracina dostała się w ręce atakujących. Wszyscy oficerowie — donosił wódz naczelny o tej bitwie do Paryża — tak Polacy jak Francuzi odznaczyli się świetnem męstwem w tej rozprawie. Żołnierze polscy z francuzkimi, francuzcy z polskimi współzawodniczyli o palmę pierwszeństwa.

Z upadkiem Terraciny ustały też rozruchy w dawnym Państwie Kościelnem i legion pozostawiwszy swój pierwszy

batalion na granicy neapolitańskiej, powrócił ze znacznie przerezedzonymi szeregami do Rzymu. Przeszło stu ludzi postradała legia w utarczkach z powstańcami, licząc w to rannych i zabitych. W liczbie poległych znaleźli się z oficerów: major Podolski i kapitan Kwiatkowski, zaś porucznik Wysłouch zmarł niebawem skutkiem ran odniesionych. Ciężkie rany odnieśli również kapitanowie: Downarowicz, Laskowski, Billing, tudzież porucznik Hauke. Krótko mówiąc, legion nie szczędził krwi swojej w obronie praw republiki, przeciw której z chwilą wyprawy Napoleona do Egiptu, nowa zbierała się burza w postaci olbrzymiej koalicji państw monarchicznych. Za sprawą Anglii, zaniepokojonej w gruncie rzeczy o handel, wyłącznie dotychczas jej służący na Morzu Śródziemnem, zbroili się do ponownej walki przeciw Francji i stworzonym przez nią republikom: cysalpińskiej, liguryjskiej i rzymskiej, Austria, Rosya i Neapol, w któremto królestwie wpływ Wielkiej Brytanii był wszechwładnym. Nadto przyłączyły się do koalicji trwożne o los własny: Toskania i Sardynia, skutkiem czego szczupła, bo zaledwo szesnastotysięczna armia rzymska, odcięta od kraju, zdawała się być z góry przeznaczona na zagładę. Atoli w łonie koalicji jeszcze przed rozpoczęciem kroków wojennych, nastąpiły nieporozumienia. Ostrożny Thugut nie chciał Austrii, odosobnionej, narażać na ponowne klęski i dlatego chwiejne jego postępowanie obudziło niechęć cara Pawła, który omal że nie odwołał już swej armii, wyprawionej pod wodzą Rosenberga ku granicom galicyjskim. Natomiast Neapol całą siłą parł do wojny.

Na czele partyi wojennej stała energiczna królowa Karolina, małżonka niedołęznego Ferdynanda, która dotknięta żądaniem republiki rzymskiej, domagającej się zwrotu księstw Benewentu i Pontecorvo, oraz wydalenia z Neapolu przedstawiciela Anglii, Actona, pałała żądzą jak najrychlejszego odwetu wobec znieawidzonych Francuzów, podejrzewając ich o zamiar oderwania od jej korony Sycylii. Na jej to prośbę przybył do Neapolu w charakterze naczelnego wodza przy-

słany przez dwór wiedeński generał Mack, uczony teoretyk, ale wykonawca niefortunny własnych planów. Wprawdzie Mack domagał się dłuższego czasu w celu zreorganizowania armii neapolitańskiej, złożonej z 40.000 regularnego żołnierza i z licznego pospolitego ruszenia, ale królowa nie chciała słyszeć o dłuższej zwłoce i w dniu 23 listopada Neapolitańczycy wtargnęli w posiadłości rzymskiej republiki, głosząc, iż przybywają celem przywrócenia Rzymowi prawnego władcy. Napad był tak niespodziewany, iż Championet, który po MacDonaldzie otrzymał buławę naczelnego wodza, ustąpił co rychlej z wiecznego miasta, pozostawiając szczupłą załogę w zamku św. Anioła i dnia 29 t. m. król Ferdynand wraz z Mackiem odprawili wjazd tryumfalny do Rzymu. Zdobywcy bezbronnego grodu ustanowili co prędzej rząd prowizoryczny i zapraszali Papieża, acz bezskutecznie, do powrotu, tracąc bezczynnie czas drogi na obleganiu zamku Anioła, oraz na przesładowaniu miejscowych republikanów. W obronie zagrożonej rzeczypospolitej rzymskiej stanęła Francya, która w dniu 6 grudnia t. r. wypowiedziała wojnę ~~Napoleonowi~~ oraz Sardynii. Tamtejszy dom panujący, odsadzony od tronu, szukać musiał ocalenia w ucieczce do Cagliari.

Neapol

Tymczasem Championet skupiał swe siły pod Monterose. Legion, dowodzony w nieobecności Dąbrowskiego przez Kniaziewicza, tworzył lewe skrzydło wojsk francuskich, obozując pod Civita Castellana i podczas gdy Francuzi ucierali się z przednimi strażami nieprzyjaciela pod Monterose, otrzymał Kniaziewicz w dniu 1 grudnia rozkaz przeprowadzenia się przez Tybr i zaatakowania nieprzyjaciela, okopanego w warownym obozie pod Magliano. Kniaziewicz szturmem wziął okopy i wyrzucił z nich Neapolitańczyków, których następnie rozgromił pod Fabrica i Fallari, gdzie też w dniu 4 grudnia przyszło do walnej rozprawy z główną armią Macka, liczącą do 40.000 żołnierzy, podczas gdy siły legionu oraz Francuzów, uszykowanych między Boccho, Nepi i Civita Castellana, dochodziły zaledwie do 6.000 głów.

Mack sądząc, że jednym zamachem zgniecie tę garść, uderzył natarczywie na centrum francuskie, które cofając się zwolna, naprowadziło przeciwnika na brygadę Kellermana, zajmującą pozycję pod Civita Castellana. Gęsty ogień Francuzów zmięsział lewe skrzydło atakujących, a dokonało zwycięstwa śmiałe uderzenie Kniaziewicza w sam środek linii nieprzyjacielskiej. Zrazu sądził nasz generał, że ma przed sobą lewe skrzydło przeciwnika, lecz niebawem ujrzał takowe wychodzące z lasu za Fallari i zagrażające jego tyłom. Wysłał więc przeciw świeżym kolumnom nieprzyjacielskim dwa bataliony swej legii, by z resztą brygady, poprzedzoną tyralierami, tem silniej atakować Neapolitańczyków. Żołnierz neapolitański, tchórzliwy z natury i nieostrzelany w boju, nie może się rozwinąć pod silnym ogniem naszych. Napróżno hrabia saski usiłuje nawrócić uciekających na linię bojową, kula polskiego legionisty zwała go z konia, co widząc nieprzyjaciel jeszcze bardziej się mięsza, a ognista szarża jednego szwadronu jazdy, wiedzona przez samego Kniaziewicza, dopełniła dzieła zupełnego pogromu nieprzyjaciela, który zaledwie pod osłoną licznej jazdy zdołał ocalić część swych dział i zmięszaną w bezładnych kupach piechotę. Hrabia saski, ciężko ranny, tylko osobistej odwadze zawdzięczał ujęcie przed niewolą, a liczne działa sztandary i tabory wpadły w ręce zwycięzców, którzy do późnej nocy ścigali Neapolitańczyków.

W dniu 9 grudnia t. r. przyszło znów do ważniejszej rozprawy pod Calvi, gdzie generał Metz usiłował odciąć od głównych sił francuskich kolumnę generała Mathieu, przy której znajdował się jeden batalion legionu. W miejsce zagrożone wysłano resztę legionu Kniaziewicza, który wspólnie z Mathieu licząc trzy tysiące żołnierza, zmusił czterotysięczny oddział nieprzyjacielski do kapitulacji. Za ten czyn posunięty został Kniaziewicz na stopień generała brygady, zaś Dąbrowski, który teraz dopiero powrócił z Medyolanu, pozostawił mu nieograniczoną komendę legionu, sam przyłączając się na razie do sztabu głównego. Przegrana batalia pod Civita Castellana,

zwana też przez niektórych dziejopisarzy bitwą pod Nepi, tudzież poddanie się oddziału Metza zniewoliły Macka do spiesznego odwrotu z Rzymu, z kąd król Ferdynand umknął zaraz po pierwszych niepowodzeniach i w dniu 14-go grudnia Francuzi weszli ponownie do wiecznego miasta, przywracając w niem władze republikańskie. Legion, wzmocniony polskimi zbiegami z armii austriackiej, których w swoim czasie przemocą wcielono do szeregów neapolitańskich, zajął stanowiska za miastem, przy bramie świętego Wawrzyńca. Nie było jednak i mowy o dłuższym wypoczynku. Już w dniu 16 grudnia ucierał się Dąbrowski przy bramie świętego Jana Laterańskiego z świeżym oddziałem wojsk neapolitańskich, który nie przypuszczając, by Francuzi zajęli już Rzym, zamierzał nocą wtargnąć do miasta. Tysiąc jeńców wraz z generałem Pignatellim na czele wpadło przy tej sposobności w ręce generała, który zaraz o świcie dnia następnego objąwszy napowrót komendę legionu, wyruszył w przedniej straży dywizji francuskiej Reya, przeznaczonej na sciganie umykającej armii neapolitańskiej. Pułk jazdy i dwa działa posiłkowały legionistów, którzy przepłoszyli nieprzyjaciela w Frascati i w Albano.

Z tej ostatniej miejscowości sam król Ferdynand musiał umykać przed pogonią, nie dokończywszy sutego obiadu, jaki dla niego zastawiono. Dalej już co krok potykać się przychodziło z nieprzyjacielem, który w zaroślach po obu stronach drogi ukryty, celnymi strzałami starał się powstrzymać dalszy postęp legionistów. Ale i na to znalazł się sposób. Na czoło kolumny zatoczono działa, które kartaczowym ogniem wypłaszały przeciwnika z zasadki, podczas gdy strzelcy, przeprawieni przez bagnisty kanał, ciągnący się wzdłuż drogi, niepokoiłi tylną straż neapolitańską. W ten sposób przebyto szczęśliwie słynne błota Pontyjskie i 28-go grudnia stanął legion w Fondi, już po stronie neapolitańskiej. Dalszy pochód na Neapol zagradzała potężna bateria św. Andrzeja, o sile ośmiu dział dwunastofuntowych, panująca nad jedynym przejściem między górami. Już Dąbrowski gotował się do szturmowania

tej obronnej pozycji, wysławszy równocześnie swych strzelców przez góry, celem okrążenia nieprzyjaciela, gdy komendant baterii, zastraszony jego poruszeniami, uznał za stosowne bez wystrzału opuścić swe stanowisko. Tak więc w ostatnim dniu kończącego się roku, (1798), znaleźli się Dąbrowski wraz z Reym pod bramami potężnej warowni Gaety, na której wałach sto dział groziło atakującym. O zdobywaniu fortecy nie podobna było myśleć przy pomocy dwóch armat, jakie wiedziono w przedniej straży. Mimo to, dawszy kilka razy ognia z owych działek, zawezwał Rey załogę twierdzy do kapitulacji, na którą po kilkugodzinnym namyśle zgodził się dowódca Gaety, szwajcar z pochodzenia i tego samego dnia wieczorem wojska francuskie wraz z legionem weszły do fortecy.

W nocy wszczął się w mieście rozruch, wywołany rabunkiem żołnierzy. Komendanci, chcąc przywrócić ład, kazali uderzyć w bębny na alarm, i niebawem na placu zboru stanęły szeregi. Żołnierze francuzcy zjawili się z szczerbami zapiętymi tornistrami, z płaszczami lekko tylko wydętymi, więc też dowódcy ich wręcz obwiniali legionistów o wyłączne dopuszczenie się grabieży. Oparł się temu posądzeniu Kniaziewicz i zażądał szczegółowej rewizji szeregowców, na co znów nie chcieli się zgodzić jenerałowie francuzcy, uważając ją jako ubliżającą dla swoich ludzi. Dopiero przybycie Dąbrowskiego, najstarszego rangą jenerała, kres położyło zwadzie. Z jego polecenia zaczęto rewizję od żołnierzy francuzkich i zaraz u pierwszego znalaziono kielich z patyną, u drugiego monstrancją, u trzeciego kieskę złota; słowem, każdy obłowił się sówicie. Gdy przyszła kolej na naszych wiarusów, wystąpiły na jaw jedynie poście słoniny, buty i kołdry, pobrane w koszarach wśród alarmowego rozruchu. Tymczasem zbiegli się na plac zboru także poszkodowani mieszkańcy, którzy jednogłośnie przyznali, że przy łupieniu kościołów i domostw prywatnych czynni byli tylko Francuzi, rabujący pod przewodem neapolitańskiej załogi. Tak więc legion, oczyszczony od za-

rzutu rabunku, pozostawił pierwszy swój batalion jako garnizon w Gaecie, zaś reszta oddziału ruszyła w dalszy pościg za umykającą armią króla Ferdynanda.

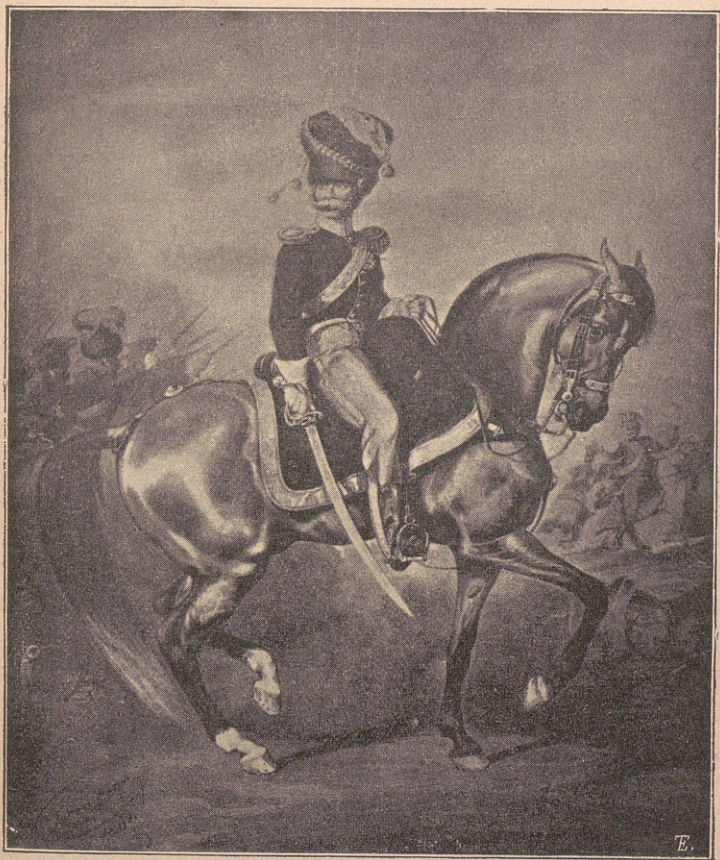
W sam dzień Nowego Roku 1799 zdobył Kniaziewicz Traette, a idąc nieustannie w przedniej straży, zagarnął pozostawioną w Mandragone stadninę królewską. Zdobyta w połączeniu z końmi, pozostałymi po kawaleryi w Gaecie, spowodowała Eliasza Tremona do podniesienia od dawna już żywionego projektu sformowania legionu kawaleryi. Myśl ta trafiła do przekonania Dąbrowskiego, oraz Kniaziewicza, którzy za zgodą Championeta przystąpili niezwłocznie do formacji pułku jazdy. Broni, tudzież rzędów na konie dostarczyły magazyny w Gaecie, a z nadliczbowych oficerów, oraz z legionistów, którzy dawniej służyli w kawaleryi, utworzono pierwsze kadry pułkowe. Szefami szwadronów mianowano Eliasza Tremona i Biernackiego, w liczbie zaś kapitanów znalazł się głośny Berek Joselowicz, dzielny żołnierz z insurekcji kościuszkowskiej, który poległ jako szef szwadronu w kampanii 1809 roku pod Kockiem. Dowództwo świeżo utworzonego pułku jazdy, po dopełnieniu szeregów do cyfry tysiąca dwustu żołnierzy, powierzono generałowi Karwowskiemu.

Formacja jazdy nie przeszkadzała bynajmniej legionowi w uczestniczeniu w blokadzie Kapuy, a jakkolwiek dwór neapolitański umknął na angielskich okrętach do Palermo, zdając stolicę swą na los Opatrzności, to jednak Championet przyjął zaofiarowany mu przez Macka w dniu 11 stycznia rozejm, gdyż na tyłach jego armii poczęło znów szerzyć się powstanie górali, posiłkowane przez maroderów i rozbitków armii neapolitańskiej. Powstańcy niszczyli mosty, przecinali dowóz żywności i prowadzili wojnę podjazdową przeciw Francuzom z powodzeniem, mając w swych szeregach doświadczonych bandytów i przemytników, obeznanych jak najdokładniej z miejscowością. Natomiast w otwartem polu nie zdołali stawić czoła wojskom francuzkim, które kolejno zajmowały Sezze, Itri, Castiglione, Cascano i Castelforte, wypie-

rając powstańców z tych miejscowości. Właśnie legion stał w Sezzi, gdy nadeszła wiadomość, iż powstańcy oponowali Traettę, gdzie do niedawna nasi stali załogą i przychylnego doznali przyjęcia. Wówczas to Tremo, zaufawszy zbyttnio lojalności włoskiej, wybrał się w kilkanaście koni do tego miasteczka, gdyż sądził, że perswazyą zdoła mieszkańców nakłonić do złożenia broni. Ufność swą przypłacił męczeńską iście śmiercią. Udając bowiem chęć poddania się, zwabili go powstańcy między domy miasta, gdzie pochwyczonego znieacka upieklı żywcem na wolnym ogniu, zawiesiwszy go na sznurze nad płonącym stosem szuwaru. Zginął również od kuli towarzyszący mu porucznik Vareli, a z dwudziestu legionistów sześciu tylko zdołało się przebić przez tłum buntowników, by przynieść swoim wieść hiobową o zgonie jednego z najgorliwszych pomocników Dąbrowskiego w dziele tworzenia legionów. Zginął waleczny Tremo w dniu 9 stycznia 1799 roku, lecz dopiero w dwa miesiące później dosięgła buntowników zasłużona kara. W drugiej połowie marca t. r. dwa pułki piechoty francuskiej wraz z pierwszym batalionem legionu podstąpiły pod Traettę. Mieszkańcy chcieli się zdać na łaskę i niełaskę, ale komendant wyprawy, generał Vartin, trzymając się ściśle otrzymanych rozkazów, zdobył miasto szturmem i w pień wyciął ludność wraz z buntownikami. Na gruzach zburzonych domostw umieszczono z jego rozkazu napis: »Tu była Traetta. Zbuntowała się przeciw wojsku francuskiemu i już jej nie ma!«

Lecz wrómy do przebiegu styczniowej kampanii.

Zawarte przez Macka zawieszenie broni wydało Francuzom Kapuę, a korzystając z rozejmu Dąbrowski wraz z Książewiczem ucierali się z powstańcami, na tyłach armii krążącymi i z wielkim trudem przywrócili jej komunikacyą z Rzymem. Tymczasem rząd neapolitański sam zerwał rozejm, rzucawszy się w objęcia motłochu, który obwiniał Macka oraz całą armią o zdradę. Tysiące półnagich lazarónów, zbrojnych w pałki i noże, wyległo na drogę ku Kapui wiodącą, prowa-



BEREK JOSELOWICZ, ŻOŁNIERZ Z POWSTANIA KOŚCIUSZKI,
kapitan kawaleryi w r. 1799, poległ jako szef szwadronu
w r. 1809, pod Kockiem.

(Fotogram J. Kriegera w Krakowie).

dząc za sobą działa portowe, osadzone na przodkach od zwykłych wozów. Żołnierzy witała ta zgraja okrzykiem: *Traditori!* i wygrażała się srodze Mackowi, który widząc swe życie w niebezpieczeństwie oddał się sam w ręce Francuzów w dniu 22 stycznia. Odesłano go do Sessi pod straż legionistów, wobec których biedne jeneralisko rozwodziło długo i szeroko swe żale z powodu zawodu, jaki mu zgotował dwór wiedeński, każąc mu obejmować komendę nad zgrają tchórzów, umykających za pierwszym wystrzałem. Macka wyprawiono następnie do Rzymu, z kąd go później wywieziono do Paryża. Nazajutrz po poddaniu się Macka kapitulował Neapol, którego naturalnym rzeczą porządkiem, nie zdołały obronić bezładne tłumy lazaronów, nie mające o boju wyobrażenia, i Championet ogłosił w zdobytym królestwie rzeczpospolitą Partenopy. Ważne usługi, jakie w tej kampanii oddał legion armii, która obecnie przyjęła nazwę neapolitańskiej, spowodowały Championeta, iż w nagrodę tych czynów Polakom przyznał zaszczyt odwiezienia do Paryża zdobytych sztandarów. Wybór jego padł na generała Kniaziewiczza, któremu w dniu 6 lutego oznajmiono zaszczytne posłannictwo. Dobrawszy przeto dla asystencyi młodziuchnego Jana Dąbrowskiego, syna generała, oraz Drzewieckiego i swego adjutanta Koseckiego, wybierał się Kniaziewicz w drogę do Francyi, lecz jeszcze przed wyjazdem doręczono mu pismo ministra wojny (z daty 31 grudnia 1798 r.), oddające najwyższe pochwały dla waleczności legionu a zarazem oznajmiające generałowi, iż rzeczpospolita postanowiła go uczcić darem honorowym broni, wyrobionej umyślnie w tym celu w fabryce rządowej, wersalskiej. Razem z pismem przyszła do głównej kwatery odezwa dyrektoryatu wykonawczego, wysłana w dniu 20 stycznia t. r. do Kniaziewiczza, a opiewająca, jak następuje:

»Dyrektoryat wykonawczy czytał z przyjemnością, obywatelu, opis czynów walecznych, dokazanych przez ciebie i twą dzielną legię przy szturmie Gaety, którą armia francuzka zabrała królowi neapolitańskiemu. Okazaliście się god-

nymi sprawy, którąście sobie przyswoili, dobrze zasłużyliście się ludziom wolnym. Dyrektoryat pochwalił generała Championeta za sprawiedliwość, jaką ci wymierzył, mianując cię generałem brygady i dowiedział się z przyjemnością, że dyrektoryat rzeczypospolitej cyzalpińskiej zatwierdził to wyniesienie. Sprawowanie się kapitanów Ilińskiego i Laskowskiego, tudzież porucznika Lenkiewicza w tym wypadku zasługuje na pochwałę. Dyrektoryat polecił nam, aby im wyrazić z tego powodu jego zadowolenie«.

Pismo to ogłoszone w rozkazie dziennym legii, nie mogło nie wyrzucić jak najkorzystniejszego wrażenia wśród żołnierzy, dumnych z tego, że ich dowódzcy przypadło w udziale odznaczenie wręczenia trofeów wojennych władzy naczelnej. W Rzymie zatrzymała się chwilowo podążająca nad Sekwanę deputacya legionów i z przykrem uczuciem spoglądała na zniszczenie, jakiego dopuściły się w Watykanie wojska króla Ferdynanda podczas krótkotrwałego pobytu w tem mieście. Wspaniałe sale papieżkiej rezydencji obrócono wówczas na pomieszczenie żołnierza, który rozkładał ogniska na marmurowych posadzkach, niszczył wspaniałe freski, zdierał kosztowne obicia, nie przebacząc nawet bogatej oprawie bibliotecznych książek. — Francuzi przenosili arcydzieła — mówili strażnicy watykańskich zbiorów — Neapolitańczycy niszczyli je jak barbarzyńcy. Poza bramami Rzymu musieli legionieści przywdziać cywilną odzież, gdyż ludność, podburzona przeciw Francuzom, nie oszczędzała nikogo z noszących mundur republikańskiej armii. W Viterbo ocalała Kniaziewiczza oraz jego towarzyszy jedynie ludzkość miejscowego biskupa, który uzbrojonemu pospólstwu, otaczającemu pojazd generała, kazał powiedzieć, że przejezdni są członkami hiszpańskiego poselstwa. Nie obyło się przytem bez humorystycznego epizodu, gdyż w młodziuchnym i wątlym Koseckim domyślał się znaczny kapłan przebranej dziewczyny. Kazał więc przynieść mu ciasteczek i radził zdziwionemu tym podarkiem kapitanowi, by napił się wody i nie lękał się niczego, bo mu się nie złego

nie stanie... Na Sienę i Florencyą przybyli nasi podróżni do Bolonii, gdzie spotkali generała Moreau, mianowanego inspektorem armii włoskiej. Zdumiały ich nadzwyczajna pamięć i dar orientowania się tego wodza, który z jak największą dokładnością był poinformowany o szczegółach kampanii neapolitańskiej, tak, iż powracającym z pola walki nie wiele do opowiedzenia pozostało. Mówił im również Moreau o sytuacji politycznej w Paryżu, o walce stronnictw oraz o zazdrości, jaką w sferach wojskowych wzbudziły sukcesy Championeta. Za przyjazdem do Paryża, załatwiwszy się co rychlej z służbowymi raportami, pospieszył Kniaziewicz do Kościuszki, który zamieszkiwał podówczas w domu Barsa. Naczelnik, rozczulony niedawno otrzymanym od legionistów adresem, do którego dołączono wspomniany już poprzednio oręż Sobieskiego, przyjął nader serdecznie wysłanników legionu. — Był to dzień dla nas uroczysty — opowiada w swych wspomnieniach Drzewiecki — był moment połączenia odłamów, które opinie różne lub miłość własna rozdzieliły. Wszyscyśmy, wezwani na skromną ucztę, która nam stół dawnego Naczelnika przypominała, łamali chleb radośnie, sami tylko będąc ze swymi...

Uroczyste wręczenie dyrektoryatowi zdobytych w Neapolu sztandarów odbyło się w dniu ósmym marca 1799 r. z nadzwyczajną okazałością w pałacu luksemburskim. O godzinie drugiej z południa zasiedli dyrektorowie w otoczeniu ministrów, wśród których wyznaczono honorowe miejsce Kościuszcze, na wysoko wzniesionej trybunie. Minister wojny Dubois-Crancé wprowadził do sali legionistów, których strój niezwykły, czapki ozdobione trójbarwną kitą, ładownice błyszczące i srebrne szarfy zwracały uwagę całego zgromadzenia. Pierwszy przemówił Dubois-Crancé i wskazawszy obecnym trzydzieści pięć zdobytych sztandarów, których kapiące od złota i srebra ozdoby w rażącym powstawały przeciwieństwie z prostotą sztandarów, używanych przez armię republikańską, w te słowa zwrócił się do legionistów: Generał naczelnie dowodzący i ja za jego przykładem wyliczę z przyjemnością

nazwiska odważnych Polaków, walczących pod naszymi sztandarami. Ich postępowanie świadczy, że nie brakło im odwagi w celu utrzymania niepodległości, oraz że zasłużyli, by wśród nas odnaleźli ojczyznę i wolność. Pod chorągwią, towarzyszącą naszemu zwycięztwu, widzicie obywatele-dyrektorowie jenerała Kniaziewicza. Zaszczyt przedstawienia wam tych trofeów jest nagrodą za jego zdolności, męstwo i zasługi. Ten dzielny wojownik i jego towarzysze broni ujrzeni światło dzienne pod tem samym niebem, gdzie żyje pewien władca, ciemiezca Polaków i nasz zawzięty nieprzyjaciel, który z namowy Anglii oraz kilku zdrajców wysłał swych żołnierzy, by w obcych szeregach znaleźli niesławę, choroby i zgubę. Tak więc z północy Europy pochodzą nasi nieprzyjaciele i obrońcy. Oby wszyscy nieprzyjaźni nam władcy brali naukę z tylu przykładów. Pokój jest ich zbawieniem. Nasze wojska walczyły w celu uzyskania pokoju, lecz jeśliby ośmielili się zakłócić takowy, niech drżą wobec nowych zwycięstw! Pierwszy okrzyk zwycięstwa rozległ się od jednego krańca Włoch aż po szczyty alpejskie i brzegi Renu, a dnia pewnego rozbrzmieć może to echo aż do wnętrza Niemiec i nad Tamizą!

Zaledwo skończył swą przemowę minister wojny, gdy Kniaziewicz, którego wyniosła postać istic marsowe sprawiała wrażenie, ozwał się w te słowa: Obywatele-dyrektorowie! Mam zaszczyt złożyć w wasze ręce sztandary, które armia rzymska zdobyła na Neapolitańczykach. Armia ta obaliła potęgę krzywoprzysiężnego władcy. Wojownicy, którzy składają te sztandary, otworzyli zapaśnikom republiki rzymskiej oraz cyzalpińskiej szerokie pole chwały i uczynili ich zdolnymi do wykazania całemu światu, że żołnierz, walczący za wolność staje się niezwykłym. Jest rzeczą zaszczytną dla Polaków, którym pozwoliliście obywatele połączyć ich usiłowania z usiłowaniami republikanów francuskich, gdy widzą jednego ze swych współbraci, upoważnionego do ofiarowania wam zdobytych przez nich trofeów. W tym więc czynie armii rzymskiej widzicie obywatele dyrektorowie dowód szczytnej bez-

interesowności, która nie pozwala jej cieszyć się zasłużonym tryumfem, nie uczyniwszy jego uczestnikami wszystkich, przyczyniających się do tego dzieła. Ziomkowie moi, przejęci wdzięcznością i ufni w przychylność wielkiego narodu, po-przysięgli w głębi duszy, że sprawa republiki francuskiej pozostanie dla nich na zawsze świętością, gdyż uważają ją za nierozłączną od własnej. Niech żyje republika!

Odpowiadał Kniaziewiczowi imieniem dyrektoryatu Barras, który zaledwo w końcowym ustępie swej mowy poświęcił wzmiankę Polakom. Wróćmy obywatele — mówił Barras — do zwycięzców z pod Kapui i Neapolu. Patrzenie na tych mężnych Polaków, którzy przełożyli wygnanie nad niewolę. Republika przyjęła ich za swoich synów i Francya stała się dla nich drugą ojczyzną. Spójrzycie na szeregi tych bohaterów republiki, towarzyszy i świadków waszych zwycięstw, podzielcie z nimi szacunek ojczyzny i życzenia pomyślności ze strony dyrektoryatu. Powiedzcie legionom rzymskim i cyałpińskim, że dowiodły swą odwagą, iż zasłużyły na wolność!

Ogólnikowa ta odpowiedź przykre wśród deputacy sprawiła wrażenie. To też starano się je zatrzeć, urządzając na cześć przybyłych szereg okazałych przyjęć, zaś Kniaziewiczowi doręczono przyrzeczoną mu już poprzednio broń honorową, a mianowicie pałasz z odpowiednim napisem, tudzież szkatułkę z pistoletami, wyrabianymi ozdobnie. Na uczczenie tego dnia wydał znów Kościuszko obiad na cześć generała i obdarzył go szablą, otrzymaną dawniej od króla szwedzkiego. Skromna ta uczta miłszą zapewne była legionistom od urzędowych bankietów, w ciągu których zachwycano się na zimno męstwem Polaków, lecz kazano im uzbrajać się w cierpliwość i wyczekiwać bliżej nieokreślonych wypadków.

Uroczystości paryskie nie zdołały wszakże złudzić umysłów, badających pilniej położenie polityczne. Pogrom Neapolu był jeno początkiem uporczywej walki, zagrażającej zwycięzkiej rzeczypospolitej ze strony koalicji monarchicznej, skojarzonej przez Wielką Brytanią. Trzykroćstotysięczna armia

stała do boju z Francją, która zaledwo połowę tej siły wyprowadzić mogła w pole. Nadto wyborowe wojska republiki walczyły pod przewodem Bonapartego w Egipcie, a ciągłe zmiany w dowództwach poszczególnych armij, wywołane nieustannymi intrygami w łonie naczelnej władzy, nie mogły się również przyczynić do powodzenia francuskiego oręża na europejskim teatrze wojny. I tak dowództwo armii włoskiej powierzono nieudolnemu Schererowi, cieszącemu się silnem poparciem dyrektoryatu, podczas gdy odwołanego z Neapolu Championeta zastąpił Macdonald. Utrzymanie łączności między obiema armiami, działającemi na półwyspie apenińskim, poruczono Dąbrowskiemu, który, prócz pierwszego legionu, pomnożonego stworzonymi w ostatnich czasach: pułkiem jazdy Karwowskiego, tudzież batalionami grenadyerów oraz strzelców, dowodzonymi przez Małachowskiego i Jasińskiego, otrzymał komendę dwóch brygad francuskich.

Druga legia polska, pozostająca pod komendą Rymkiewicza i Wielohorskiego, tworzyła część składową armii włoskiej, lecz nie działała oddzielnie, jeno podzielono ją między poszczególne korpusy francuskie. W dniu 25 marca wystąpił Scherer zaczepnie, zamierzając znieść dowodzoną przez Kraya armią austryacką, zanim jeszcze nadciągnie stary Suwarow z rosyjskim korpusem posiłkowym. W tym celu przekroczył Mincio i uderzył w dniu 26 t. m. na Austryaków, okopanych nad jeziorem Garda, by po uporeczywej walce odrzucić ich aż pod Weronę. I w tem starciu wysłano legionistów w przedniej straży, a podczas szturmie okopów, obsadzonych gęsto armatami, oni torowali bagnetem drogę francuskim kolumnom. To też śmierć wśród legionu gęste zbierała żniwo. Zginął w tym ataku szef drugiego batalionu Lipczyński, padł też śmiercią walecznych sędziwy pułkownik Darewski, żołnierz bojujący jeszcze w szeregach Barszczan a następnie w rewolucyi Kościuszkowskiej, zaś stu pięćdziesięciu legionistów rannych lub zabitych zaległo pobojowisko. Równocześnie trzeci batalion legionu atakował nieprzyjaciela od strony Santa Guera

i odpierany przemożnymi siłami austriackimi, sześć razy ruszał do szturmów na bagnety. Tysiąc pięćset jeńców i dwie armaty uwięziły w końcu zwycięstwo legionistów, ale też trzecia część legionu wraz z kapitanem Kozłowskim i z porucznikiem Zielińskim została na placu boju. Niemniej znaczne straty poniósł w tym dniu drugi batalion, ucierający się z nieprzyjacielem na lewym skrzydle, opartem o Legnano. Rymkiewicz, Kosiński, Strzałkowski walczyli jak lwy, zakrywając odwrót Francuzów i jak długo stało ładunków, nie ustąpili ni kroku, odpierając dziesięćkroć silniejszego przeciwnika. Pod Rymkiewiczem konia ubito, dwustu ludzi ubyło z szeregów, a w liczbie poległych znalazł się też porucznik Godebski, młodszy brat Cypryana. Rymkiewicz, widząc Godebskiego roniącego łzy nad ciałem poległego brata, podjechał ku niemu i wskazując na bratnie szeregi zawołał do rozpaczającego:

— Oto są bracia twoi!

Krwawa bitwa pod Weroną przypawiła drugi legion o stratę siedemnastu oficerów tudzież 750 szeregowców i podoficerów, więc też Scherer, acz wielce nam nieprzychylny, musiał oddać w swym raporcie sprawiedliwość męztwu Polaków i przysłuchiwać się okrzykom swych żołnierzy, którzy powracających z linii bojowej legionistów witali okrzykiem:

— Niech żyją dzielni Polacy!

I Barras, piastujący podówczas godność prezydenta władzy wykonawczej, uczcił walecznych przychylną odezwą, w której czytano te słowa:

Dzielni Polacy! Nie zdołaliście wyjarznić waszej ojczyzny, ale poprzysięgliście obronę wolności wszędzie, gdziekolwiek powieją jej sztandary. To też z męstwem jej godnym walczyliście w dniu 6 Germinala (26 marca). Dyrektoryat wykonawczy, któremu wódz armii włoskiej doniósł o tem, wyraża wam swe zadowolenie. Krwią waszą użyźniając sprawę republikańską, przekazujecie rodakom pamięć, przykład i szlachetną chęć do naśladowania was!

Mimo częściowej porażki, pod Legnano poniesionej, stanowisko Francuzów, zajęte pod Weroną, zbyt było korzystne by je opuszczać należało. Zwracał na to uwagę Scherera Moreau. Ale wódz nieudolny upierał się przy odwrócie i uskutecznił takowy ze stratą 5.000 ludzi z dywizji generała Securiera. Rozbitków uratował Kosiński, który na czele batalionu legionistów bronił jeździe austriackiej przeprawy przez Adygę i tym sposobem przeszkodził dalszej jej pogoni za zwycięzonymi. Dopiero wszakże dzień 5 kwietnia dopełnił miary niepowodzeń armii włoskiej oraz jej niefortunnego wodza. Zatakowany przez Kraya pod Magnano, bankietował Scherer w najlepsze w swej kwaterze, pozostawiwszy armią losowi. To też mimo przewagi, odniesionej pod rozkazami Moreau na lewem skrzydle, ponieśli Francuzi w ostatecznym rezultacie dotkliwą klęskę, gdyż prawe ich skrzydło, działające bez planu i łączności z całością armii, zostało pokonane i rozproszone. Dzielna komenda Moreau i szalona odwaga legionistów, okazana przy wzięciu pozycyji nieprzyjacielskich pod Sona i Sona-Campagna nie zdołały powetować błędów naczelnego wodza. Moreau, zdumiony odwagą Polaków, mianował na polu bitwy Rymkiewicza dowódcą brygady, a szefem tejże Dembowskiego; kapitana Królikiewicza majorem. Kilku poruczników, a w ich liczbie Cypryan Godebski, otrzymało za mężstwo stopień kapitana, zaś podoficer Grabicki wynagrodzony został szlifami porucznika. Drogo wszakże przyszło okupić legionistom owe odznaczenie. W kilka godzin później Rymkiewicz, szykujący swój batalion do ponownego natarcia, otrzymał postrzał karabinowy w pachwinę i odwieziony po bitwie do Mantui a następnie do Medyolanu, skończył niebawem zawód swój, pełen chwały i poświęcenia. Umierając, skarżył się jeszcze gasnącym głosem:

— Dłaczegóż Opatrzność nie dozwoliła mi umierać na ojczystej ziemi?

Prócz Rymkiewicza legli pod Magnano kapitanowie Drożkiewicz, Paciorkowski i Wiaskowski, a przeszło tysiąc rannych

i zabitych utracił legion w owem spotkaniu. Mimo to legioniści i po tej bitwie tworzyli pod komendą Kosińskiego straż tylną cofającej się armii Scherera, który teraz dopiero wzywał na pomoc Macdonalda i Dąbrowskiego, by co rychlej łączyli się z jego wojskami. Wezwanie rzucone przesłał Scherer Dąbrowskiemu za pośrednictwem jego adjutanta Zawadzkiego bawiącego już od kilku tygodni w głównej kwaterze wraz z Wybickim. Jeszcze bowiem w marcu wyprawił ich Dąbrowski do naczelnego wodza z prośbą, by cały legion przyłączył do swej armii, oraz z projektem, by po przełamaniu operacyjnej linii austriackiej, przetrząnął się do Węgier i do Galicyi. Oczywiście, po klęsce pod Magnano nie mogło być mowy o wykonaniu tego planu, zbliżającego legionistów w ojczyste strony, czem zniechęcony Wybicki opuścił Włochy i podążył do Paryża, podczas gdy Zawadzki w dniu 21 kwietnia przywiózł Dąbrowskiemu rozkaz połączenia się z armią włoską. Skutkiem tego cały legion zebrał się w Terracinie i z początkiem maja ruszył w pochód na północ. Ruch ten mógł się odbywać tylko z największą powolnością, gdyż z jednej strony musiał Dąbrowski czekać na podążający za nim tabór, w którym znajdowały się przygotowane dla legionistów nowe mundury, jakich żołnierz, obdarty niemal do naga, koniecznie potrzebował, z drugiej znów zagradzały mu drogę ciągłe powstanie ludności, burzącej się na wieść o klęskach francuskich. Najgroźniejsze atoli skutki dla francuzów mogło mieć powstanie w Toskanii, gdzie poszczególnymi oddziałami rokoszan dowodzili oficerowie armii miejscowej, pod których rozkazami powstańcy bili się z determinacją starego żołnierza. Doświadczył tego Dąbrowski pod Cortoną, Arrezzo i Aretino, gdzie zginął waleczny Chamand, szef legii pierwszej. Zgon jego taką wściekłością przejął legionistów, iż nikomu nie dawali pardonu i zarabali na miejscu dowódcę powstańców, broniącego do ostatniej chwili sztandaru. Wśród ciągłych starć z nieprzyjacielem — najznacześniejsze z nich nastąpiło pod Ulla i uwięzione zostało zdobyciem sześciu dział oraz znacznych zapasów

amunicyi — połączył się Dąbrowski w dniu 13 czerwca pod Regio z podążającą za nim armią neapolitańską Macdonalda, której losy przyszło mu odtąd podzielać.

Niestety Macdonald przybywał za późno na widownię bojową i teraz dopiero okazał się w całej pełni błęd następców Bonapartego, dowodzących naczelnie we Włoszech, a kuszących się o podbicie południowej części półwyspu, nie mając na niej dostatecznie zabezpieczonej podstawy do działania. To też Moreau, który po Schererze otrzymał komendę armii włoskiej, zniechęconej i zdeorganizowanej ostatnimi porażkami, nie był w stanie przeszkodzić posuwaniu się wojsk nieprzyjacielskich ku Medyolanowi, zwłaszcza od chwili, gdy siły austriackie, wiedzione przez Melasa, wsparł Suwarow, z siedmnastotysięcznym korpusem rosyjskim. Wódz carski, przywykły do szybkich pochodów, spieszył wprost na spotkanie Moreau, który po uporezywym boju pod Cassano, straciwszy znaczną część wojsk, cofnąć się musiał aż do Asti, podczas gdy Medyolan w dniu 29 kwietnia wpadł w ręce sprzymierzonych. W dniach 15 i 14 maja przyszło znów do krwawej rozprawy pod Marengo, po której Moreau cofnął się do Coni, a następnie party przez Suwarowa schronił się na wyżynę Fondi, zaś Turyn w dniu 27 maja otworzył bramy zwycięzcom.

Pojawienie się Macdonalda, spieszącego przez Apeniny z pomocą armii włoskiej, spowodowało Suwarowa do uderzenia z jak największą szybkością na świeżego nieprzyjaciela. Macdonald w połowie czerwca stanął w Piacency, gdzie według porozumienia z Moreau miało nastąpić połączenie obu armij francuskich. Tymczasem miasto armii włoskiej zastał tam tylko jedną brygadę jej wojsk wysłaną przez Moreau, lękającego się utraty Genui, w dolinę Trebii. Tam też zmierzały forsownym marszem kolumny austro-rosyjskie i w dniu 17 czerwca ukazały się na wyżynach nad Trebią, wstawionych od czasów Maryusza krwawymi walkami. Macdonald, mimo przeważających sił przeciwnika, przyjął bitwę, która

trzy dni z rzędu zatrudnić miała obie strony walczące. Polacy pod wodzą Dąbrowskiego, mając przed sobą sprawcę rzezi Pragi szli w ogień z szaloną furją. W drugim dniu walki Dąbrowski, otoczony przez kozaków, omal że nie dostał się do niewoli. Ocalili go wszakże oficerowie jazdy polskiej, Biernacki, Petrykowski i Stuart, którzy wyrabali z pośród napastników generała, a Dąbrowski, ciąwszy w głowę zastępującego mu drogę kozaka, rzucił się z koniem wpław i bez szwanku przepłynął rzekę. Mniej szczęśliwymi byli szefowie batalionów: Małachowski i Zawadzki, tudzież szef legii Forestier, którzy ciężko ranni dostali się do niewoli, podobnie jak wielu szeregowców z batalionów: grenadyerskiego i strzelckiego. Otoczeni za rzeką bronili się jak długo stało im nabożów w ładownicy, by w końcu nie widząc żadnego ratunku złożyć broń wobec przeciwnika.

Trzeciego dnia bój ponowił się z większą jeszcze zawziętością. Dąbrowski odniósł ranę; dwa konie pod nim ubito. Suwarow, mimo, iż groziło mu zaatakowanie od tyłu przez armią generała Moreau, nacierał zapamiętale i pod wieczór Macdonald, straciwszy do ośmiu tysięcy żołnierzy, dał rozkaz do odwrotu. W ślad za nim ruszył dnia następnego (20-go czerwca), nieprzyjaciel i do wieczora niepokoił ustępujące wojska francuzkie, przyczem znów legionowi przyszło zasłaniać własną pierś odwrót zwyciężonych. Za każdym niemal krokiem wypadło znużonym trzydniową walką legionistom przebywać rowy i płoty, wytrzymując ogień nieprzyjaciela i narażając się na odcięcie od głównej armii. Była chwila, gdy Dąbrowski, osaczony przez strzelców nieprzyjacielskich opuszczony od świty, zwątpił już o swem ocaleniu, lecz przechodzący opodal oddział francuzkich grenadyerów pospieszył mu z pomocą i odbił bagnetem generała. Mimo gwałtowności pościgu, ani jedno działo, ani jeden wóz nie wpadły w ręce zwycięzcy, który po upływie doby zaniechał dalszej pogoni. W dniu 20 czerwca znalazł się legion w Reggio, gdzie mógł już bezpiecznie odetchnąć po trudach bojowych. — W tych

rozmaitych bataliach i krwawych bitwach — słowa pamiętnika Dąbrowskiego — legia nasza znaczne poniosła straty. Straciliśmy tysiąc ludzi w zabitych i wziętych do niewoli. Jest



ALEXEJ WASILJEWICZ SUWAROW
sprawca rzezi w Pradze
(wedle sztychu U. Utkina).

prawda, żeśmy dużo złego zrobili nieprzyjacielowi, lecz i niektóre nasze straty są także nie do powetowania...

Wobec strat, poniesionych podczas ostatniej kampanii, reorganizacya legionu była rzeczą konieczną tak pod względem uzupełnienia uszczuplonych znacznie szeregów, jako też

St. Schnür-Peplowski. „Jeszcze Polska nie zginęła!”

co do składu korpusu oficerskiego. Części nowozaciężnych dostarczyli jeńcy z pułków galicyjskich, wzięci do niewoli w bitwie nad Trebią oraz w poprzednich utarczkach. Powróciła też po jakimś czasie część pojmanych legionistów, którym udało się omylić czujność straży nieprzyjacielskich. Wówczas wstąpił również do legionu Władysław Jabłonowski, pozostający po przybyciu do Włoch w służbie Rzeczypospolitej Rzymskiej, którą porzucił dla połączenia się z swoimi. Ofiarowano mu stopień generała brygady. Głównego wszakże zastępu nowozaciężnych dostarczyć mieli przerzedzonym szeregom legionu oficerowie, wyprawieni na werbunek do zakładów, w których spodziewano się zastać jeńców wojennych polskiego pochodzenia. Osobny zakład polski pod wodzą adjutanta Dąbrowskiego, Flugbeila, powstał w Nicei, dokąd też odesłano wszystkich rannych i chorych wraz z pociągami i bagażami. Takież zakłady dla pierwszej legii zgromadzić mieli major Au, dla drugiej szef Zagórski, dla artylerii kapitan Stuart i kapitan Petrykowski dla jazdy legionu, którego główną kwaterę przeniesiono w drugiej połowie lipca do Genui. Tam też połączyli się z legionem pułkownik Strzałkowski, tudzież Konopka, naczelnik dawnego zakładu, istniejącego w Medyolanie. Ten ostatni przywiódł około pięciuset żołnierzy, zgromadzonych w zakładzie medyolańskim, których też wcielono bezwzględnie do legionu. W czasie reorganizacji legionu doszły do Genui smutne wiadomości o wzięciu przez sprzymierzone wojska Aleksandry (23 lipca), oraz o osaczeniu Mantui, obleganej przez korpusy austriackie generałów: Otta, Gattermana i Zopfa tudzież przez oddział rosyjski, dowodzony przez Bagrationa.

Los Mantui o tyle bliżej dotyczył naszych legionistów, ile, że w murach tej twierdzy zamknięty został cały drugi legion polski wraz z artylerią. Legion ten w pierwszych dniach kwietnia tworzył straż tylną cofającej się za Mincio armii Scherera i eskortował następnie park artylerii francuskiej, przeznaczonej na obronę Mantui, gdzie znalazł się w dniu dziewiątym t. m. Ponieważ już wówczas spodziewać się na-

leżało blokady tej twierdzy przez wojska austriackie, przeto Wielohorski, jako komendant legii, udał się z przedstawieniem do Scherera, by Polaków, którzy przyszli walczyć i umierać w otwartem polu, nie powierzał losowi fortecy. Do tego kroku skłaniała generała okoliczność, iż drugą legią składali w znacznej części szeregowcy, zbiegli z pod sztandarów austriackich, których w razie zdobycia fortecy przez nieprzyjaciela, czekały najsurowsze kary. Ale Scherer, nie lubiący Polaków, nie uznał za stosowne oszczędzać dzielnego zastępu, któremu jego wojska zawdzięczały bezpieczny odwrót i z tego powodu zbył wysłannika Wielohorskiego frazesem, że przeznaczenie legionu do obrony tak ważnego punktu, jakim jest Mantua, przedstawia dla Polaków nowy dowód zaufania ze strony Rzeczypospolitej... Tak przynajmniej utrzymuje Cypryan Godebski w swym *Pamiętniku oblężenia Mantui*, spisany na żądanie Kniaziewiczza, a tworzącym cenny przyczynek do dziejów tego oblężenia.

Załogę Mantui tworzył oddział dziesięcioletni, złożony z Francuzów, Polaków, Szwajcarów i Włochów, pod dowództwem generała Foissac-Latoura, który początkowemi dyspozycjami zjednał sobie ufnosć podwładnych. Komendant artylerji Berthon przy pomocy inżynierów pracował z szczególniejszą pilnością nad obwarowaniem przedmieścia Świętego Jerzego, twierdząc, iż inne części warowni są w stanie obronnym. Artylerzystom polskim dostały się najbardziej odpowiedzialne stanowiska. I tak: obronę przedmieścia Świętego Jerzego powierzono majorowi Jakubowskiemu, podczas gdy baterją, wzniesioną na wyspie Thé, dowodził szef Aksamitowski, kapitanów zaś Redla i Czechowskiego odkomenderowano do obrony śródmieścia. Nie próżnowała też piechota legionu. Po kilkuset ludzi dziennie pracowało przy robotach ziemnych na przedmieściu św. Jerzego, a reszta legionu pełniła codziennie prawie uciążliwą służbę garnizonową. Czyniono nadto wyścizki przeciw wojskom oblężniczym, w których legionści zaszczytny brali udział.

Jedną z takich wypraw, uskutecznianych pod osłoną nocy, był napad na oblegających, dokonany dnia 8 maja z czterech równocześnie bram twierdzy. Legionistom, posiłkowanym jedną półbrygadą wojsk francuskich, przypadło w udziale zadanie zaatakowania austriackich stanowisk pod wsią Ceresia. Wpadłszy przed świtem na uśpionych, sprawili Wielohorski wraz z Dembowskim straszliwe spustoszenie wśród strzelców tyrolskich i huzarów, biwakujących w tej miejscowości, podczas gdy działa Jakubowskiego nie tylko zasłoniły powrót legionu do warowni, lecz umiejętnie kierowane przeszkodziły również oddziałom nieprzyjacielskim w należytem uszykowaniu się celem odparcia napadu. O wschodzie słońca bój był skończony, ale i legion srodze poszczerbiony powrócił na swe kwatery. Dwustu ludzi kosztowała naszych ta wycieczka, za którą w rozkazie dziennym otrzymał Jakubowski sto franków dożywotniej gratyfikacji, zaś legioniści wraz z posiłkującymi ich francuzami wynagrodzeni zostali sumą dwunastu tysięcy franków do równego podziału. Jakubowski przyznał mu gratyfikacją ofiarował na szpital miejscowy. Niemniej znaczne były straty po stronie armii oblężniczej, więc też po owej wycieczce trwała jedynie walka artylerii. Ostrzeliwano miasto ze wszech stron, lecz o ataku nie myślał wcale generał Kray, który objął naczelny kierunek oblężenia. Lękał się prawdopodobnie napadu ze strony nacierającej armii neapolitańskiej, a zresztą nagła powódź w okolicy Mantui czyniła niemożliwym przedsięwzięcie jakichkolwiek kroków stanowczych. Lawety w kilku miejscach zostały zatopione, gdyż woda dochodziła do wysokości wałów i groziła przerwaniem komunikacji między twierdzą a przedmieściami.

Korzystał z tego nieprzyjaciel i umieściwszy na sprowadzonych z całej okolicy łodziach liczne działa, niepokoił nieustannie załogę, podpływając niemal pod same mury fortecy, która zamknięta szczelnie ze wszech stron, cierpieć zaczęła niedostatek. Z powodu zatopienia młynów brakło żołnierzom chleba, a przecięcie dowozu wszelakiej żywności, brak wiado-

mości od armii, tudzież obniżenie żołądu przez komendanta, wpływały bardzo niekorzystnie na usposobienie załogi. Mimo to Foissac-Latour nie myślał jeszcze wówczas o kapitulacji, a gdy Kray zawezwał go do poddania się, stawiając mu za przykład Medyolan, odpowiedział ironicznie przysłanemu parlamentarzowi, iż doradza nawzajem Kray'owi, aby od oblężenia odstąpił. Jakoż z początkiem czerwca lepsza przyszłość zdawała się uśmiechać oblężonym. Powódź, tyle dla nich groźna, opadła nagle. Chleb i mąka pojawiły się w dostatecznej ilości, więc też ustały skargi z powodu niedostatku i drożyzny, głoszone zwłaszcza przez Francuzów i Włochów, gdyż żołnierz polski przywykł od dawna do głodu i chłodu. Macdonald zbliżał się z odsieczą: przednie jego stráže oddalone były zaledwie o dzień marszu od fortecy, o czym komendanta Mantui zawiadomiono przez szpiegów, generał zaś Kray zmuszony był z armii oblężniczej odesłać ośmiotysięczny korpus dla obrony przeprawy na Padzie. Wiedział o tem dobrze Foissac-Latour, któremu okoliczni włościanie, przymuszani przez wojska austriackie do sypania szańców, donosili o wszystkich ruchach nieprzyjaciela, ale nie korzystał z chwilowego osłabienia przeciwnika — i cały tydzień czasu stracił bezczynnie. Tymczasem bój nad Trebią skończył się klęską Macdonalda i Mantuę pozostawiono jej losowi. Powróciło pod jej mury owe ośm tysięcy żołnierza, wysłanego do strzeżenia brzegów Padu, a nadto znaczne posiłki przybyły oblegającym w świeżych oddziałach wojska oraz w artylerji.

Pewny, iż nikt z odsieczą nie pospieszy osaczonej ze wszech stron warowni, rozpoczął Kray pod koniec czerwca regularne jej oblężanie. Ukryty w rowach, łączył swe aprosze, z których szkodził wewnętrznym fortyfikacyom miasta i przerywał komunikacyą między poszczególnymi częściami warowni. Mimo to oblężeni nie przeszkadzali mu dostatecznie w ziemnych robotach i tylko od czasu do czasu huk dział, dolatujący z wałów i baterji, oznajmiał, że twierdza broni się jeszcze. Powoli i nieład począł się wkradać do wewnątrz-

nej służby. Brama Cerisi, punkt nadzwyczajnie ważny dla obleżonych, wpadła w ręce nieprzyjaciół skutkiem braku czujności załogi, która wraz z dowódcą posterunku zasnęła w najlepsze... Lipcowe upały, tyle groźne dla całej okolicy Mantui z powodu wyziewów, wydzielanych przez sąsiednie bagna, wywołały w zamkniętem mieście rozliczne choroby, które w ciągu dni kilkunastu przepełniły szpitale niezdolnym do pełnienia służby żołnierzem. I wówczas to Kosiński wystosował list otwarty do komendanta, doradzając mu czynienie wycieczek przeciw nieprzyjacielowi. Dowodził, że ukryty w rowach robotnik, pracujący pod osłoną nieznacznej siły wojska, nie stawi poważniejszego oporu wypadającym. Łatwo więc będzie zepsuć rozpoczęte roboty a w najgorszym razie wskaże się cel działom fortecznym... Zarazem zwracał nasz legionista uwagę generała, że w Mantui muszą się znajdować dawni artylerzyści miejscy i wskazywał na konieczność utrzymania większego niż dotychczas ładu w twierdzy, zwłaszcza podczas wycieczek i alarmów, które zwykły były wywabiać na ulice tłumy pospólstwa. Foissac-Latour przyjął jak najuprzejmiej zakomunikowane mu uwagi, oddając najżywsze pochwały gorliwości i znajomości sztuki wojennej ich autorowi, lecz skorzystał z nich tylko o tyle, że polecił komendantowi placu wyszukanie ukrytych w mieście kanonierów którym powierzył obronę jednego z bastyonów. Rocznicę zburzenia Bastylii święciła załoga Mantui dniu 15 lipca z wielką wystawnością, stosownie do rozkazu komendanta, który oświadczył, iż należy tą pamiątką upokorzyć dumę tyranów i przypomnieć żołnierzowi sprawę, za którą walczył!... Oblegający nie przeszkadzali święconemu w twierdzy festynowi, lecz tem gorliwiej pracowali nad wykończeniem linii swych okopów z których w dniu 24 lipca rozpoczęli straszliwy ogień na śródmieście Mantui.

Po dwudziestu czterech godzinach bombardowania ulice Pradelli i Garetty przedstawiały olbrzymi stos gruzów, a i sam środek miasta nie ocalał od ruiny. Mieszkańcy w największym

popłochu opuszczali domostwa, chroniąc się do piwnic i lochów, a nieprzyjaciel z nadejściem nocy opanował kanał Pajolo i począł atakować Miglioretto. Teraz dopiero nakazał komendant wycieczkę. Oddział wojsk cyzalspińskich, popierany przez grenadyerów legii, uderzył tak silnie na usadowionego w Pajolo przeciwnika, iż po części go w pień wyciął, pojmał do niewoli, albo też zepchnął w bagna. Ozwały się też wszystkie działa forteczne, a baterya polska, na wyspie The umieszczona, pracowała niestrudzenie. Grało równocześnie przeszło dwieście dział różnego wagomiaru, roznosząc wokoło śmierć i zniszczenie. Łoskot walących się domów, trzask pękających w powietrzu granatów, pożar gorejących budynków, wytwarzały nad nieszczęsnem miastem atmosferę pełną ognia i gromów, a wschodzące nad wieżami Mantui słońce ginęło wśród odmętu czarnych dymów i wojennej kurzawy. Dopiero około godziny jedenastej z południa zamilkły działa z obu stron i zwycięzkie oddziały, powracające z wycieczki, weszły do twierdzy, wiodąc w tryumfie zabranych jeńców.

W dwa dni później (27 lipca). niezwykle ruch w obozie nieprzyjacielskim zwrócił uwagę załogi. Z wieżyc kościelnych ujrzano formujące się poza obrębem strzałów działowych kolumny szlurmowe, każące wnosić, że ogólny atak niebawem nastąpi. O godzinie czwartej po południu zwołał Foissac-Latour radę wojenną, która zadecydowała opuszczenie przedmieścia świętego Jerzego, celem skupienia wszystkich sił wewnątrz miasta, zaś w ostatecznym razie miano się cofnąć do cytadeli, zaopatrzonej na dwa miesiące w żywność oraz w amunicję. O godzinie 11 w nocy nastąpiła ewakuacja przedmieścia, którego wzmocnienie tyle pracy i czasu pochłonęło. — Z niczem nie da się porównać żal legionistów w chwili, kiedy im rozkazałem opuścić fortyfikację świętego Jerzego — opowiada w swych wspomnieniach generał Meyer, dowodzący na tem stanowisku. — Urosła ona pracą ich rąk. Tam pobudowali sobie szałas, otoczone ogródkami. Ztamtąd wychodzili na bohaterskie boje. Tam widziałem ich żyjących

z sobą w braterskiej miłości i zgodzie... W największej cichości spełniał żołnierz polski otrzymany rozkaz. Uprowadzono wszystkie mniejsze działa, zaś amunicją zatopiono wśród nieustannej walki artylerii, która trwała aż do świtu. Nazajutrz nieprzyjaciel zajął opuszczoną warownią bez straty choćby jednego żołnierza.

Oddanie bez walki nieprzyjacielowi przedmieścia Świętego Jerzego zwiastowało początek końca. Cała już prawie linia fortyfikacji zewnętrznych była w ręku nieprzyjaciela, albo też leżała w gruzach. Bronił się jeszcze bastyon Świętego Aleksego, którego załogę tworzyli wspomniani już artylerzyści miejscy, ale prawie wszystkie działa ich zostały zdemontowane. Nieprzyjaciel podchodził pod same okopy miasta, od których dzieliły go tylko rowy, wodą napełnione. Brama na Pradelli przedstawiała istny stos gruzów, wśród którego cudem prawie trzymał się dzielny legionista Czechowski, odpowiadający z kilku dział, jakie mu pozostały, na straszliwy ogień nieprzyjacielskich baterij. W tak trudnych warunkach zwołał ponownie Foissac-Latour radę wojenną, mającą rozstrzygnąć o dalszym losie Mantui. Wiedząc, że podwładni oficerowie, nie poczuwając się do odpowiedzialności za powodzenie sprawy, zwykli byli głosować za poddaniem się, zawezwał do grona obradujących także szefów batalionowych. Uzyskał potrzebną większość oświadczających się za kapitulacją, gdyż mimo stanowczego oporu ze strony komendanta artylerii Berthona, postanowiono poddać twierdzę. Berthon, popierany przez szefów marynarki oraz inżynierii, utrzymywał, że forteca może się bronić przynajmniej jeszcze miesiąc. Przypominał, że szluzy, zalewające rowy forteczne, były w ręku załogi, że nieprzyjaciel nie uczynił do tej pory najmniejszego wyłomu w murach wewnętrznych twierdzy, oraz, że w ostatecznym razie pozostaje oblężonym jako bezpieczny przytułek cytadela.

Położenie Polaków — jak twierdzi w swej relacji Go-debski — było arcykrytyczne w tym razie. Każdy się wahał

między następczącą się chlubą oświadczenia przeciwnego kapitulacyi a skutkami, jakie zład wogóle wyniknąć mogły. Kapitulacya, pomimo nas, większością byłaby została przyjętą. Miłość własna Francuzów byłaby urażona, a korpus cały stałby się celem zemsty nieprzyjaciela. Trzeba więc było iść za większością... Uczestniczący wszakże w radzie wojennej Polacy, a byli nimi prócz Kosińskiego : szef legii Dembowski, tudzież szefowie batalionów : Królikiewicz, Mosiecki i Woliński, oświadczyli stanowczo, że w razie, gdyby przy kapitulacyi pominięto legion, to oni raczej wysadzą się w powietrze, aniżeli zdadzą się na łaskę i niełaskę przeciwnika. Oświadczenie to przyjął komendant do wiadomości i bezzwłocznie rozpoczął układy o poddanie twierdzy. Pierwotnie żądał on tych samych warunków, na jakie zgodził się Bonaparte w roku 1797, odbierając Mantuę od Wurmsera, to jest domagał się odesłania całego garnizonu wyznaczonymi etapami do armii włoskiej, stojącej pod Genuą. Ale Kray i słyszeć nie chciał o czemś podobnem, upierając się przy żądaniu, by załoga twierdzy po złożeniu broni poszła w niewolę, oczekując chwili kiedy nastąpi między stronami walczącemi powszechna zamiana jeńców. Odpowiedź ta wywołała ogólne oburzenie wśród oblężonych, którzy raczej godzili się na zagrzebanie w murach twierdzy, jak na przyjęcie tak upokarzających warunków. Atoli Foissac-Latour, dążący z dziwną wytrwałością do kapitulacyi, przedstawił radzie wojennej myśl, by cały korpus oficerski oddał się nieprzyjacielowi w zakład za żołnierzy, którzy mieliby powrócić do Francyi, zobowiązując się do nieczynności aż do chwili ukończenia wojny. Rada jednomyślnie przyjęła ów wniosek z dodatkiem, że w razie nieprzyjęcia tej propozycyi przez Kraya, twierdza ma się bronić do upadłego. Energiczną tę deklaracyę podpisało trzydziestu ośmiu członków rady, a między nimi Kosiński, Królikiewicz i Mosiecki.

Inaczej wszakże postąpił chwiejny i tchórzliwy — jak się w tej stanowczej chwili okazało — Foissac-Latour, który

wobec odmownej odpowiedzi Kraya przyjął na własną rękę akt kapitulacji w dniu 28 lipca. W myśl takowego, wszyscy oficerowie wraz z komendantem na czele mieli się udać jako jeńcy wojenni na trzy miesiące do krajów dziedzicznych monarchii austriackiej, poczem wolno im było powrócić do ojczyzny za złożeniem słowa honoru, że nie podniosą oręża przeciw Austrii, dopóki nie nastąpi zamiana jeńców. Natomiast garnizon po złożeniu broni miał zostać odesłany do Francji najkrótszą drogą z obowiązkiem powstrzymania się się od walki do czasu zamiany jeńców. Niemniej ważnym był artykuł drugi konwencji, orzekający, że wojska cyzalpińskie, szwajcarskie, polskie i piemontskie będą uważane i traktowane pod każdym względem na równi z wojskami republiki francuskiej, podczas gdy w dalszych piętnastu punktach kapitulacji omówiono rozmaite szczegóły, dotyczące rannych, bagaży oraz oddania fortecy nieprzyjacielowi. Ogół oficerów w ponurem milczeniu przyjął do wiadomości treść aktu rzezonego i w dniu 30 lipca, w południe, załoga Mantui wyszła z bram cytadeli. Pochód otwierało sześć dział połowych, poczem kroczyły oddziały żołnierzy francuskich, włoskich i szwajcarskich, które minąwszy rozciągnięty po obu stronach gościńca szpaler wojsk austriackich, składały broń swą na wałach twierdzy i ruszały w dalszą drogę rozbrojone. Dopiero po dopełnieniu tej czynności, kazał Foissac-Latour wystąpić legionistom, na których widok żołnierz austriacki ścisnął swe szeregi i kolbami jął rozdzielać oficerów od żołnierzy, popychając ich wśród obelg i gwałtów ku pobliskim domostwom.

Ujrawszy Kosiński co się dzieje, pospieszył w najwyższym uniesieniu do stojących opodal Kraya i Foissac-Latoura, wzywając ich interwencji. Równocześnie pochwyił Królikiewicz za cugle rumaka wodza austriackiego, pytając go groźnym głosem, co znaczy postępowanie jego żołnierzy? I wtedy dopiero Kray okazał zdumionym komendantom artykuł dodatkowy konwencji, opiewający jak następuje: »Z biegiem wie austriacy będą wydani, każdy z osobna puł-

kowi i batalionowi, do którego należą. Naczelnie dowodzący armią cesarską zabezpiecza im życie. « Tym więc króciuchnym dodatkiem, utrzymywanym w jak najściślejszej tajemnicy wobec członków rady wojennej, poświęcił niegodny komendant najdzielniejszych obrońców Mantui zemście nieprzyjaciela, gdyż przeważna część szeregowców drugiego legionu składała się, jak już wspomniano ze zbiegów z armii austriackiej. Obrzucony przekleństwami i zasłużoną okryty hańbą usunął się Foissac Latour z oczu swych podkomendnych zaś Kray na przedstawienia polskich oficerów polecił zaniechanie dalszych gwałtów a nawet wydał napowrót pojmanyh szeregowców, nie pochodzących z zaboru austriackiego. Natomiast oficerowie, którzy z sierżantów w armii austriackiej dosłużyli się w legionie szlif oficerskich, zdegradowani zostali za karę w cesarskiem wojsku na szeregowców. W liczbie tych nieszczęśliwych znaleźli się kapitanowie trzeciego batalionu: Jackowski i Korniszewski. Zaledwie stu pięćdziesięciu legionistów mógł odprowadzić szef Aksamitowski do Lyonu, a część nieznaczną szeregowców legionu, przebranych we własne mundury, wprowadzili żołnierze francuzcy do ojczyzny.

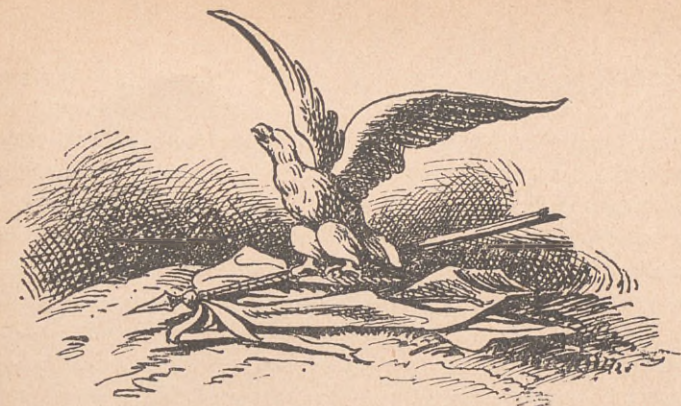
Smutnym był niemniej los rannych, pozostawionych w Mantui. Zgromadzonych na dziedzińcu jednego z hoteli trzymano przez dzień cały pod strażą i dopiero pod wieczór wyznaczono im kwatery w temże zabudowaniu. Oddzieleni tylko ścianą od sali, w której zebrali się oficerowie austriaccy, słyszeli legionieści pochwały, oddawane przez nich artylerji polskiej, broniącej wyspę Thé, a słowa te, zasłyszane z ust przeciwnika, sładziły rannym przykrość położenia, w jakim się znajdowali. Z niemałym trudem i wysiłkiem przyszło im podążać za ustępującymi ku Francji kolumnami żołnierzy, wlokąc się bez opieki lekarskiej na wynajętych własnym koszcie podwodach, gdyż żołd wypłacono rozbitkom dopiero za przybyciem na miejsce przeznaczenia. Przygody doznane

w ciągu tej podróży opisał Cypryan Godebski w swym *Grenadyerze Filozofie*.

Starszyzną legionu z Wielhorskim i z Kosińskim na czele internowano w opuszczonym klasztorze w Loeben i dopiero po bitwie pod Marengo odzyskała ona wolność.

Tak więc drugi legion polski przestał istnieć z chwilą upadku Mantui.





IV.

W owym czasie wychodźcom naszym, nad Sekwaną zebrany, świeże świtały nadzieje. Rządy adwokatów — jak zwykli byli żołnierze nazywać członków dyrektoryatu — niezgorzej od dawnej wszechwładzy królewskiej zaciężyły nad krajem. Ciągłe wojny i podboje wyczerpały moralne i materialne zasoby Francyi, mimo milionowych sum, zdobytych w Państwie Kościelnem i w Neapolu, a obrona granic kraju, tudzież sprzymierzonych z nim republik, wymagała coraz to nowych ofiar w krwi i w mieniu. To też konfiskata dóbr szkolnych i fundacyjnych, tudzież znaczne podwyższenie stopy podatkowej zaledwo na czas krótki zaradzić mogły coraz to dotkliwszym brakiem w kasach rządowych, a nowo wprowadzony system konskrypcyjny, powołujący pod broń wszystkich młodych ludzi między 20 a 25 rokiem życia, srodze dał się we znaki ogółowi ludności.

Dyrektoryat paść miał w niedalekiej przyszłości ofiarą własnej nieudolności oraz błędów swych poprzedników. Nieład w administracyi i w skarbowości wzrastał z każdym rokiem, a klęski, poniesione w ostatnich latach przez armię re-

publikańską we Włoszech, potęgowały ogólne niezadowolenie. Opozycja wzrastała w siły i występowała z coraz to większą śmiałością. Przy wyborze uzupełniającym, w maju 1799 roku, poniósł rząd dotkliwą klęskę skutkiem powołania Siéyesa, kandydata opozycyjnego, do grona dyrektoryatu, którego skład w czerwcu t. r. uległ radykalnemu przeobrażeniu. Ustąpili z wyjątkiem Barassa i Siéyesa wszyscy członkowie tej najwyższej magistratury, zmuszeni do rezygnacji wrogą postawą zajętą wobec dyrektoryatu przez ciało prawodawcze, wśród którego Lucyan Bonaparte, jako jeden z przywódców umiarkowanej opozycji, najgłówniej odgrywał rolę.

Siéyes, zażywający reputacji bystrego polityka, widział ocalenie republiki w stworzeniu odpowiedniej dla niej formy konstytucyjnej i starał się wkoło siebie skupić grono wybitnych osobistości, które, znużone ciągłymi przewrotami w łonie Rzeczypospolitej, dążyły z nim wspólnie do przywrócenia porządku oraz do zabezpieczenia kraju przed możliwością powrotu terrorystycznych rządów. Fouche, zamianowany kierownikiem policji, powściągnął wybryki Jakobinów i oddanych im dzienników, lecz celem przeprowadzenia zamachu stanu oglądał się Siéyes za odpowiednim wykonawcą, za człowiekiem czynu, którego onby pozostał doradcą i mentorem. Pierwotnie myślał o Joubercie, lecz przedczesny zgon tego wodza na polu walki pod Novi zniewolił Siéyesa do szukania innego generała. Moreau wydał mu się niezdecydowanym, Bernadotte zbyt gorliwym republikaninem i wówczas to z ust Talleyranda padło nazwisko Napoleona Bonapartego. Odwołanie armii francuskiej z Egiptu stało się przez to kwestyą czasu i w ostatnich dniach sierpnia t. r. przyszedł cesarz opuścić krainę Faraonów, podążając na widownię swjej chwały i upadku...

Zanim jeszcze fregaty, wiozące Napoleona i jego towarzyszy, zawinęły do Fréjus, uzbrojenie postępowo krokiem, zarówno w Paryżu, jak na prowincyi. Formowano nowe zaciągi dla armii włoskiej, alpejskiej i niemieckiej, której

komendę miał objąć Moreau, i wówczas dopiero przypomniano sobie o tylokrotnie poruszanej sprawie rozszerzenia istniejących już legij polskich. Przykład polskich legionów, które tak znaczne sprawie republiki oddały usługi we Włoszech, spowodował dyrektoryat do stworzenia podobnego korpusu przy armii niemieckiej i za staraniem Jouberta oraz Kościuszki organizacja legii już przed przybyciem Bonapartego była faktem dokonany. Formacją jej powierzono Kniaziewiczowi, a ponieważ legia działać miała w pierwszym rzędzie nad Dnajem, przeto też otrzymała miano nad dnajskiej. Oficerów do utworzenia kadrów przyszłego legionu nie brakło. Prócz Drzewieckiego, który jako adjutant Kniaziewicza pozostał przy jego boku, bawił w Paryżu Kossecki, poświęcający czas wolny od służby gorliwej pracy naukowej. Przebywali też nad Sekwaną: Sokolnicki, studyjący z szczególniejszem zamiłowaniem ma-



JENERAL KAROL KNIAZIEWICZ.

tematykę oraz architekturę, podpułkownik (Gawroński, Fiszer, wiecznie zatopiony w książkach, że już nie wspomniemy nazwisk całego grona wychodźców, przeważnie wojskowych, kupiących się dokoła Kościuszki, tudzież koło zaprzyjaźnionych z nim ściśle Barsa i Wybickiego. Bieda gościła często wśród tej gromadki, a nierzadko i nędza zaglądała do uboższych mieszkań ludzi, których nazwiska już w niedalekiej przyszłości ozdobić miały karty naszych dziejów wojennych. Umieli jednak znosić nędzę ze stoicznym spokojem bohaterowie, którzy w twardych z losem zapasach zdobywali hart ducha,

wytrwałość, odwagę i poświęcenie bezgraniczne dla idei uko-
chanej przez nich, a cnoty te wynieść ich miały zasłużenie
na czoło narodu. Byli to ludzie, wyrosli nie z soli, ani z roli,
ale z tego, co boli...

Przykładem pracowitości i zaparcia się samego siebie
był dla towarzyszy broni Stanisław Fiszer. Poważany przez
dawnych kolegów i lubiany powszechnie z powodu wesołego
ongi usposobienia, wiódł w Paryżu tryb życia odosobniony.
Wiecznie zapracowany w swem mieszkaniu, albo też w bi-
bliotekach publicznych, nie bywał nigdzie, mimo częstych za-
prosin. Przypisywano to mizantropii, nabytej w niewoli rosyj-
skiej, z której niedawno powrócił. Nawet na przechadzce,
stanowiącej jedyne urozmaicenie wśród ciągłej jego pracy,
kroczył zazwyczaj zamyślony i milczący, nie odzywając się
ani słowem do towarzyszącego mu częstokroć Drzewieckiego.
Pewnego dnia, podczas spaceru, zasłabł nagle Fischer, a prze-
jeżdżający ulicą fiakier, zaofiarował mu swoje usługi.

— Jam dwa dni nie jadł — zawołał Fiszer porywco —
a ty chcesz, żebym ci za przejażdżkę płacił...

I przypomniawszy sobie o obecności Drzewieckiego, za-
czął z nim coprędzej mówić o czemś wesołym, wstydząc się
widocznie chwilowego wybuchu. Drzewiecki udał, że nie sły-
szał słów Fiszera, ale zaraz po powrocie z przechadzki udał
się do Kościuszki, któremu przedstawił nędzę, jaką dawny
jego adjutant zmuszony był znosić. Naczelnik nie namyślał
się długo i wyciągnawszy ze stolika rulon, zawierający sto
talarów, oddał takowy Drzewieckiemu z poleceniem, by otrzy-
maną kwotę wręczył potrzebującemu w sposób, jaki uzna za
stosowny. Drzewiecki, zabrawszy pieniądze, pospieszył do zna-
jomego aptekarza, który talary zawinął gdyby lekarstwo w pa-
kiet i zaopatrzył zwykłym napisem: »Do użytku Fiszera, mie-
szkającego i t. d.« Pакiet doręczył posłaniec dozorczy domu,
w którym mieszkał Fiszer i w przeciągu kilku godzin zasiłek
Kościuszki doszedł do rąk właściwych. Ale obdarzony nie dał
za wygraną i zaraz dnia następnego wsiadł ostro na Drze-

wieckiego, którego podejrywał o dostarczenie tak kosztownego lekarstwa. Drzewiecki, wcześniej przygotowany na tę scenę, udał, że o niczem nie wie, więc Fiszer, mocno zirytowany, począł wyrzekać, że niczyjej pomocy nie potrzebuje, że dziadem nie jest, i ochłodnawszy z gniewu, zaproponował przyjacielowi, by z nim udał się do szpitala św. Łazarza, gdzie złoży zaofiarowane mu przez nieznanego dobroczyńcę pieniądze.

Chcąc zyskać na czasie, przystał pozornie na tę myśl Drzewiecki, lecz idąc do szpitala, przypomniał Fiszerowi pozostających w biedzie rodaków, a w ich liczbie Gawrońskiego.

— Ależ on nie przyjmie pieniędzy! — zawołał Fiszer.

— Co to szkodzi, spróbujmy — kusił go Drzewiecki — i wstąpili, przechodząc, do mieszkania Gawrońskiego, który raz jeszcze musiał wysłuchać historii tajemniczego daru, lecz widząc, jakim oburzeniem darowizna owa przejęła Fiszera, odparł na jego propozycją co do przyjęcia przyniesionej sumy w te słowa:

— W rzeczy samej jestem w potrzebie i przyjąłbym te pieniądze, bo zapewne uczciwy człowiek nam je ofiaruje, ale kiedy ty to uważasz za osobistą krzywdę, jakąż mnie czynisz, przypuszczając, że na równi z tobą nie potrafiłbym znieść niedostatku.?

— Cóż chcesz, żebym z tem zrobił? — pytał Fiszer już nieco spokojniejszym głosem.

— Przełam rulon ze mną na połowę — odparł Gawroński — i nie uważaj się za lepszego od innych, bo jak resztę sił stracimy w biedzie, to się na nic nie przydamy. Przyjdziemy kiedyś do pieniędzy, to się z biedniejszymi podzielimy!

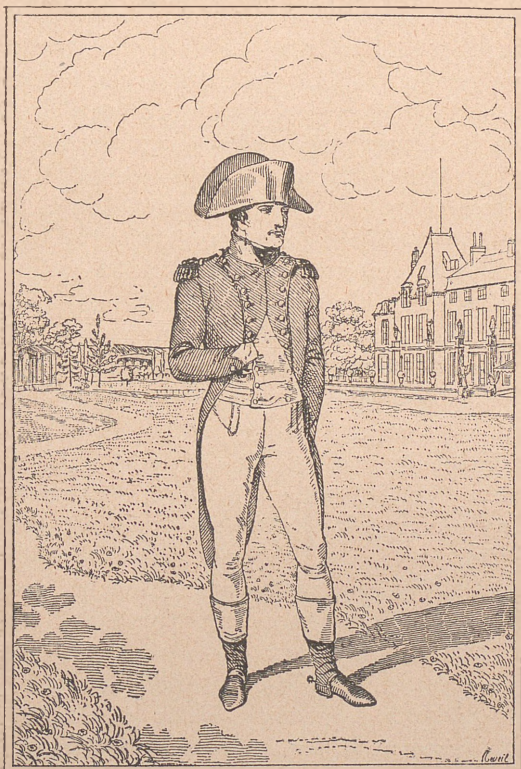
Tak się też stało. Obaj koledzy podzielili się po bratersku pieniędzmi i Fiszer uspokojony powrócił do domu, gdzie żywił się suchym chlebem, okraszonym serem, albo też dla odmiany wyłoczonemi winogronami...

Zdarzenie rzeczone charakteryzuje najlepiej ludzi, których dziełem były legiony.

Zrazu formacja legii naddunajskiej postępowwała oporem, gdyż obok żołnierzy z krwi i z kości, oczekujących z upragnieniem chwili, w której zmierzą się z nieprzyjaciółmi ich ojczyzny, znaleźli się też na bruku paryzkim krzykacze, politycy bulwarowi, którym nie podobały się i nazwa legionu i odrębna tegoż od legii włoskiej organizacja. Pseudopatrioci owi, przywłaszczwszy sobie mandat do przemawiania w imieniu narodu, występowali głośno po kawiarniach przeciw Książęciu, odsądzając go od czci i od wiary. Czeze te gadaniny nie odwiodły wszakże od czynu Książęcia oraz pomocnych mu w tej pracy: Kosseckiego, Fiszera i Drzewieckiego, a wysłani przez generała oficerowie wybierali z jeńców austriackich, zgromadzonych w Metz, w Nancy i w Lunewille, zgłaszających się do legionu ochotników. Niestety brak funduszków na ubranie i uzbrojenie legionistów opóźniał chwilę ich ostatecznej organizacji, zaś Napoleon, który w dniu 16 października przybył do Paryża, zdawał się początkowo nie przywiązywać większej wagi do losów legionu. Zapraszano wprawdzie Kościuszkę i Książęcia na urzędowe przyjęcia, urządzone ku uczczeniu Bonapartego przez dyrektorjat, ale wśród tych festynów oraz gotowanego za kulisami zamachu stanu nie było ni czasu, ni możliwości przypomnienia Napoleonowi sprawy polskiej. Na razie pocieszali się wychodźcy odznaczeniem, jakim zaszczycił Bonaparte Kościuszkę, odwiedzając go jeszcze przed złożeniem wizyt u ministra wojny i u Rady Starszych.

— Chciałem usilnie poznać bohatera Północy — rzekł Bonaparte, witając Naczelnika, który mu nie pozostał dłużny w grzeczności, wyrażając swą radość z powodu oglądania zwycięzcy Europy i bohatera Wschodu...

Wypadki szybko następowały po sobie. W dniu 10 listopada t. r. Napoleon był jednym z trzech konsulów, w sześć tygodni później pierwszym konsulem Francji, zmierzającej szybkim krokiem do przeobrażenia się w monarchię. I te zmiany nie przyniosły żadnej korzyści dla Polski, gdyż pierwszy konsul,



NAPOLEON BONAPARTE JAKO I. KONSUL

przechadzający się w Malmaison

(wedle obrazu Isabey'a).

korzystając z nieporozumień cara Pawła z mocarstwami sprzymierzonymi, myślał o zbliżeniu Francji do Rosji i pragnął wmówić w wychodźców wiarę w szczerą intencję carskich dla dobra polskiego narodu. Rzecz oczywista, iż Polacy ani słyszeć chcieli o polityce ugodowej z caratem, a wystąpienie senatora Garrata, który podczas obiadu u Barsa starał się w jak najprzychylniejszym świetle przedstawić politykę rosyjską Napoleona, wywołało w ostatecznym rezultacie przykre zajście między Kościuszką a Kniaziewiczem. Gdy bowiem Naczelnik z miejsca potępił myśl pierwszego konsula, wystąpił przeciw jego wywodom Kniaziewicz, mówiąc:

— Jenerale, nie sam jesteś narodem, pozwól nam o tem pomyśleć i własne także mieć zdanie...

Oczywiście, że po tych słowach urwała się dalsza rozprawa na temat polityki, i Garrat w milczeniu pożegnał obecnych, lecz chwilowe nieporozumienie między Kościuszką, a Kniaziewiczem załagodziło się już po upływie kilku dni, dzięki przyjaźni, łączącej od lat dawnych obu tych mężów.

Dopiero pod jesień t. r. formacja legii naddunajskiej bardziej rączyła zaczęła postępować krokiem. Pierwszy związek legionu powstał w Falcburgu, dokąd też udał się Fiszer z Drzewieckim, zamianowani szefami batalionów, podczas gdy Kniaziewicz z Kosseckim pozostali w Paryżu. »Żyliśmy odtąd jak członkowie jednej rodziny« — słowa pamiętnika Drzewieckiego — »nasz grosz, bielizna, stół i skromne potrzeby z jednego odbywały się worka«. Fiszer zajmował się sprawami administracyjnymi legionu, dozór zaś koszar i uczenie musztry nowozaciężnych przypadło w udziale Drzewieckiemu. Nadto uczono legionistów regulaminu i służby polowej według zasad przyjętych w armii francuskiej. Ćwiczenia bronią wypełniały dzień cały, wieczory poświęcano wykładom teorii. Położenie Falcburga, niezbyt odległe od granic niemieckich, było powodem, iż głównego zastępu legionistów dostarczyła w pierwszych zaraz tygodniach formacji Wielkopolska. Wśród zgłaszających się ochotników nie brakło młodzieży zamożnej

i wykształconej, jak Suchorzewscy i Suchodolscy, a niebawem też pojawił się w Falcburgu przybyły umyślnie z Paryża zacny Wybicki, zwany ojcem młodzieży i aniołem stróżem legionów, który żywym słowem, przykładem i pismami swemi nieskończenie się przyczynił do podniesienia ducha patriotycznego i poziomu moralności wśród legionistów. Zwycięstwo Masseny, odniesione w dniach 26 i 27 września nad połączonemi siłami austro-rosyjskiemi pod Zurychem dostarczyło legionowi sporego zastępu ochotników z jeńców małoruskich, należących do korpusu Korsakowa. Podążyli też gromadnie do zakładu zbiegi z armii austryackiej arcyksięcia Karola, działającej w Palatynacie. Już legia liczyła z górą dwa tysiące żołnierzy, a jeszcze nie dostarczono dla nich mundurów, bielizny i obuwia. Brak odzieży był tak dotkliwy, iż niektórzy legionieści, chcąc wyjść z koszar, otulali się od zimna kołdrami, a choroby skórne szerzyły się gwałtownie między szeregowcami. Pocziwi mieszkańcy Falcburga starali się, o ile możliwości, zapobiedz panującej między legionistami nędzy, ofiarując im starą odzież i bieliznę, ale dorywcze te ofiary nie były w możności zaradzenia i części potrzeb. W tak trudnych warunkach nadszedł dla legionu rozkaz wymarszu do Metz. Dla okrycia nagich nadesłano lekkie kurteczki, płócienne pantalone i nieco trzewików, które wystarczyły do obucia dwóch trzecich części oddziału. W dniu wymarszu mróz chwycił siarczysty i gdy Drzewiecki stanął przed frontem, by dać znak do ruszenia w drogę, ozwały się z szeregów głosy: — My bos! — i zziębnięci do szpiku kości. Biedacy jęli pokazywać obrzękłe z mrozu nogi, pozbawione wszelkiego okrycia. Nie namyślając się długo, wywołuje dzielny szef pierwszego z rzędu bosego legionistę, oddaje mu własne buty i sam boso po grudzie straszliwej, otwiera pochód wśród odgłosu muzyki, którą z grających na rozmaitych instrumentach ochotników sformował. Za przykładem komendanta podążyła wiara i bez jednego marodera przybył legion po kilkunastu dniach na miejsce nowego przeznaczenia. W Metz w dalszym ciągu odbywała się praca nad

moralnem i zawodowem wykształceniem żołnierza, choć od czasu do czasu przychodziło między gorętszą młodzieżą do zwad pojedynkowych. Przez długie lata figurowała w opowiadaniach legionistów historia pojedynku porucznika Chryzantego Krasiniego z kapitanem Szerszeniewiczem, odbytego na wałach fortecznych Metz. Z pożyczonych od konsystujących w twierdzy dragonów pistoletów strzelali do siebie zaciętrzewieni zapaśnicy siedm razy, nie odniósłszy najlżejszego draśnięcia i dopiero wdanie się Drzewieckiego kres położyło dalszej pukanie oraz przywiódło zwaśnionych do zgody.

W Metz otrzymał legion broń z fabryk wersalskich, z takim utęsknieniem wyczekiwaną, a szeregi jego pomnożyło przybycie oficerów dawnej służby, w których gronie znaleźli się Sierawski, Wasilewski, Jerzmanowski, Zdzitowiecki, Narbutt, Husarzewski i inni, przywożący z sobą mniej lub więcej znaczne sumy, zebrane wśród ziomków na potrzeby legionu. Nadesłał też Kościuszko okazańszą kwotę, zaofiarowaną na ten cel przez księżną Aleksandrową Sapieżynę. Dzięki tym zasiłkom można było pomyśleć o sprawieniu zapasowego obuwia i bielizny dla legionu, którego wyekwipowanie zostało ukończone z końcem marca 1800 roku. Mundur legionu (granatowy z karmazynowemi wypustkami), przypominał w zupełności uniformy legionistów włoskich i dawnego wojska narodowego. Złote szlify i guziki stanowiły odznakę oficerską. Według pierwotnego planu legia miała się składać z czterech batalionów piechoty w sile po tysiąc dwieście ludzi, z pułku jazdy i z dwóch kompanij artylerji. Nie czekając na formacyą jazdy, która organizowała się w Strassburgu, wysłano piesze bataliony na linią bojową, nad Ren. Naczelną komenda legionu spoczywała w ręku Kniaziewicza, przy którym pełnili: Gawroński, obowiązki szefa sztabu, zaś Sokolnicki funkcyę szefa brygady, podczas gdy poszczególnymi batalionami dowodzili, prócz Fiszera i Drzewieckiego, Kralewski oraz Wasilewski, komendę zaś artylerji powierzono

kapitanowi Redlowi, znanemu już z swej energii, okazanej podczas oblężenia Mantui.

Legion naddunajski zaliczony został do korpusu generała Saint-Souzanne'a, tworzącego lewe skrzydło armii nadreńskiej, która w sile stu trzydziestu tysięcy żołnierza przeszła w ostatnich dniach kwietnia Ren. Książęwiczowi poruczono obronę szaniec w Kehl oraz wiedzenie walki z podjazdami austriackimi, które od strony Philipsburga niepokoiły nstawicznie Francuzów. Jednym z najdzielniejszych partyzantów armii cesarskiej, działających w tych stronach, był hr. Adam Mier, który na czele lekkiej jazdy dawał się srodze we znaki wojskom republikańskim. Hrabia Adam był synem Jana Miera, kasztelana inflanckiego i licząc zaledwo lat dziewiętnaście wstąpił w roku 1791 do armii cesarskiej w pułku szwoleżerów Karaczaja. Jako partyzant odznaczał się Mier nietylko szaloną odwagą i ruchliwością, lecz także przezornością i rzadkim talentem omylenia czujności przeciwnika. Wieształ się on ciągle na bokach lub tyłach Francuzów, urywał im bagaże i transporty żywności, znosił pomniejsze oddziały, lecz walki stanowczej nie przyjmował, znikając za pojawieniem się znaczniejszych sił przeciwnika, by po kilku dniach pojawić się znów w miejscu, w którym się go najmniej spodziewano. Przeciw temu to Mierowi wysłany został Fiszer z batalionem legii oraz z świeżo przybyłym na widownię walki szwadronem jazdy francuskiej, która po raz pierwszy miała się zmierzyć z przeciwnikiem. Wyruszywszy z Kehl, posuwał się Fiszer za ustępującym w kierunku Altenburga nieprzyjacielem, który wszakże znalazł dość czasu, by zawiadomić rozłożone przy drodze siły austriackie o wyjściu oddziału francuzkiego z obronnych okopów.

Tak więc w połowie drogi batalion legii ujrzał się osaczony ze wszech stron przez cesarskich, Mier zaś usiłował mu odciąć odwrót do Kehl. Fiszer postanowił się przebić i sformowawszy czworobok, począł ustępować ku swoim, ale zaraz przy pierwszym starciu dodana mu dla osłony jazda

umknęła z pola, przynosząc do obozu wiadomość o doszczętnem zniesieniu legionistów. Wieść ta okazała się fałszywą, gdyż batalion ocalał, utworowawszy sobie bagnetem drogę, ale mężny Fiszer, ranny, dostał się do niewoli. Napróżno starali się legioniści odbić swego szefa, którego co rychlej cesarscy uprowadzili do swoich stanowisk, podczas gdy inne ich kolumny ucierały się z legionem. Podobno jeniec mógł łatwo odzyskać wolność, dając słowo, iż do końca kampanii nie podniesie broni przeciw Austrii. Harda atoli odpowiedź, dana przez Fiszera generałom cesarskim była powodem, iż go jako więźnia stanu odesłano do Czech, zkąd dopiero w kilka miesięcy później odzyskał wolność, wymieniony w zamian za pojmanego księcia Lichtensteina. Mimo to Kniaziewicz nie oddał nikomu osierconego przez Fiszera batalionu, którym czasowo tylko dowodzili Sokolnicki wraz z Sierawskim.

Strata Fiszera, przedstawiającego jako organizator piechoty pierwszorzędną siłę, była nader dotkliwą klęską dla legionu, któremu nadto z innej strony poważne groziło niebezpieczeństwo. Tą klęską był odwieczny niestety grzech polski: niezgoda. Już przy wyjściu legionistów na linię bojową podniosły się głosy niechętne Kniaziewiczowi i Sokolnickiemu ze strony malkontentów, których siedzibą był Strasburg, gdzie pod wodzą Turskiego, znanego z procesu Ponińskiego, oraz z wystąpień w paryzkim konwencie pod mianem Alberta Sarmaty, formowała się jazda legionu. Intryganci, pomiatający tem gorliwiej zasługami dowódców legii, im chętniej sami chcieli zająć ich miejsce, wywodzili skargi i zarzuty urojone przeciw Kniaziewiczowi i nie wahali się obwiniać generała, iż Fiszera pod wpływem utajonej przeciw niemu zawiści rozmyślnie naraził na zgubę, wysyłając go na wyprawę ze zbyt słabymi siłami... Oszczercy zdołali wprowadzić w błąd nawet Kościuszkę, który, podejrzliwy na stare lata, uwierzył ich oskarżeniu i wystosował do Kniaziewicza list, pełen wyrzutów. Usprawiedliwił się wobec Naczelnika generał wyjaśnieniem rzeczywistego stanu rzeczy i Kościuszko jak najgo-

ręcej występował w jego obronie, lecz ciągle właśnie i niechęci, wrzące wśród legionistów w Strasburgu, zwróciły w końcu uwagę naczelnego wodza, który doradził Kniaziewiczowi, by osobistym wdaniem się w tę sprawę kres położył nieporządkowi. Utajonym sprawcą owych machinacyj miał być — jak twierdzą niektórzy — Roźniecki, przysłany z Marsylii z resztkami pułku Karwowskiego, należącego dawniej do pierwszego legionu. Z przybyciem wszakże Kniaziewicza do Strasburga umył Roźniecki ręce od wszystkiego i utrzymał się nadal na stanowisku szefa szwadronu. Natomiast nieszczęśliwy Gawroński, szef sztabu legii, padł ofiarą intrygantów. Oplątany przez nich, nie widział dla siebie innego sposobu wyjścia z brzydkiej tej sprawy, i skończył samobójstwem, rzuciwszy się w nurty Renu.

Wewnętrzne te rozterki nie wpływały wcale na udział piechoty legionu w postępach, jakie czyniła armia nadreńska. Legioniści bili się dzielnie w starciach pod Berg i Bornheim, oraz zajęli Offenbach, gdzie stanęli przed świtem. Ku niemałemu zdziwieniu powitały wchodzących do miasta wiarusów nawoływania w ojczystym języku z okien niektórych domostw.

— Wyście rodacy, wy nam nie zrobicie przykrości!

Jak się niebawem przekonano. wołającymi byli polscy żydzi, należący do sekty Franka i osiedli od dawna w tem mieście. Sekciarze w przeważnej części dorobili się znacznego majątku, lecz zachowali strój i język polski. Z Offenbach podążył legion pod Frankfurt, a po kapitulacji tego miasta wysłano Polaków na obserwacyą twierdzy Filipzburg, której komendantem był sędziwy hr. Salm. Armia austriacka, dowodzona przez Kraya, cofała się na całej linii i nie oparła się aż w warownym obozie pod Ulmem, straciwszy w ciągłym odwróceniu niemal połowę żołnierza. Moreau nie ścigał zbyt natarczywie cesarskich, gdyż zależało mu na utrzymaniu łączności z armią włoską, a zresztą odparcie nieprzyjaciela ku brzegom Dunaju było głównym celem podjętej przez niego wyprawy. W ostatnich dniach czerwca zajęli Francuzi Mona-

chium, zawieszenie zaś broni, zawarte w dniu 15 lipca 1800 roku w Parsdorfie, spowodowało dłuższą przerwę w działaniach wojennych.

Na podstawie rozejmu zajęli legionści Filipsburg, a następnie wyznaczono im leże w okolicy Braunau, dokąd też przybył pierwszy szwadron ułanów, uformowanych w przeważnej części z wziętych do niewoli ułanów austriackich, a rekrutujących się z Galicyi. Lud doborowy i wywieszony we władaniu bronią, dotychczas w armii francuskiej nieznaną, to jest lancą, siedzący na dzielnych koniach normandzkiej rasy, był przedmiotem ogólnego podziwu dla oficerów armii nadreńskiej, którzy, korzystając z czasu rozejmu, przybywali z dalszych okolic do Braunau, by oglądać naszych kawalerzystów.

Zawieszenie broni, przedłużone w połowie września t. r. z powodu rokowań pokojowych, nawiązanych między pierwszym konsulem i Austryą, trwało do ostatnich dni listopada. w którym to czasie Moreau rozpoczął dalsze kroki nieprzyjacielskie. Szło mu o przebycie Innu, którego brzegów, silnie obwarowanych, broniła wzmocniona do stu trzydziestu tysięcy żołnierzy armia austriacka. Na czele jej po odwołaniu Kraya stał ośmnastoletni arcyksiążę Jan, który zachęcony szczęśliwem dla jego oręża spotkaniem pod Ampfing, (w dniu 1 grudnia), postanowił działać zaczepnie i opuściwszy obronne swe pozycje nad Innem, maszerował prosto na Hohenlinden, gdzie skupiły się główne siły Francuzów.

W dniu 3 grudnia przyszło w tem miejscu do walnej bitwy i podczas gdy Moreau atakował Austriaków od frontu, zajął ich tyły przedzierając się leśnemi bezdrożami Richepanse, w skutek czego armia cesarska, wzięta we dwa ognie, poniosła najzupełniejszą klęskę, zostawiwszy na pobojowisku piętnaście tysięcy rannych i zabitych, tudzież osmdziesiąt dział. W batalii tej legion brał udział jako część oddziału Richepanse'a. Stanąwszy w oznaczonej przez naczelnego wodza porze na linii bojowej, nie mało przyczynił się do przechylenia szali zwycięztwa na stronę wojsk republikańskich. Zadanie

to nie było łatwe, jeżeli się zważy, że wypadło Kniaziwiczowi przebywać leśne ostepy wśród śniegów grudniowych, torując sobie bagnietem drogę przez zagrażające mu dalszy pochód korpusy austriackie. W tych to utarczkach ułani legionu zaszczytnie odbyli chrzest ogniowy. Porucznik Kostanecki na czele ośmiu ułanów zdobył sześć dział z nieprzyjacielskich, a i w kończącym bitwę uderzeniu na tyły austriackie jazda legionu, wiedzona osobiście przez Kniaziwicza, dokazywała cudów waleczności, rozbijając w puch huzarów i piechotę cesarską, współzawodnicząc godnie z francuskimi szaserami.

Relacje współczesne o bitwie pod Hohenlinden przekazały nam czyn, godny zaiste pamięci. Oto jeden jedyny ułan polski zabrał do niewoli pięćdziesięciu siedmiu piechurów austriackich, ubiwszy im poprzednio kapitana i porucznika. Zuchem tym był szeregowiec-legionista Jan Pawlikowski, który wysłany w tyraliery, zmusił spotkany oddział piechoty do złożenia broni i zawezwawszy do pomocy przejeżdżającego opodal szasera, pognął rozbrojonych jeńców ku swoim. Przypadek zrzucił, iż sam Moreau, na czele sztabu przebiegający pole walki, spotkał tę niezwykłą eskortę, a rozmówiwszy się nie bez trudności z Pawlikowskim, chciał go na miejscu zamianować oficerem. Ale dzielny ułan wymówił się od tego zaszczytu, składając się brakiem umiejętności czytania i pisania, a uniesiony szlachetnym animuszem, nie przyjął również zaofiarowanej mu przez wodza nagrody pieniężnej, tłumacząc mu łamanym językiem, że Polak bije się za honor i ojczyznę a nie dla złota. Tak więc Moreau zamianował Pawlikowskiego sierżantem z podwójną płacą i polecił czyn jego podać do publicznej wiadomości w rozkazie dziennym, zaś rząd naczelny przesłał mu w upominku honorowy karabinek, srebrem wykładany. Na kolbie widniała blacha z wieńcem wawrzynowym, wrytym do koła, w środku którego czytano następujący napis: »Rzeczpospolita francuska swemu obrońcy, obywatelowi Janowi Pawlikowskiemu, szaserowi kawalerji polskiej, który w bitwie 12-go Frimaire'a w roku dziewiątym

rzeczypospolitej wziął pięćdziesięciu siedmiu jeńców do niewoli.

W dniu 9 grudnia przeszedł Moreau rzekę Inn pod Rosenheim a legionisci, przydzieleni do korpusu generała Lecourbe'a, tworzącego straż przednią armii, bili się już w trzy dni później z nieprzyjacielem pod Salzburgiem, torując drogę Francuzom wśród przejścia, wykutego w skałach, a bronionego przez liczną artylerję oraz piechotę. Wśród gradu kul i pocisków działowych, legion nie odpowiadając wcale na strzały, biegł nieustraszenie ku ukrytym za załomem góry działom. Bębny były krok podwójny i w stanowczej chwili rozległa się wśród naszych komenda: na bagnety!... W mgnieniu oka działa, ustawione na przeciwnym zakręcie drogi, dostaty się w ręce legionistów, którzy w niepoohamowanym impecie wykłuli co do nogi kanonierów oraz broniącą armaty piechotę, co widząc, dalsze baterje umilkły już po jednym wystrzale i zaprzodkowawszy działa, umykały ku Salzburgowi. W ślad za niemi szedł legion, który pod osłoną jazdy i artylerji konnej spuścił się w dolinę i wiedziony przez Kniaziewicza zdobył most na rzece, zanim jeszcze nieprzyjaciel zdołał pospieszyć w pomoc swoim, broniącym przeprawy. Za mostem świeża wywiązała się walka, gdyż legionistom zastąpiła drogę brygada Lichtensteina, kryjąca odwrót całej armii arcyksięcia Jana. Wśród starcia ks. Lichtenstein, otoczony sztabem, ukazał się na pobliskim wzgórzu, co zoczywszy grenadyer z batalionu Fiszera, nazwiskiem Trandowski, założył się z towarzyszami o miarę wina, że porwie księcia żywcem pośród jego świty. Wiarusy przyjęli zakład i Trandowski pełzając niepostrzeżenie pod pagórek, wyskoczył z nienacka z ukrycia i ściągawszy Lichtensteina z konia, zarzucił go sobie na plecy. Nie ważono się strzelać do uciekającego, który zasłaniał się jeńcem gdyby tarczą i szczęśliwie dostał się do swoich wraz z napoły zduszonym księciem. Lichtenstein — jak już wspomniano — wymieniony został następnie za Fiszera i opuszczając obóz francuski chciał obdarzyć Trandowskiego

zegarkiem i pieniędzmi. Ale dzielny grenadyer nie przyjął tego daru i wyprosił sobie u księcia na pamiątkę jego ostrogi.

Utarczka pod Salcburgiem była ostatniem, ważniejszym spotkaniem w tej kampanii. Armia nadreńska przekroczyła Traun i w dniu 20 grudnia stanęła w Steyer, gdzie też w pięć dni później podpisano rozejm, w myśl którego Austria oświadczała gotowość zawarcia traktatu pokojowego bez oglądania się na swych sprzymierzeńców, wycofywała swe wojska z Tyrolu oraz odstąpiła Francuzom twierdze Würzburg, Braunau i Scharnitz. Linia demarkacyjna, ciągnąca się od Würzburga po Styryą, dzieliła obie armie, zaś zwycięzcy w zajętych prowincjach rządili się gdyby we własnym domu. Odznaczali się pod tym względem niektórzy generałowie armii republikańskiej, którzy zapomniawszy zbyt rychło o swem pochodzeniu z najniższych warstw ludowych, rozwijali w kwaterze przepych iście monarchiczny, oczywiście kosztem zniszczonych przez wojnę mieszkańców. Inaczej postępowali Polacy. Książewicz zawsze starał się zajmować ustronną kwaterę, by nie być przymuszonym do utrzymania domu na stopie, przyjętej przez równych mu rangą komendantów. Toż samo Sokolnicki, przebywający w opactwie Kremsmünster, prowadził tryb życia nader skromny, nie chcąc przyczyniać swą bytnością ciężaru zakonnikom, którzy musieli znaczną zapłacić kontrybucyą, nałożoną przez Francuzów. Za przykładem starszyny poszli też oficerowie niższych stopni i szeregowcy legionu, obchodzący się z mieszkańcami z jak największą względnością. Nie dziw przeto, że ludność sprzyjała Polakom, a nawet z własnej woli zaspokajała rozmaite potrzeby legionistów pod względem odzieży i obuwia, odchodzących zaś komendantów żegnano dyplomami uznania za ludzkość i wyrozumiałość, okazywane ludności na każdym kroku. Zaledwo rozłożono wojsko na leże zimowe, gdy Moreau otrzymał rozkaz, powołujący go do Paryża. Wódz nacze.ny, odjeżdżając, zabrał z sobą Książewicza, który pragnął osobiście przypomnieć pierwszemu konsulowi sprawę Polaków. Przy wjeździe do Strassburga powitała wjeź-

dżających generałów odświętnie przybrana ludność miejscowa, a kobiety ofiarowały zwycięzcy z pod Hohenlinden wspaniały wieniec wawrzynowy. Moreau przyjął takowy, lecz z grzecznością prawdziwie francuską nie omieszkął dodać w tejże chwili:

— Widzicie obok mnie jednego ze współuczestników wyprawy. Pozwólcie, abym z nim podzielił wieniec. Niech on przyjmie część jego i podzieli się nim także ze swą bracią...

Życzliwe te słowa znakomitego wodza, uważanego za współzawodnika Napoleona pod względem sztuki wojennej, były też jedyną zapłatą za krew, przelaną przez Polaków w ciągu ostatniej kampanii...

Podczas układów pokojowych, toczący się w Luneville, pierwszy konsul, marzący już o cesarskim dyademie, miał przedewszystkiem na celu zbliżenie się do Rosyi oraz Prus i zaokrąglenie granic Francyi wyłącznym kosztem świeżo pokonanej monarchii Habsburgów. O przypomnieniu kwestyi polskiej dworom rozbiorowym nie mogło być przeto i mowy. Granicami republiki miały być odtąd Ren i Adyga. W przeciwnym razie groził Napoleon odnowieniem kroków wojennych i dyktowaniem warunków przyszłego pokoju w Wiedniu... Tak więc pełnomocnicy austriacy zgodzić się musieli na ciężkie warunki zwycięzcy, któremu ustąpiono 1.150 mil kwadratowych o ludności, liczącej trzy i pół miliona głów. W związku z układami rokowanymi w Luneville a załatwionymi ostatecznie w dni 9 lutego 1801 roku zgodzeniem się na żądania, wyrażone przez Francję, pozostawało też załatwienie sprawy neapolitańskiej, oraz powstanie nowego królestwa na apenińskim półwyspie. Neapol zawdzięczał ocalenie swej samoistności jedynie wstawieniu się cara Pawła, o którego względy dbał na razie Bonaparte. Musiał jednak król Ferdynand zamknąć porty swego państwa dla dawnych sprzymierzeńców, Anglików; utrzymywać własnym kosztem dwunastotysięczny garnizon francuski i ogłosić amnestyę dla wygnanych z kraju republikanów.

Jeszcze dziwniejszem zjawiskiem było stworzenie przez pierwszego konsula, oswobodziciela Italii — jak go zwały dzienniki rządowe — królestwa Etruryi. Efemeryczne to państwo powstało na gruzach wielkiego księstwa tokańskiego, tworzącego, jak wiadomo, sekundogeniturę panującego w Austrii domu i tworzyło wynagrodzenie dla księcia Ludwika parmeńskiego, ożenionego z infantką hiszpańską, w zamian za dziedziczną jego posiadłość, która w najbliższej przyszłości przypaść miała w udziale Francyi. Jakkolwiek jednak pierwszy konsul uznał za stosowne przemilczeć o losie Polski przy układach, których wynik od jego wyłącznie zależał woli, to jednak nie myślał pozbywać się legionów, których usługi na polu bitew dostatecznie nauczył się oceniać. Nie chciał ich wszakże zatrzymywać w służbie Francyi, sądząc, że krok tego rodzaju mógłby być niemile widziany w Petersburgu lub w Berlinie i z tego powodu nosił się z zamiarem pozostawienia legionistów na żołdzie rzeczypospolitej cyzalpińskiej, której rządu faktycznie w jego spoczywały rękę, jakoteż królestwa Etruryi, uległego wasala Francyi.

Więści o nowem przeznaczeniu legionów doszły do Niemiec jeszcze przed ogłoszeniem postanowień traktatu lunewilskiego, a równocześnie legia naddunajska otrzymała rozkaz pochodu do Włoch. Na Zurych, Bazyleję, Genuę i Mont-Cenis odbywał się ów marsz, powolny z powodu zimy, smutny pod wpływem dolatujących z Paryża wieści o samowolnem zarządzeniu pierwszego konsula. Coraz to częściej podnosiły się wśród oficerów i żołnierzy głosy:

— My nie po to spieszyli setki mil pod sztandary legionów, aby wysługiwać się królom Etruryi. Przybyliśmy, aby walczyć za wolność i ojczyznę. Nami nie wolno rozporządzać, gdyby najemnikami.

Wzburzenie umysłów w szeregach legionu doszło do kulminacyjnego punktu z chwilą, gdy Fiszer dowiedział się przypadkowo od znajomych oficerów francuzkich o właściwym przeznaczeniu dwóch pułków kawalerii, które w nie-

znacznej odległości posuwały się krok w krok za legionem. Była to eskorta, która w razie oporu legionistów miała ich siłą zmusić do wykonania otrzymanego rozkazu... Wieść o tem wywołała straszliwe oburzenie legionu i tylko poczucie żołnierskiego honoru zdołało utrzymać starszyznę i żołnierzy pod sztandarem, któremu wierność poprzysięgli. Rycerski Kniaziewicz, przekonawszy się w Paryżu o prawdziwości krążących w kołach wojskowych pogłosek co do przyszłych losów legionu, zażądał uwolnienia od służby i mimo przedstawień ówczesnego ministra wojny, Berthiera, wytrwał w swem postanowieniu. W odpowiedzi na zachęcające wezwanie Berthiera, by nadal zatrzymał komendę legii naddunajskiej, odpowiedział nasz generał ze zwykłą mu szczerością, iż, straciwszy przekonanie, że służy sprawie ojczystej, czuje się niezdolnym do służby tak pod względem moralnym, jak fizycznym i z tego powodu domagać się musi dymisy. »Rozpamiętując w zaciśku, com dla ojczyzny uczynił« — pisał Kniaziewicz do Berthiera — »oczekiwać będę chwili, w której mię kraj na nowo do służby powoła«...

W zastępstwie Kniaziewicza przyprowadził legią do Medyolanu Sokolnicki, witany po drodze życzliwie przez komendantów francuskich, powiadomionych już dokładnie o przeznaczeniu legionu. — Bracia! — mówił w Genewie Macdonald do oficerów polskich — wiercie mi, że armia dzieli wasze uczucia i radaby wam dopomódz, ale dyplomacya zapomniła o usługach, jakie oddaliście naszej sprawie. Gdybyśmy mogli rozkazywać, układy nie byłyby wypadły na korzyść koalicji!...

W Medyolanie legia naddunajska otrzymała nowego wodza w osobie Władysława Jabłonowskiego i w tej to stolicy doczekała się przybycia legii włoskiej, powracającej z pod Mantui, pod wodzą Dąbrowskiego. — Niepewność o jutro ząsępiła radosną chwilę powitania bratnich zastępów, które wstawione męstwem na niemieckich i włoskich pobojowiskach, uczuły teraz dopiero, że nie są niczem innym, jak tylko ślepem narzędziem w ręku samolubnego despoty!



V.

Już przedtem pierwsza legia Dąbrowskiego ukończyła swą reorganizacją po stratach, jakie poniosła w ciągu kampanii, odbytej w górnych Włoszech pod naczelnem dowództwem Macdonalda. Odpoczynek legionistów trwał niezbyt długo, gdyż w dniu 27 lipca wysłano ich ku Toriglii celem strzeżenia przejść przez góry tamtejsze. Było to stanowisko nader ważne, ponieważ codziennie przychodziło do utarczek z przednimi strażami nieprzyjacielskimi, a równocześnie niedostatek żywności, trudnej do zdobycia w górzystej okolicy, dotkliwie dawał się we znaki naszym wiarusom. Zamianowany naczelnym wodzem armii włoskiej Joubert przybył do Genui, i wcieliwszy pod swe rozkazy dawną armię neapolitańską, postanowił szybkim działaniem powetować porażki swych poprzedników. Spiesząc z odsieczą oblężonej przez sprzymierzonych Tortonie, spotkał się w dniu 15 sierpnia z główną armią nieprzyjacielską pod Novi i mimo widocznej przewagi liczebnej po stronie przeciwnika, przyjął bitwę, w której sam poległ; pojawienie się zaś Melasa z korpusem wojsk cesarskich na tyłach Francuzów przyprawiło ich o znaczne straty. Dąbrowski nie znajdował się ze swą komendą w owej bitwie, gdyż stosownie do otrzymanych rozkazów, bił się równocześnie i z powodzeniem pod Arquato i dopiero po opanowaniu tej miejscowości przybył na pole walki, by wczas zastąpić

cofającą się armię francuską przed pościgiem nieprzyjacielskim. Dopiero noc zapadająca przerwała dalszą walkę i zwycięzki Suwarow gotował się już do pochodu na Genuę, by zadać cios ostateczny armii włoskiej, dowodzonej zastępczo przez Moreau, gdy niezgoda, wybuchła w obozie sprzymierzonych ocalała Francuzów. Urażony samowolnemi zarządzeniami kierownika polityki austriackiej, Thuguta, żądał Suwarow odwołania go ze stanowiska naczelnego wodza i zaniechał dalszego ścigania Francuzów, którzy z największą skwapliwością starali się wyzyskać bezczynność sprzymierzonych.

Na nieznaczących potyczkach i manewrach, mających na celu raczej wprowadzenie w błąd przeciwnika, aniżeli odniesienie nad nim poważniejszych korzyści, upłynęły druga połowa sierpnia oraz pierwsze dni września, a tymczasem nadciągnął do Genui z częścią armii alpejskiej Championet, któremu Moreau zdał dowództwo, udając się nad Ren. Wśród drobnych utarczek, w jakich owego czasu legioniści uczestniczyli, zyskali oni wśród towarzyszy broni nazwę dostarczycieli żywności, z powodu łatwości, z którą zdobywali dążące do obozu nieprzyjacielskiego transporty prowiantowe. Bo też legion w dosłownem tego pojęcia znaczeniu oddany był własnemu przemysłowi. Rząd rzeczypospolitej cysalpińskiej nie mógł łożyć na jego utrzymanie wobec faktu, iż kraj cały pozostawał w mocy wojsk austro-rosyjskich, zaś Francya, której zasoby były również wyczerpane długotrwałą wojną, nie troszczyła się wcale o los naszych żołnierzy, sytych wtedy jedynie, gdy żywność zdobyli na nieprzyjacielu.

»Ponosiliśmy nędzę, przechodzącą wszelkie pojęcie« — pisze Dąbrowski w swym pamiętniku. — »Żołnierze byli niepłatni, bez obuwia, bez koszul a nawet bez mundurów, rozlokowani w okropnych górach i dzikich skałach, zmuszeni bezustannie wdzierać się na nie i odbywać marsze utrudzające, wystawieni na deszcze, śniegi i mrozy, pozbawieni żywności niekiedy przez dni cztery, i wtenczas zmuszeni do żywienia się korzonkami leśnymi, nie mając ani chwili odpo-

czynku, bo zawsze naprzeciw nieprzyjaciela. Oto wierny obraz przeraźliwej sytuacji, w jakiej znajdowała się nasza legia a nawet cała armia włoska w owej epoce.»

Z chwilą objęcia dowództwa przez Championeta, w połowie września t. r. rozpoczęły się ponownie działania zaczepne przeciw Austryakom. Legion, wysłany na prawe skrzydło armii, staczał bez przerwy utarczki z przednimi strażami nieprzyjaciela, wśród których ważniejsze spotkania nastąpiły pod Pozzolo oraz pod Bosco. W tej ostatniej potrzebie legioniści zdobyli cztery działa oraz trzystu jeńców, ale stracili tyleż ludzi ze swych szeregów. Jabłonowski ranny, dostał się już do niewoli, lecz został odbity przez naszych, zaś Dąbrowski cudem niemal uszedł śmierci. W chwili bowiem, gdy na czele grenadyerów zdobywał działa nieprzyjacielskie, rozpedzając ich obsługę, ugodzony został kulą karabinową w same piersi. Ocaliła mu wszakże życie książka, tkwiąca w zanadrzu munduru, którą pocisk rozerwał w kawałki, nie drasnawszy nawet jenerała. Książką tą była *Historja wojny trzydziestoletniej* Szylera. Czytał ją Dąbrowski przed rozpoczęciem bitwy i siadając na koń, zabrał z sobą. Tak więc dzieło germańskiego wieszczka zasłoniło naszego wodza od niemieckiej kuli! Pobity w potyczce pod Bosco, jenerał Karaczaj cofał się pospiesznie aż pod mury Aleksandryi i dopiero rozkaz naczelnego wodza wstrzymał dalszy pościg nieprzyjaciela.

Nie poprzestając bowiem na pomniejszych przewagach, odniesionych nad sprzymierzonymi, zamyślał Championet o stoczeniu walnej bitwy z austriacką armią, przewyższającą go w dwójnasób liczbą żołnierza i zaopatrzoną dostatecznie we wszelakie potrzeby, podczas gdy Francuzi pod każdym względem cierpieli niedostatek. Zasoby Genui były już na wyczerpaniu; dostarczanie materiału wojennego przez Alpy przedstawiało w braku dróg kołowych znaczne trudności, a przewóz takowych morzem był prawie niemożliwy wobec kraczących wzdłuż wybrzeża statków angielskich, ścigających z nieubłaganą zaciętością flagę republikańską na wodach mo-

rza Śródziemnego. W dniu 6 listopada tego roku przyszło w końcu do walnej rozprawy pod Novi, gdzie generał Kraj, wprowadzony w zasadzkę przez Dąbrowskiego, przypłacił swą nieostrożność stanowczą klęską. Korpus jego, wzięty w krzyżowy ogień przez spieszące w pomoc Polakom dywizje francuskie, został niemal zupełnie zniszczony, a pościg zwyciężonych odbywał się aż do Bosco. Bitwa pod Novi zakończyła kampanią 1799 roku, gdyż zasy py śnieżne, jakie niebawem zawiąły wąwozy apenińskie, stworzyły nieprzebyte zapory dla obu stron walczących. Mógł więc legion odpocząć po trudach bojowych, ale głód i chłód, trapiące legionistów od kilku miesięcy, wywołać musiały choroby, dziesiątkujące żołnierza, nie znajdującego w szpitalach należytej opieki.

Marniały też konie kawalerii polskiej, tak że zaledwo dwieście wierzchowców, zdolnych było w owym czasie do służby frontowej. Dąbrowski daremnie czynił zabiegi u Championeta celem polepszenia doli swych podkomendnych. Wódz naczelny nie mu poradzić nie zdołał, gdyż i w głównej kwaterze panował niedostatek i dopiero przybycie do Genui wiernego przyjaciela Polaków de la Roche, przyniosło pewną ulgę legionowi. Zawiadomiony o nędzy naszych de la Roche tak długo kołatał u władz naczelnych o wypłatę zaległego żołdu i przyznanie legionistom należącej się im żywności, aż w końcu pomyslny skutek uwieńczył jego starania. Równocześnie doszła do legionu wieść o powrocie Bonapartego z wyprawy egipskiej do Paryża. Oficerowie legionu, pokładający nieograniczone zaufanie w bożyszczu republikańskiej Francji, zebrał się na wspólną naradę, której rezultatem był adres, wygotowany do Dąbrowskiego w dniu 2-go grudnia t. r. w Ovada, a opiewający, jak następuje:

»Stosownie do rozkazu rządu francuskiego wysłany zostałeś, jenerale, celem tworzenia legionów polskich we Włoszech pod okiem Bonapartego. Niebawem wsławiłeś ich istnienie, co uznali i potwierdzili wodzowie naczelni: Berthier, Brune i Moreau, ale wojna zmniejszyła o połowę pierwszą i drugą

legią. Racz więc, jenerale, czuwać nad ich pomnożeniem, jest bowiem po temu chwila stosowna. A któż może być właściwym rzecznikiem u Bonapartego, obecnego konsula, i u Berthiera, piastującego dziś urząd ministra wojny, jeżeli nie ty, jenerale? Dla szczęścia przeto ojczyzny, dla nas samych udaj się jenerale do Paryża, Naśladując twój przykład w sposobie dzielenia się z nami tem wszystkim, co posiadasz, ofiarujemy ci na kosztą podróży jednomiesięczny nasz żołd«...

W obec ważności sprawy, nie mógł się oprzeć Dąbrowski prośbom swych towarzyszy i w pierwszych dniach grudnia, zdawszy komendę legionu Jabłonowskiemu, wyruszył w drogę do Paryża, gdzie doznał u Bonapartego jak najlepszego przyjęcia. Świadczy o tem najdowodniej list konsula, datowany z Paryża w dniu 26 grudnia t. r.

»Obywatelu jenerale! — pisał Bonaparte do Dąbrowskiego. — Po powrocie moim do Europy dowiedziałem się z prawdziwem zadowoleniem o zachowaniu się twojem oraz twych walecznych rodaków w czasie ostatniej kampanii. Niepowodzenie zaćmiło na chwilę chwałę naszej armii, lecz wszystko zapowiada, że zaświeci ona wkrótce nowym blaskiem. Powiedz, jenerale, twoim walecznym, że są oni nieustannie obecnymi w mej myśli, że liczę zawsze na nich, i że oceniam ich poświęcenie dla sprawy, której bronimy i że będę zawsze ich przyjacielem oraz wiernym towarzyszem«...

Tym razem przychylnym słowom rządu republikańskiego zdawały się towarzyszyć czyny, które w gruncie rzeczy nie miały innego znaczenia jak podtrzymanie zapału Polaków w walce o sprawę Francyi, oraz pomnożenie jak najrychlejsze sił wielce osłabionej armii włoskiej. W pierwszej jednak chwili nowe zarządzenia konsula mogły wzbudzić w umyśle Dąbrowskiego oraz ogółu legionistów niepełną nadzieję, iż Bonaparte szczerze myśli o zaspokojeniu ich najgorętszych pragnień oraz ziszczeniu myśli, towarzyszącej tworzeniu się legionów. Pierwszy konsul kazał mianowicie zgromadzić wszystkie oddziały polskie w Marsylii z postanowieniem, iż zebrany w tem mieście kor-

pus przechodzi odtąd na żołd republiki francuskiej pod nazwą Pierwszej Legii Polskiej. Legia składać się miała z siedmiu batalionów piechoty oraz z batalionu artylerji. Rannym lub okaleczonym w boju legionistom służyć miały te same prawa co inwalidom armji francuskiej. Skutkiem tego postanowienia pułk jazdy Karwowskiego przeznaczony został do legii Kniaziewiczza, zaś resztki zmarnowanego w Mantui legionu, wyprowadzone z twierdzy przez Aksamitowskiego, albo też ocalone w przebraniu żołnierzy francuskich przez towarzyszy broni, tworzyć miały kadry czwartego, piątego i szóstego batalionu w nowo zorganizowanym korpusie. Rekrutów potrzebnych do zapełnienia szeregów w dawnych batalionach legii oraz do sformowania nowego, siódmego batalionu, dostarczyć miały świeże zaciągi, w którym to celu wysłano werbowników do Dijon, do Lille, do Toulouse i do Besancon, gdzie znajdowała się znaczniejsza ilość jeńców austriackich.

Wszystkie te czynności i przygotowania zatrzymały Dąbrowskiego nad Sekwaną, aż do maja roku następnego (1800), w którym to czasie udał się generał do Marsylii, jako do punktu zbornego swego korpusu. Zastał tam już cztery nowoformowane bataliony piechoty i artylerją, przybyłą z rozmaitych zakładów, lecz pozostawione przy armji włoskiej oddziały, tworzące dawniej pierwszą legją włoską, nie mogły zdążyć do Marsylii z powodu ciągłych potyczek, jakie staczały z nieprzyjacielem.

Miejsce Championeta, zmarłego w dniu 10 stycznia 1800 roku skutkiem ponoszonych trudów i niedostatku, zajął w dowództwie armji włoskiej Massena, który już tylko dwadzieścia pięć tysięcy żołnierza zastał pod bronią. Resztę zmiołły choroby i głód, strawiły ciągłe potyczki z cesarskimi, których szeregi pomnażano nieustannie świeżymi posiłkami. Melas, wódz austriacki, parł swoimi korpusami szczupłą armją republikańską ku Genui, pragnąc ją przyprzeć do morza i osaczoną ze wszech stron zmusić do złożenia broni. Plan ten powiódł się tylko w części Melasowi, gdyż Massena zamknął

się wprawdzie z połową swej armii w murach Genui, którą bezwzględnie zaczęto oblegać, ale reszta wojsk francuskich uciekała się zwycięzko z Austryakami, usiłującymi napróżno stworzyć kordon nieprzebyty od strony północy. W tych potyczkach bili się dzielnie legionieści, zaliczeni do korpusu Sucheta. W spotkaniu pod Tarrano wziął cesarskim Jabłonowski pięciuset jeńców, zaś Białowiejski, który po nim objął dowództwo legionu, niepokoił kilkakrotnie nad Warem główne siły Melasa, by na wieść o opuszczeniu Genui przez Massenę cofnąć się na wskazane mu stanowiska pod Niceą i Oneglią. Tymczasem Napoleon, złudziwszy czujność wodzów austriackich poruszeniami armii nadreńskiej na niemieckim teatrze wojny, ciągnął na czele czterdziestotysięcznej armii w pomoc zagrożonym we Włoszech wojskom republikaniskim. Przez góry: św. Bernarda, Gotarda i Mont-Cenis przeszła armia Bonaparte'go z szybkością, wzbudzającą podziw nawet u dziejopisarzy najbardziej mu niechętnych, przekroczyła Pad pod Piacencą i w dniu 2 czerwca t. r. weszła w tryumfalnym pochodzie do Medyolanu, przywracając byt Rzeczypospolitej cyzalspińskiej. Na dwa dni przedtem Massena wyczerpawszy do szczętu zapasy żywności, oddać musiał cesarskim Genuę, zastrzegając sobie wolny odwrót z bronią w ręku, lecz Melas, zawiadomiony o pojawieniu się pierwszego konsula na równinach Lombardyi, nie miał czasu na święcenie tryumfu nad wyłódzonym przeciwnikiem, jeno spieszył pod Turyn, wydając rozkaz gromadzenia wszystkich swych sił w okolicy Aleksandryi.

Szóstego czerwca pobił Napoleon wojska cesarskie pod San Cipriano, nazajutrz wpadła w ręce Francuzów Cremona, dziewiątego czerwca stoczył Lannes zwycięzką z Austryakami walkę pod Montebello, zaś w dniu czternastym t. m. spotkały się obie armie pod Marengo. Zrazu zwycięstwo przechylało się na stronę Austryaków i Melas, już pewny wygranej, odjechał do Aleksandryi, powierzając dalsze ściganie nieprzyjaciela szefowi swego sztabu, Zachowi, gdy niespodziewane pojawienie się brygady Dessaix na linii bojowej zmieniło w ciągu

godziny postać rzeczy. Wprawdzie nieustraszony Desaix zginął, lecz piechota jego pierwsza poczęła łamać szyki cesarskich, zaś uderzenie jazdy Kellermana dokonało zwycięstwa. Wszystkie działa, sztab główny wraz z Zachem i cztery tysiące jeńców dostały się Francuzom, a dwa razy tyle rannych i zabitych postradali zwyciężeni. Bitwa pod Marengo rozstrzygnęła o losie Włoch, oddając kraj cały aż po Mincio w ręce wojsk republikańskich. wobec czego odzyskanie utraconej Genui było zadaniem aż nazbyt łatwym dla Masseny, któremu Bonaparte, odjeżdżając do Paryża, oddał ponownie dowództwo nad armią włoską, wzmocnioną przywiedzionymi przez niego wojskami.

Chwilę tą uważał Dąbrowski, pracujący niezmiernie w Marsylii nad reorganizacją legionu, jako najodpowiedniejszą do przypomnienia pierwszemu konsulowi sprawy polskiej. W tym celu przedstawił mu ponownie plan pomnożenia legionu do dwudziestu i trzydziestu tysięcy żołnierza, wysłanie takowego nad Ren, by następnie przez Czechy i Morawię podążać najkrótszą drogą do Galicji, której ludność połączy się niechybnie z wkraczającym wojskiem przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi: »Korpus ten, prowadzony przez człowieka niełakomego — przedstawiał Dąbrowski w swym memoriale — zachowujący jak najściślej rozkazy i porządek dyscyplinarny, nie potrzebuje się lękać, aby które miasto, miasteczko lub wieś, zamknęły przed nim swe bramy. Owszem, wyjdą one na jego przyjęcie i zaopatrzą go we wszystkie potrzeby. Korzyści, wypływające z tej wyprawy dla armii francuskiej, są zbyt widoczne, gdyż pochód Polaków zmusi prawe skrzydło austriackie do cofnięcia się ku Czechom, a tymczasem lewe skrzydło armii francuskiej, trzymając je w szachu, przeszkodzi mu w użyciu wszystkich sił przeciw Polakom. Co zaś do Polaków, jest to jedyny sposób dopięcia celu ich pragnień w sprawie odrodzenia ojczyzny. Armia polska, nie narażając się nigdzie, mając ciągle przed sobą linię operacyjną, nie zagrożona ni z tyłu, ni z boków, posuwać się

będzie naprzód i okryje się sławą, zdobywając Polskę, powstającą pod panowaniem austriackiem. Łatwo odgadnąć każdemu, kto wie, z jaką niecierpliwością oczekuje naród polski każdej sposobnej chwili do zrzucenia jarzma, kto zna gotowość tego narodu do poświęceń za sprawę niepodległości — łatwo, powtarzam, odgadnąć, jakich usiłowań dołożą Polacy, by przyjąć bratnie wojsko i dopomódz mu w wygnaniu nieprzyjaciela. Żyje jeszcze między nami cnotliwy Kościuszko. Imię jego będzie hasłem dla wszystkich prawych obywateli. Szacunek, jakiego zażywa, zaufanie, wzbudzone jego cnotą, ożywią nadzieje we wszystkich sercach, armia zaś polska, prowadzona pod jego wodzą, może się spodziewać jak najświetniejszych korzyści«.

W dalszym ciągu swego projektu liczył Dąbrowski na neutralność Rosyi, oraz Prus, z dawna zawistnych potędze domu Habsburgów, a nawet przypuszczał, że oba te dwory dałyby się nakłonić do dobrowolnego odstąpienia swych zabiorów za stosownem wynagrodzeniem w posiadłościach niemieckich i tureckich...

»Cóż powiedzą na to Polacy? — zapytuje generał w końcowym ustępie swego pisma. — »Oto przejęci zostaną najwyższą wdzięcznością dla narodu francuskiego, jako dla swego ducha opiekuńczego. Wielkiemu Bonapartemu wzniosą pomnik, który świadczyć będzie przyszłym pokoleniom o wielkości ich wdzięczności, oraz o wielkości bohatera, któremu zawdzięczać mają odrodzenie swe i niepodległość«.

Do owego memoriału dołączył Dąbrowski list wystosowany do Napoleona.

»Obywatelu, gierwszy konsulu!« — pisał Dąbrowski. — »Polacy wyczekują od ciebie zaszczytu, że im dozwolisz raz jeszcze zmierzyć się z nieprzyjacielem o sprawę ich nieszczęśliwej Ojczyzny. Bracia nasi wzywają i czekają nas. Racz więc dozwolić nam chwały zerwania kajdan własnych lub dania życia za sprawę tak chlubną. Ten sam zapał płonie we wszystkich sercach moich ziomków. Kreśląc plan wspom-

niony, jestem tylko tłumaczem jednomyslniej ich gotowości do poświęceń!»

Z pismami temi podążyli do Paryża Wybicki oraz Zajęzek, lecz jaki skutek odnieść mogła gorąca odezwa żołnierza, nie liczącego się z kombinacjami politycznymi, wobec stojącego u szczytu chwały bohatera, który ubóstwiany przez wszystkie klasy ludności, spełniał wprawdzie w przededniu święta narodowego (dnia 14 lipca), toast na cześć udzielności ludu, lecz myślał równocześnie o monarszej purpurze oraz o pozyskaniu dla siebie uznania ze strony panujących domów.

Przychylniejszym dla myśli pomnożenia legionów okazał się Massena, który, uproszony przez Dąbrowskiego, zrobił co leżało w zakresie jego władzy i wydał rozłożonym w rozmaitych miejscowościach batalionom legii rozkaz przybycia do Medyolanu, gdzie miano je kompletować nowymi zaciągami. Tam też przybyli uwolnieni jeńcy mantuańscy z Wielhorskim na czele. Traktowano ich na równi z pojmanymi oficerami francuskimi, a z Leoben, gdzie legionistów pierwotnie internowano, przeniesiono ich następnie do Węgier. Przyniesli oni wieść żałobną o zgonie Forestiera, szefa drugiej legii, zmarłego z ran odniesionych, i za powrotem wstąpili ponownie do służby w legione.

Wielhorski otrzymał komendę zakładu w Marsylii i przydawał, jak dawniej, w radzie administracyjnej legionu, która wiele miała do czynienia wobec znacznego napływu zgłaszających się ze wszęch stron ochotników. Nie było wszakże żadnej trudności w organizacyi batalionów, na których umundurowanie rząd cisalpiński nie szczędził funduszów, wypłata zaś żołdu i uzbrojenie odbywały się kosztem Francyi. W dniu 8 listopada nastąpił w Medyolanie przegląd legii, liczącej do pięciu tysięcy zbrojnych, a w dniu 20 t. m. wyruszył Dąbrowski na czele czterech zupełnie już kompletnych batalionów oraz kompanii artylerji w pole z przeznaczeniem oblegania Peschierzy i połączonej z nią jeziorą Garda Sermiony. Szczupłe siły Dąbrowskiego, któremu dodano nieco tylko jazdy

i piechoty francuskiej, nie pozwoliły mu przedsięwziąć regularnego oblężenia tych warowni, tem bardziej, że nie posiadał odpowiednich dział. Poprzestał więc nasz generał na obserwacji fortów nieprzyjacielskich, które, prócz licznej artylerii i załogi, posiadały na jeziorze flotylę, złożoną z piętnastu uzbrojonych armatami łodzi, utrzymujących stałą komunikację między Peschierą a Sermioną. Do ostatnich dni grudnia odbywały się pomniejsze utarczki między wypadającą z warowni załogą a legionistami, lecz dopiero przybycie Chasseloup-Loubeta, generała inżynierii francuskiej, wraz z działami ciężkimi umożliwiło ściśle osaczenie Peschier.

Dąbrowski, zamianowany drugim komendantem wojsk oblężniczych, otrzymał stanowisko na prawym brzegu Mincionu oraz na półwyspie Sermione i jak długo trwały przygotowania do ostrzeliwania twierdzy, zasłaniał roboty saperów, niepokoił oblężonych rekonensansami i odpierał ataki wyprawianych z Peschier oddziałów, usiłujących przeszkodzić sypaniu baterii. Jakoż roboty oblężnicze postępowały rączym krokiem, mimo ciągłej kanonady z wałów twierdzy i wycieczek załogi, zdobycie zaś warownej pozycji Casa Bianca bagnetem legionistów otwarło oblegającym przystęp pod same okopy Peschier. W dniu 11 stycznia 1801 roku rozpoczęło się ostrzeliwanie fortecy z dział oblężniczych, lecz w chwili, gdy po zrobieniu wylomów, zamyślano już o przypuszczeniu szturm do warowni, nadeszła wieść o zawarciu zawieszenia broni w Treviso, w myśl którego Peschiera oraz Sermione przechodziły w ręce Francuzów. Wprost z pod Peschier udał się legion wraz z odkomenderowanymi w tym celu oddziałami francuskimi pod Mantuę, która na razie wprawdzie pozostawała w ręku cesarskich, lecz wojska republikańskie osaczać miały twierdzę w promieniu ośmiuset sążni od szanieców. Blokada ta trwała do połowy lutego t. r. gdyż po ogłoszeniu armii postanowień traktatu w Luneville, garnizon austriacki w dniu 17-tym t. r. zdał Francuzom Mantuę. W dniu tym legia zajęła w szyku bojowym gościniec, wio-

dący od twierdzy ku Weronie, mając na skrzydłach piechotę oraz jazdę francuską, a po wręczeniu jej przez Dąbrowskiego świeżo nadesłanych z Paryża sztandarów, rozpoczęła się defilada opuszczających Mantuę wojsk austriackich, poczem część legionu pozostała wraz z francuzami na załodze w fortecy, podczas gdy reszta legionistów wraz z Dąbrowskim pociągnęła do Mediolanu.

Z wiosną 1801 r. pierwsza legia polska wraz z dawną naddunajską, liczyła do 13 tysięcy żołnierza, należycie uzbrojonego i ostrzelanego w boju. Przegląd pierwszej legii, odbyty przez Dąbrowskiego w dniu 21 marca t. r. w Mediolanie, wykazał w jej składzie 303 oficerów oraz 6.422 podoficerów i szeregowców, zaś legia naddunajska liczyła, według zapisków Dąbrowskiego, około 6.000 ludzi. Postanowienia traktatu lunewilskiego oraz rozmaite pogłoski, rozsiewane przez prasę francuską o przyszłym przeznaczeniu legionów, to znów podające w podejrzenie naszych oficerów o sprzyjanie nieprzychylnym pierwszemu konsulowi żywiłom, wywołały w gronie legionistów wątpliwości, czy należy im dalej służyć, gdy nadzieja walczenia z nieprzyjaciółmi ojczyzny na razie zniknęła. Wysoce rozwinięte w tym wybranym hufcu poczucie honoru, nie mogło się pogodzić z myślą, by legionistów miano uważać za jurgieltników lub awanturników, dymisy zaś Kniaziewicza wywarła wpływ nader ujemny, zwłaszcza wśród legii naddunajskiej, której oficerowie z Fiszerem na czele gromadnie zamierzali podać się do dymisyi. Odwodził ich od tej myśli sam Kniaziewicz, pisząc w dniu 15 maja t. r. list następujący do Fiszera: »...Krok ten wasz wprawdzie szlachetny, lecz pożytku imieniowi Polaka przynieść nie może, że się kilkunastu oficerów ze służby oddali, kiedy się na ich miejsce kilkudziesięciu innych wprasza. Zapewniono mnie, jak nawet list ministra do mnie pokazuje, że legia na żołdzie francuskim na zawsze pozostanie. Kiedy już krajowi użyteczni być nie możemy, potrzeba, żeby tych nieszczęśliwych ofiar cnotliwi oficerowie nie opuszczali, oddawszy ich zupełnie w ręce jurgieli-

tników, bo ci ich i sami siebie więcej dającymu zaprzędadzą. Powiesz mi może, czemu ja was w takim przypadku opuszczam, lecz tu stan mój i Dąbrowskiego jest innego rodzaju. Nam, którzyśmy legie uformowali, słusznieby wymówić można, żeśmy swych rodaków uwodzili i sakryfikowali, żeby swoją egzystencją we Francyi zapewnić. My się przed światem inaczej usprawiedliwić nie możemy, że nas nadzieja oszukała, jak powracając do ubóstwa. Minister wojny różne mi czynił propozycye, żebym się ze służby nie oddalił, lecz kiedy nic nie pomogło, przysłał mi abszyt i pozwolenie jechania do Polski. Na tom był przymuszony mu napisać, że nie zna mego sposobu myślenia, kiedy rozumieć może, że ja się przed nieprzyjaciółmi mej ojczyzny upokorzyć mogę. Od przyjeżdżających z kraju dowiaduję się, iż ministrowie francuscy przy innych dworach już Polakom paszporty do kraju utrudniają, tych zaś, którzy z Francyi wracają, odsyłają w Paryżu do ministrów, dzielących Polskę, gdzie Lucchesini tych z urąganiem przyjmuje. Spodziewać się trzeba, że wracający będą postrzegani od rządów jako ludzie, którzy się miłością ojczyzny otwarcie prononsują. Los zatem Polaka okropny. Jurgieltnikiem albo tułaczem być trzeba, póki się nieba nad tym narodem nie ulitują....«

Nie przypuszczał wszakże Kniaziewicz tej ewentualności, iż nieprzyjazne Polakom pisma pomówią legionistów wręcz o chciwość, twierdząc, że rzucić dla tego pragną służbę republiki, ponieważ inni potentaci ofiarują im korzystne warunki. A jednak głosy tego rodzaju podniosły się w prasie paryskiej i dopiero energiczne oświadczenie Amilkara Kosińskiego ogłoszone w dniu 13 maja t. r., w jednym z pism tamtejszych (*La Clef du Cabinet des Souverains*) kres położyło owym oszczerczym oskarżeniom. »Wiadomość, podana wczoraj w piśmie twojem obywatelu-redaktorze i powtórzona przez inne dzienniki pod napisem z Florencyi — pisał Kosiński do redaktora *Klucza* — »zniewala mnie do prośby, byś zechciał na temże miejscu ogłosić list załączony. Prawdą jest, że ofi-

cerowie polscy podali się lub też mają zamiar podania się o uwolnienie od służby, lecz mylnem jest twierdzenie, jakoby żądali dymisyi z powodu, iż nie chcą porzucić służby francuskiej dla przejścia w służbę wielkiego księcia Toskanii. W rzeczy samej krążą już od niejakiego czasu, wieści, iż rząd francuski przeznacza legiony polskie do przejścia w służbę swych sprzymierzeńców, lecz Polacy dalekimi są od dania wiary owym pogłoskom, a to z następujących powodów: Polacy, kupiąc się pod sztandarami Francyi, mieli jedyny cel na oku, to jest służyć sprawie ich nieszczęśliwej ojczyzny, co jest rzeczą powszechnie wiadomą w całej Europie. Francya, jako rzeczpospolita, postąpiła w podobny sposób wobec tułaczych republikańców polskich, jak niegdyś zachowywała się Francya monarchiczna wobec królów pozbawionych tronu. Kierując się względami wspaniałomyślności, właściwej wielkiemu narodowi, jakoteż racją stanu, udzielił rząd francuski Polakom schronienia, a zarazem nie poskąpił potrzebnych środków, celem zapewnienia ich wojskowej tudzież narodowej organizacyi, nie narzucając im w zamian żadnych warunków, niczego od nich nie wymagając i niczem też nie zobowiązując się z swej strony wobec nich. Nie istniała przeto żadna formalna umowa między obiema stronami, ale któż nie dojrzy w tym stosunku umowy milczącej, dyktowanej prawem odwiecznej sprawiedliwości a poręczonej prawością silniejszego wobec słabszego? Traktatu owego nie komunikował Polakom gabinet dyplomatyczny. Oni odczuwali takowy w szczerem postępowaniu rządu i w duszy każdego Francuza. Oto treść owego układu: Nieprzyjacielem Francyi są także wrogami naszymi. Wyśleliśmy niezwyciężone nasze zastępy celem zapewnienia korzyści wszystkich dotychczasowych zwycięstw. Polacy! oto broń, której żądacie. Ujmijcie ją i łączcie się z bohaterami, dążącymi przez Mincjo, Adygę tudzież wąwozy Hohenlinden, by ponieść uwieńczone zwycięstwem sztandary pod Wiedeń. Ta sama droga wiedzie na wybrzeża Wisły. Idźcie walczyć ze wspólnym przeciwnikiem, zanim przyszłość

rozstrzygnie o losie waszego kraju! Oto jakie są zobowiązania wobec rządu francuskiego. Usłuchali Polacy jego wezwania, walczyli wraz z Francuzami, służąc sprawie swej ojczyzny. Po tak szczerem porozumieniu, które trafiło do przekonania każdego Polaka, czyż można wyobrazić sobie, by obawa przed zniewoleniem do wstąpienia w obcą służbę skłoniła polskich oficerów do podawania się o dymisyę? Nie, ta obawa nie zatrwożyła nigdy ich myśli. Po pierwsze, nie sprzedali nigdy Polacy swej wolności osobistej. Powtóre, pozostają oni pod opieką rządu francuskiego, który jest przeciwny wszelkiej przemocy. Po trzecie, niema potęgi, zdolnej do złamania siły moralnej, umysłu, zdecydowanego do utrzymania za jakąkolwiek cenę szlachetności swego charakteru oraz godności narodowej. Być może, iż milczenie o traktacie, w Luneville zawartym, o artykule, dotyczącym amnestyi tudzież bezpieczeństwa osobistego Polaków, zachęci poszczególne indywidua do szukania przytułku w obcych krajach. Atoli ich święty związek, ten węzeł gordyjski, łączący Polaków obecnie, zostanie natychmiast zerwany, skoro los złowrogi wyrzeczce, iż Polska już nie istnieje. Już niektórzy z Polaków zdają się słyszeć ten okropny wyrok i ze łzami w oczach składają swą broń przed zawartymi podwojami świątyni Janusa. Inni wahają się dotychczas z powzięciem ostatecznego postanowienia i ośmielają się jeszcze ludzi nadzieją. Oto przyczyny ich postępowania, godne związku, trwającego od lat pięciu a przedstawiającego ostatni być może, czyn historyczny nieszczęśliwej Sarmacyi!«...

Pismo powyższe zjednało Kosińskiemu zasłużony szacunek, tudzież wdzięczność w gronie ziomeków, lecz nie zdołało przyspieszyć stanowczego rozstrzygnięcia losu legionistów. Na razie komendę całej armii włoskiej a zatem i naczelne zwierzchnictwo nad legionami objął Murat, którego główna kwatera mieściła się we Florencyi. Z jego rozkazu bataliony legii naddunajskiej przeznaczone zostały do pełnienia służby garnizonowej w nowem królestwie Etruryi. Batalion Fiszera

załogował w Liworno, Drzewieckiego w Siennie, a komendanci tych oddziałów, w myśl dawnej tradycji legionu, starali się o ile możności, jak najmniej przysparzać ciężarów miejscowej ludności. żyjąc z żołdu, jaki rząd im wyznaczył.

Postępowanie, odmienne zupełnie od zachowania się francuskich dowódców, którzy w swych garnizonach rządili się, gdyby w kraju zdobytym, nie podobało się wcale Muratowi, który zawezwał do siebie Drzewieckiego i Fiszera w sprawie służbowej.

— Panowie, wyrzucał im wódz naczelny — chcecie powiększać krnąbrność i niezadowolenie mieszkańców. Ofiarowałem wam stanowiska, które się zasłużonym oficerom francuskim należały, a wy udajecie Spartanów. To nie jest w duchu czasu, ani obecnej służby. Strzeżcie się nadużyć, pracujcie gorliwie, ale sobie wygody nie odmawiajcie i nie wprowadzajcie nadzwyczajności, bo te tylko liczbę malkontentów pomnażać będą. Jeśli mojej nie usłuchacie rady, pomimo najlepszych chęci, zmienić was będę zmuszony!...

Groźba ta atoli nie została wykonaną, jakkolwiek zgromieni nie zmienili wcale trybu postępowania wobec mieszkańców i dopiero podczas uroczystości koronacyjnych, jakie się odprawić miały we Florencyi, powołano legionistów do stolicy nowego królestwa. Francuscy oficerowie usuwali się, jak mogli, od asystowania temu obrzędowi, niezgodnemu, wedle ich zdania, z zasadami republikańskiej armii. Cały więc ciężar reprezentowania wojska spadł na naszych wiarusów, którzy w całej paradzie wprowadzili księcia Ludwika oraz infantkę Maryą Luizę na tron Etrurii. Nie obyła się ta uroczystość bez humorystycznych epizodów. I tak poczęli Włosi czynić wyrzuty Drzewieckiemu, iż do tworzenia szpaleru podczas pochodu przeznaczył jako komendanta niepokaznie wyglądającego kapitana Bolestę. Wówczas pan szef postanowił zażartować z próżnych dygnitarzy nowego dworu i oznajmił im z całą powagą, że Bolesta jest potomkiem panującego ongi w Polsce rodu, skutkiem czego należało mu się podobne od-

znaczenie. Dworacy przyjęli żart za dobrą monetę i zmówili się, iż podczas pochodu koronacyjnego, mijając oddającego im honory wojskowe komendanta, pozdrowi go każdy z osobna frazesem:

— *Eviva il sangue reale!*

Tak się też stało i mimo protestów ze strony Bolesty, przydomek potomka królewskiego rodu towarzyszył mu nieodstępnie podczas pobytu we Florencyi. Bardziej głośną była wszakże demonstracya, której sprawcą stał się cały korpus oficerski, zaproszony na obiad do dworu. Obiad był lichy, wcale nie monarszy, oficerowie zaś, urażeni pomieszczeniem Murata poniżej pary królewskiej, siedzącej na podwyższeniu, poczęli dowcipkować z samych siebie i z władzców, których na tronie osadzili, a głośne rozmowy, brzęk talerzy i szklanek, dowodziły niedwuznacznie lekceważenia z ich strony dla głów ukoronowanych.

Wśród tych festynów odwołano dwa bataliony legionistów na wyspę Elbę, celem wyparcia usadowionych w Porto-Ferrajo Anglików, którzy swymi towarami zasypywali pobliskie porty włoskie, zamknięte dla nich z woli pierwszego konsula. Atoli wyprawa na Elbę skończyła się fatalnie dla naszych, których część tylko wysadzono na ląd dla zaatakowania pozycji angielskich od strony wyspy, podczas gdy reszty oddziału użyto jako załogi na fregatach, działających przeciw nieprzyjacielowi na morzu. Obec bowiem statki przeznaczone do tej ekspedycyi padły ofiarą floty angielskiej, która zabrała ich załogę do niewoli; pozostali zaś na wyspie legioniści powrócili do Livorno, by nadal wśród niepewności oczekiwać, co im przyniesie zagadkowa przyszłość.

Tajemniczość, którą otaczał się Murat wobec starszyny legionu, zdawała się potwierdzać najsmutniejsze przypuszczenia co do rozkazów, jakie od rządu francuskiego w sprawie tego korpusu otrzymał. Mówiono o rozwiązaniu legii oraz o wcieleniu szeregowców do poszczególnych pułków włoskich, a nie brakło również alarmujących wieści, w myśl których

pierwszy konsul miałby poświęcić legionistów, wydając ich Austrii, podobnie jak to uczynił w swoim czasie nikczemny Foissac-Latour. Dzień 21 grudnia 1801 roku zakończył ową niepewność, przynosząc rozkaz rządu francuskiego, rozwiązujący pierwszą legięą polską, która miała się przeobrazić w dwie półbrygady piechoty. Podobnie też legia naddunajska tworzyć miała jedną półbrygadę piechoty, a świeżo zreformowane korpusy otrzymały nazwę półbrygad cudzoziemskich. Artylerya legionu została zwinięta i wcielona do batalionów pieszych, a los podobny czekał też jazdę, dowodzoną przez Różnieckiego, która zawdzięczała swe ocalenie jedynie Muratowi, przydzielającemu wyborowy ten oddział do służby rzeczypolitej cyzalpińskiej.

Reforma ta wywołała ogólne niezadowolenie wśród legionistów i wówczas to podniesiono myśl stawienia zbrojnego oporu rozporządzeniom pierwszego konsula. W myśl tego planu, którego autorstwo przypisywano Kosińskiemu i Fiszorowi, legie miały się zgromadzić w ciągu doby na oznaczonym miejscu, podczas gdy pozostawiony w Mantui oddział opanowałby tę twierdzę. Takież zadanie spełniłaby jazda legionu, zajmując Peschierę, poczem Polacy, będąc panami obu tych warowni, mogliby podyktować swe warunki republice, która tylekrotnie zawiodła ich oczekiwania. Już pomysł ów zbrojnego buntu dojrzał, gdy dowiedział się o nim Dąbrowski i z całą energią sprzeciwił się wykonaniu takowego, przedstawiając natomiast niezadowolonym plan wyprawy na wyspy jońskie, a następnie do Grecyi, gdzie pod opieką Turcyi mógłby legion wyczekiwać dalszych wypadków. Szczegółowy plan tej wyprawy wyluszcza Dąbrowski w projekcie, przedłożonym pierwszemu konsulowi w dniu 14 stycznia 1802 roku podczas pobytu w Lyonie... Ambitne zamiary Rosyi, celem utworzenia państwa wschodniego, znane są całej Europie — pisał generał w owym memoriale. — Rzeczpospolita siedmiu wysp na morzu egiejskiem utworzyć może brakujący jej łańcuch, celem opasania z wszech stron tego państwa a zarazem celem zbli-

zenia się do zachodu. Polacy ofiarują ci, obywatelu konsulu, swe ramiona, by przerwać ten łańcuch. Pochlebiają sobie, że zasłużyli o tyle na zaufanie rządu francuskiego, by nie żywił on żadnej wątpliwości co do ich poświęcenia tudzież interesowności, tworzących jedyną rękojmię ugody politycznej, która zapewnia Francji gorliwych zwolenników w kraju, dla niej nie obojętnym. Dając nam ojczyznę, stworzysz obywatelu konsulu kolonię z swych towarzyszków broni, przejętych dla ciebie uczuciem uwielbienia i wdzięczności a równocześnie ciśniesz ziarno posiewu rewolucyjnego, który kiedyś ogarnie całą Grecyę. Rewolucya ta leży zarówno w interesie całej ludzkości, jakoteż połączona jest z korzyścią dla Francji. Projekt powyższy nie mógłby być szkodliwy dla Rzeczypospolitej, która poświęca w tym celu jedynie korpus cudzoziemskiego wojska. Istnienie tego korpusu podczas pokoju uważać należy jako efemeryczne, zarówno dla niemożebności powiększenia jego szeregów świeżym rekrutem jakoteż wobec braku powodów do dalszej służby dla oficerów. Projekt ten, przedłożony zaufanym oficerom polskim, podniecił ich zapał i mogą zaręczyć, iż taki sam skutek wywoła w całym korpusie.

Po takim wstępie przechodzi Dąbrowski do szczegółowego omówienia swego planu. Wylądowanie zbrojne na wyspach niegdyś weneckich — pisze on — uważane być może tylko jako działanie przygotowawcze w sprawie założenia kolonii polskiej, lecz należy pierwsze działania obliczyć ze ścisłością matematyczną, by można mieć nadzieję osiągnięcia właściwego celu, jaki się miał na oku. Siedm wysp, kraj to górzysty i nieurodzajny, więc nie będzie w stanie wyżywić dziesięć tysięcy ludzi. Chcąc przeto doznać tamże przychylnego przyjęcia, należy się zaopatrzyć we wszystko przynajmniej na pół roku, co da się uskutecznić w następujący sposób: Skoro tylko Polacy zostaną upoważnieni do chwycenia za oręż pod pozorem uniknięcia samowolnego rozporządzenia rządu w sprawie ich korpusu, wówczas w pierwszej zaraz chwili powstania opanują kasy departamentowe oraz gminne, znajdujące się

w okręgach przez nich zajętych. Należy przeto pozostawić oddziały polskie na leżach, które obecnie zajmują, to jest w departamentach Crostolo i Panaro tudzież w Toskanii. Druga legia, rozłożona w Toskanii, zabierze nietylko wszystką gotowiznę, jaka się znajduje w Pizie, w Liworno, w Luce i w Pistoii, lecz zagarnąwszy nadto działa oraz amunicję, wykona szybki obrót celem przekroczenia Apeninów oraz połączenia się z pierwszym legionem. Obrót ten będzie wyglądał na pozór, jakoby Polacy zamierzali przebyć Pad i zbliżyć się do posiadłości cesarskich, wojska zaś francuskie rozłożą się na lewym brzegu rzeki, by niedozwolić im przeprawy. Ten manewr odniesie skutek podwójny. Po pierwsze, iż wojska francuskie będą trzymały na wodzy wszelakie zamiary nieprzyjaciół przeciw Rzeczypospolitej cyzalińskiej; powtóre, iż Polacy, udający jakoby unikali spotkania z wojskami francuskimi, wkroczą do Toskanii. Wódz naczelny wyszle za nimi oddział obserwacyjny a Polacy, starając się ująć przed tą ekspedycją, przejdą granice Państwa Kościelnego tudzież królestwa neapolitańskiego aż do Otranto, gdzie powinni wsiąść na okręty. W przechodzie będą wybierali kontrybucję i w ten sposób zdobędą zasoby, wystarczające na ich utrzymanie w ciągu następnych sześciu miesięcy. Rząd francuski będzie współdziałał w tej sprawie tylko pośrednio: 1. dając tajne upoważnienie do wyprawy na Moreę; 2. wzbudzając na dworze neapolitańskim obawy o Sycylię, co każe mu przedsięwziąć środki obrony z tamtej strony z pozostawieniem wolnej drogi od Otranto; 3. dając rozkaz swym okrętom handlowym, krążącym na morzach śródziemnym i adryatyckim, iżby współdziałały w ten sposób, aby Polacy, przybywszy do Otranto, znaleźli tam statki przewozowe, zaopatrzone w żywność przynajmniej na trzy miesiące; 4. przygotowując na siedmiu wyspach umysły w duchu przyjaznym dla Polaków. Polacy wylądowawszy na miejscu, oznaczonem przez rząd francuski, połączą się dla utajenia swej łączności z Francją, ze stronnictwem rosyjskiem. Zwolennicy francuzcy powinni znów udawać, że ustępują jedynie przewa-

dze liczebnej a połączenie obu tych stronnictw wystarczy, by zniszczyć inne. Rząd francuski da później poznać swe zamiary za pośrednictwem formy rządowej w tej nowej rzeczypospolitej a jednocześnie oszczędzi sobie trudu porozumiewania się z Grekami, przebywającymi w Morei, której okupacja nastąpi bezpośrednio po ustanowieniu rządu na siedmiu wyspach.«

Projekt ten, który dziś sprawiać musi wrażenie niezwykle fantastyczne, wydawał się aż nazbyt łatwym do wykonania towarzyszom broni Dąbrowskiego, którzy jednomyślnie zgodzili się na takowy. — Chodziło tylko o porozumienie się z legią, w Toskanii będącą — pisze w swoich wspomnieniach czeigodny Kazimierz Małachowski, wódz naczelny w 1831 roku — która składając się z czterech batalionów piechoty, pułku jazdy i kompanii artylerji konnej, podniosłaby siłę do szesnastu tysięcy wyborowego i starego żołnierza, groźną dla rzeczypospolitej włoskiej, ażeby śmiała przeciw nam cokolwiek rozpocząć. Lecz tam wzburzenie i niezgoda wykryły plan. Dąbrowski, wezwany do Medyolanu, już więcej do nas nie wrócił. Murat przysłał natychmiast generała dywizji Chabota dla objęcia nad nami komendy i razem z nim generała Vignole'a byłego ministra wojny wojsk włoskich, na prezydującego w jury, pod kierunkiem którego pułkownik Grabiński i nas czterech podpułkowników: Chłopiccki, Małachowski, Jasiński i Zawadzki, wszyscy przez Murata wybrani na członków tegoż sądu, podług danej instrukcji zreorganizowaliśmy naszą legię na dwie półbrygady, każdą o sile trzech batalionów. Te półbrygady wcielone zaraz zostały: pierwsza do pierwszej, a druga do drugiej dywizji włoskiej.

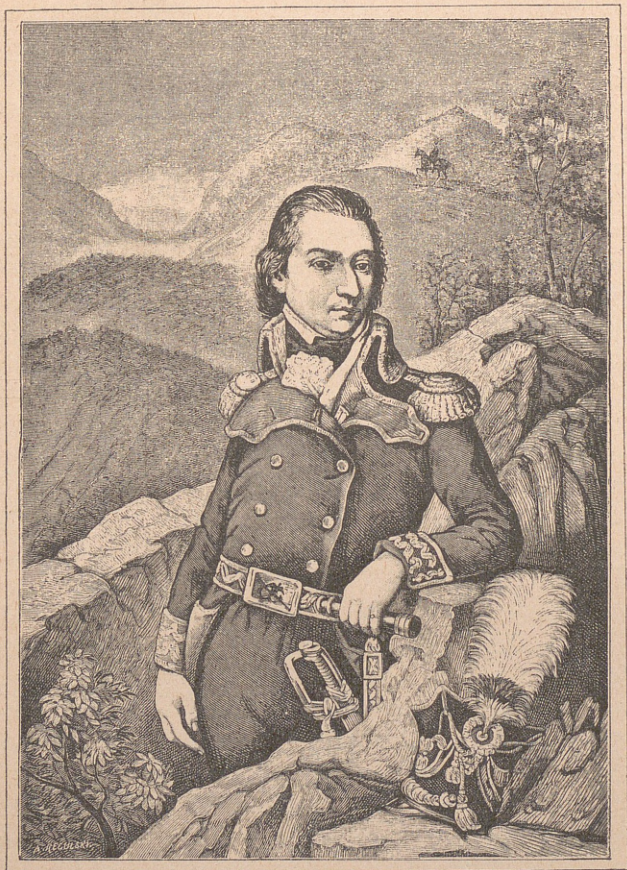
Tak przedstawia się sprawa ekspedycji greckiej, nie dość jasno dotychczas skreślona w opisach działalności legionów. Że Dąbrowski nosił się w rzeczy samej z planem uratowania legionu pod protektoratem tureckim, dowodzą tego jego listy, pisane w styczniu 1802 roku z Lyonu do Kosińskiego. Pierwszy konsul nie sprzeciwiał się pozornie przedstawionemu przez

jenerała projektowi, podobnie jak Tayllerand, piastujący tekę ministra spraw zagranicznych, ale z ich odpowiedzi odniósł Dąbrowski przekonanie, że naczelnicy republiki myślą przede wszystkim o utrwaleniu pokoju, dla którego wszystko gotowi byli poświęcić. Że tak było w istocie, dowiódł pierwszy konsul zawarciem traktatu w Amiens dnia 17 marca 1802 roku, mocą którego zawarł pokój z Wielką Brytanią za cenę uznania z jej strony wszystkich zdobyczy francuskich na stałym lądzie oraz w koloniach, a już w dwa tygodnie później zadała republika cios stanowczy legionom, które krwią serdeczną stwierdziły swą wierność dla jej sztandarów.

Cios ten dotknął w pierwszej linii dawną legię naddunajską, załogującą w okolicy Liworno, a tworzącą — jak to już wspomniano — trzecią półbrygadę cudzoziemską. Murat pragnął ją podobno zatrzymać w służbie królestwa Etrury. Ponieważ jednak korpus oficerski jakoteż ogół legionistów odmówili temu żądaniu, przeto w dniu 1 kwietnia 1802 roku wydał Berthier jako minister wojny polecenie Muratowi co do wywiezienia legii na wyspę San Domingo. Rozporządzenie ministeryalne, równające się w skutkach dekretowi zagłady dla nieoswojonego z zabójczym klimatem wyspy żołnierza, opiewało w odnośnym ustępie, jak następuje:

»Wydać jenerałowi, dowodzącemu we Włoszech, polecenie co do skoncentrowania w Liworno legii polskiej i wsadzenia jej na wielkie okręty z żywnością na dwa miesiące. Minister marynarki wyda co do ich przeznaczenia dalsze rozkazy, a to dla wysłania tej ekspedycyi w pierwszej dekadzie Floreala, (od dnia 20 do 30 kwietnia). »Uwiadomić jenerała, dowodzącego we Włoszech, że król Etrury wyłoży koszta na ambarkowanie legii polskiej, przez co uwolni się od niej«...

Jeszcze przed ogłoszeniem tego rozkazu wielu oficerów legii podało się do dymisyi. Ustąpili pomiędzy innymi Fiszer i Drzewiecki, podobnie jak Wielohorski i Strzałkowski, którzy również porzucili szeregi legionu. Tak więc z głównych twórców legionów na ziemi włoskiej pozostał już tylko sam Dą-



JAN HENRYK DĄBROWSKI w młodości,
jako porucznik gwardyi saskiej.

(Podług portretu z r. 1776 w Winnogórze w X. Poznańskiem,
gdzie pochowany).

browski w służbie Rzeczypospolitej Cypalińskiej jako komendant dywizji oraz inspektor jeneralny wojsk polskich. Niezłamany tylokrotnym zawodem, sądził zapewne nasz generał, iż zdoła jeszcze uratować byt stworzonego przezeń korpusu, choćby pod zmienioną nazwą i dopraszał się, by mu wolno było z chorych i rannych legionistów, pozostałych w rozmaitych zakładach włoskich, tworzyć świeże zaciągi dla Rzeczypospolitej, w której służbie pozostawał. Ale i temu żądaniu sprzeciwił się rząd francuski, który w najkrótszym czasie chciał się pozbyć naszych żołnierzy z Włoch i wyprawił całą trzecią półbrygadę za morze. O tyle wszakże pierwszy konsul zaufał Polakom, że nie dodał im eskorty wojsk francuskich, towarzyszącej innym oddziałom, wyselanym pod groźbę bagnętów i ognia działowego na tę wyprawę. Co prawda, oddziały owe składały się z wyrzutków armii republikańskiej, z dezertarów i aresztantów wojskowych, trzymany przedtem na wyspie Ré, tudzież z mieszkańców Bretanii, czyli tak zwanych gardkotów, gwałtownie porywanych pod karabin. Smutny los tych straceńców przyszło obecnie dzielić legionistom, zebrany w Liworno. Ogłoszono im w rozkazie dziennym, iż w nagrodę znakomitych usług wojennych, oddanych przez Polaków Rzeczypospolitej, trzecia półbrygada zostaje przydzieloną do wojska francuskiego z zastrzeżeniem równych zaszczytów, praw i korzyści, przybierając odtąd nazwę setnej trzynastej półbrygady armii. W kilka dni później ogłoszono wojsku rozkaz ambarkowania na stojące w porcie statki przewozowe, a równocześnie przybyła z Tulonu korweta wojenna, mająca towarzyszyć odpływającym okrętom. Jakkolwiek więc zaopatrywano magazyny okrętowe w wodę i żywność na dłuższą podróż, to jednak żołnierzy starano się utrzymać w mniemaniu, że przewiezieni do Tulonu, pełnić będą służbę we Francji, a niebawem też przybył z Ankony świeżo zamianowany szef brygady, Fortunat Bernard, który do tej pory służąc przy sztabie, nie dowodził nigdy samoistnie. Nadto generał Bernard nie znał wcale języka swych podkomendnych i nie starał się

bynajmniej o pozyskanie ich zaufania, krzywdząc legionistów na każdym kroku do tego stopnia, iż nawet tytoni dla żołnierzy przeznaczony, sprzedawał na własny rachunek w Kadyksie. Przeznaczona do ekspedycji półbrygada składała się z trzech batalionów, dowodzonych przez Zagórskiego, którego zapiskom o wyprawie na San Domingo zawdzięczamy wiele nieznanych do tej pory szczegółów. W ogóle korpus oficerski półbrygady składało stu osmnastu oficerów różnych stopni, pozostających w czynnej służbie, bądź też na reformie (to jest na połowie żołdu), podczas gdy podoficerów i żołnierzy liczono w chwili wsiadania na okręty 2.235 oraz 56 osób, należących do służby lekarskiej i administracyjnej. Przeprawa odbywać się miała na pokładach czternastu statków różnej objętości. Tak więc na jednych mieściły się po dwie kompanie, na drugich znów jedna kompania żołnierzy, którzy w ponurem milczeniu, lecz bez oporu wsiadali na szalupy i składali na okrętach broń swą oraz bagaże.

Wobec tego przykre wrażenie wywarło na odpływających skonsygnowanie w porcie dwóch półbrygad francuskich, zarządzone przez dowodzącego w Livorno generała Rivauda, gdyż użycie siły zbrojnej ukazało się zbyt celnym wobec nawyklých do posłuszeństwa legionistów. Natomiast pozwolono dziewiętnastu kobietom, żonom wojskowych, towarzyszyć mężom w zamorskiej podróży, a nie brakło też dzieci żołnierskich, podążających z rodzicami na drugą półkulę. W dniu 18 maja 1802 roku o godzinie czwartej rano, eskadra, wioząca zwycięzców z pod Hohenlinden, opuściła port w Liworno, lecz szalona burza, srożąca się na pełnym morzu, zapędziła ją z powrotem do zatoki, z której dopiero w trzy dni później wyruszone ponownie w drogę do Tulonu. Ofiarą burzy padł wszakże jeden ze statków przewozowych, płynących pod flagą rosyjską, nazwiskiem »Mikołaj«, który zaraz po opuszczeniu portu rozbił się w pobliżu latarni morskiej San Vincenzo. Z stu osmdziesiąciu ludzi, tworzących załogę »Mikołaja«, ocalało zaledwo sześćdziesiąciu legionistów, dowodzący zaś nimi

kapitan Kaktus zawdzięczał życie tylko przytomności swej małżonki. Dzielna ta kobieta, uchwyciwszy jedną ręką męża, drugą uczepiła się płynącej w pobliżu okiennicy okrętowej i po kilkugodzinnej walce z rozszalałym żywiołem została wyrzucona na wybrzeże. Mieszkańcy Liworna zajęli się litośnie losem rozbitków, których wraz z pozostałymi jeszcze w zakładach włoskich legionistami odesłano we wrześniu na miejsce przeznaczenia.

Policzone były również dni pobytu drugiej legii, a raczej już drugiej półbrygady na włoskiej ziemi. Rząd republiki cyałpińskiej okazywał się dla legionistów wielce przychylny, zachował im dawne mundury i komendę w języku ojczystym, a dążąc w myśl intencji pierwszego konsula do zupełnego zniszczenia pierwotnej organizacyi legionu, ofiarowywał oficerom, przechodzącym do pułków włoskich, wyższe stopnie a szeregowcom gratyfikacye i celem silniejszego związania naszych żołnierzy ze sprawą włoską szerzył wśród nich zasady wolnomularskie. Organizacya ta, odmiennemi rządząca się prawami od łóz francuskich, znalazła wśród oficerów licznych zwolenników, lecz zachowywano ją w najściślejszej tajemnicy wobec szefa brygady Wincentego Aksamitowskiego, nie cieszącego się wcale poważaniem ze strony podwładnych. Jednym z głównych agitatorów wolnomularskich był generał Aurora, dymisyonowany przez rząd neapolitański i jego też nazwisko służyło jako hasło, za pomocą którego porozumiewali się wtajemniczeni. Aksamitowski, urażony brakiem ufności ze strony swych podkomendnych, zdołał wydostać listę członków loży i bez straty czasu podążył do Murata, przebywającego w Medyolanie, by mu oznajmić o odkryciu spisku wojskowego, którego istnienie nie jest obce rządowi cyałpińskiemu.

Prawdziwość denuncyacyi Aksamitowskiego zdawały się potwierdzać wybuchłe równocześnie rozruchy w Bononii i w Ferrarze, więc też niebawem nadeszły z głównej kwatery rozkazy aresztowania Aurory oraz dwudziestu naszych oficerów. Obwinionych legionistów uwolniono po krótkiej indaga-

cyi, lecz Aurora przepłacił swą agitacyę osadzeniem w więzieniu, czy też w domu obłąkanych, jak się to podówczas często praktykowało z przestępcami stanu. Aksamitowski, skompromitowany wobec ziomeków, miał pierwotnie postradać komendę, którą chciaano powierzyć Kosińskiemu. Ale przebiegły denuncyant zdołał raz jeszcze w błąd wprowadzić Murata, któremu się przedstawił jako nieszczęśliwa ofiara prześladowania ze strony swych towarzyszków broni oraz rządu włoskiego. Nie wahał się nawet oskarżyć oficerów swej brygady o znowę w celu wyniesienia na stanowisko dowódcy Kosińskiego, donosząc zarazem naczelnemu wodzowi o tłumnej dezercyi żołnierzy, co było fałszem wierutnym. Kosiński, zawiadomiony w drodze poufnej o tem oskarżeniu, wyzwał Aksamitowskiego na pojedynek, lecz oszczerca, tłumacząc się względami służbowymi, nie dał mu zadośćuczynienia, odkładając je na później. Kosiński opuścił skutkiem tego zajęcia szeregi, wynagrodzony przez rząd cyzalpiński stopniem jenerała brygady, oraz wyrazami najgorętszego uznania ze strony Dąbrowskiego, Murat zaś nie omieszkał zawiadomić o wszystkim pierwszego konsula.

Nagle, jak grom z jasnego nieba, spadł na legionistów, załogujących w Reggio rozkaz gotowania się do wymarszu, o którym to rozporządzeniu rząd cyzalpiński wcale nie został uprzedzony. W trzy dni później żołnierze byli gotowi do pochodu i Aksamitowskiego zawezwano do Parmy, dokąd zjechał sam Murat, podczas gdy przysłany z jego rozkazu jenerał Ottavio odbywał w Reggio przegląd półbrygady, liczącej w owym czasie trzydziestu siedmiu oficerów i 2.750 szeregowców. W czasie owego popisu rozeszła się między legionistami wiadomość o ich przeznaczeniu na San Domingo, oraz oznajmiono im, iż w dniu 10 grudnia t. r. wódz naczelny w Parmie odbędzie ponowny przegląd półbrygady. We wzorowym ordynku weszli legionieści w dniu oznaczonym do tego miasta, lecz Murat, uprzedzony przez Aksamitowskiego o możliwości rozruchu wśród żołnierzy, uznał za stosowne wyje-

chać do Mantui, zostawiwszy jednego ze swych adjutantów celem oznajmienia przybyłym rozporządzenia pierwszego konsula. Zaledwo też stanęli nasi na placu zboru, naprzeciw rezydencji księżęcej, gdy pojawił się wysłannik naczelnego wodza i otoczony wywołanymi z szeregów oficerami odczytał im rozporządzenie następującej treści:

»Pierwszy konsul, nagradzając zasługi i waleczne czyny długiej półbrygady włoskiej, wciela ją do armii republikańskiej, nadając jej numer setny czternasty półbrygady liniowej, francuskiej, a chcąc ją do dalszych podobnych czynów zachęcić, przeznacza ją na San Domingo, gdzie zawsze wyborowe pułki francuskie w nagrodę wysyłane bywały. Skoro tylko brygada setna czternasta stanie na miejscu swego przeznaczenia, oficerowie i żołnierze otrzymają naturalizacją francuską z używalnością wszystkich praw i przywilejów obywateli rzeczypospolitej.«

Niech żyje Francya! Niech żyje pierwszy konsul! — odpowiedzieli żołnierze — i w tejże chwili puste do owej pory ulice zaroily się tłumem mieszkańców. Okna i balkony zapełniły się strojnymi paniami, witającemi radośnie powiewaniem chustek i okrzykami udające się do koszar wojska. I te-taz dopiero okazało się, że ludność Parmy, zaniepokojona pogłoskami o buncie legionistów, zamknęła się podczas ich wejścia do miasta w swych domostwach, lecz przekonawszy się naocznie o spokojnej postawie wojska, wyruszyła tłumnie na jego przyjęcie. »W rzeczy samej dzień ten był uroczysty dla Parmy — dodaje w swych pamiętnikach Małachowski — a dla nas dniem pewności, że udajemy się tam, dokąd rokiem wprzód wysłano braci naszych...«

Nazajutrz opuścili Polacy Parmę. Aliści zaledwie wyszli z miasta, gdy niespodziewanie przyłączył się do nich francuski pułk strzelców konnych, który otwierając i zamykając pochód legionistów, tworzył tem samem ich eskortę. Postępek ten naczelnego wodza dotknął wszystkich do żywego, będąc oznaką niedowierzania, na które nasz żołnierz żadną miarą

nie zasłużył... Smutne święta Bożego Narodzenia przepędzili legionieści w Novi, gdzie otrzymali rozkaz zatrzymania się tak długo, dopóki nie zostaną ukończone przygotowania do przeprawy w Genui. Ministerstwo wojny nagliło, o ile możliwości, o pospieszne wysłanie Polaków. Szyto dniami i nocą dla nich drelichowe mundury i kolorowe koszule, do czego, prócz więźniów, zazwyczaj szyjących mundury, zarekwirowano krawców cywilnych.

»Wszystko się szybko robiło« — opowiada dopiero co wspomniany Małachowski. — »W sam dzień Nowego Roku 1803 weszliśmy do Genui, odbywając marsze jak najporządniej i z pewnym rodzajem zapału, chociaż przewidywaliśmy nasz koniec tak z niektórych korespondencji od naszych, wprzód tam zasłanych, jako i z dzieł, opisujących najgorszy tej wyspy klimat, oraz jej zabójczą, żółtą febrę. Obojętność nasza na widoczną zagładę pochodziła ztąd, żeśmy zupełnie stracili nadzieję i wszystko nam jedno było, czy tracić życie we Włoszech, czy gdzieindziej«...

Mimo tak smutnych widoków na przyszłość, najżywsza solidarność wiązała wiarusów w jedną, wielką rodzinę. Nie tylko żaden z oficerów, lecz żaden też podoficer, ani żołnierz nie chciał pozostać we Francji. Każdy pragnął podzielać z bracią złe i dobre losy. Nawet chorzy i ranni opuszczali szpitale i stawali do szeregu, oświadczając, że również pragną odpłynąć do San Domingo! Jeden tylko jedyny Aksamitowski postarał się o upoważnienie od naczelnego wodza do pozostania we Francji pod pozorem odebrania zaległego żołdu dla brygady, i utworzywszy z odkomenderowanych w tym celu oficerów t. zw. radę gospodarczą, objął jej przewodnictwo. Dowództwo półbrygady otrzymał w jego zastępstwie najstarszy rangą szef batalionu Zagórowski, lecz niebawem oddał je generałowi brygady Spitalowi, umyślnie w tym celu przysłanemu do Genui. W połowie stycznia 1803 roku zawinęła do tegoż portu przybyła z Brestu eskadra kontradmirała Bedout'a, złożona z trzech okrętów liniowych oraz z jednej korwety

i fregaty. Zaraz poczęła się też przygotowywać do dalekiej drogi, jaka ją czekała. Zwożono więc nieustannie na owe statki zapasy żywności i słodkiej wody oraz paki z bronią i z mundurami legionistów, którzy przybrani w kaftany z szarego płótna, po części pracowali nad załadowaniem okrętu, lub też sposobili się do pełnienia służby majtków, gdyż dla uzyskania większej ilości miejsca uszczuplono dotychczasową załogę statków. W nocy z 3 na 4 lutego t. r. weszli legioniści na pokłady okrętów, wiedzeni przez Zagórowskiego, Tyssona, Jasińskiego i Małachowskiego. Komendant brygady, generał Spital, zajął miejsce na kontradmiralskim statku »Argonaucie« i w dniu 4 lutego o godzinie 4 po południu eskadra opuściła port genueński. »Tysiące ludu. okrywając nadbrzeża przystani« — pisze w swym pamiętniku Wierzbicki — »były świadkami, z jaką uległością, z jakim porządkiem i poświęceniem, bez najmniejszego szemrania, Polacy opuszczali ziemię, którą mała ich tylko liczba jeszcze oglądać miała!«...

Los drugiej i trzeciej półbrygady polskiej były się niewątpliwie stał udziałem pozostałej jeszcze we Włoszech garstki legionistów, tworzącej pierwszą półbrygadę, gdyby nie współczesne wypadki polityczne, a zwłaszcza wrogie wystąpienie Wielkiej Brytanii, urągającej na morzu potędze Napoleona. Eskadry angielskie, ścigające nieubłagane każdy statek, pojawiający się pod flagą Francji, przeszkodziły dalszej wysyłce wojsk republiki na San Domingo, a tem samem ocaliły resztki legionów od zatraty, która spotkała przeważną część tych zastępów, wyprawionych za morze. Pierwsza półbrygada, zaliczona do pierwszej dywizji wojsk włoskich, załogowała w roku 1805 w Apulii i wystąpiła wraz z innymi korpusami do walki z Austryą. Uczestniczyła też w blokadzie Wenecji i dowodzona przez generała Saint-Cyr stoczyła bój zwycięzki pod Castelfranco z korpusem wojsk cesarskich, pozostającym pod rozkazami wychodźcy francuskiego, księcia de Rohan. Pokój w Pressburgu zawarty, (dnia 26 grudnia 1805 r.), zakończył wprawdzie wojnę, toczoną z monarchią Habsburgów, lecz

zaraz dnia następnego oświadczył przebywający w Schoenbrunie cesarz Francuzów, iż dynastia Burbonów przestała w Neapolu panować!...

Powodem wojny, wypowiedzianej Neapolowi, było zerwanie przyrzeczonej przez rząd tamtejszy neutralności oraz przyjęcie floty anglo-rosyjskiej w portach królestwa. »Jenerał Saint-Cyr« — głosił trzydziesty siódmy biuletyn wielkiej armii — »ciągnie w spiesznym pochodzie przeciw Neapolowi celem ukarania zdrady, popełnionej przez królową — król Ferdynand nie istniał wcale dla Napoleona — i zrzucenia z tronu tej zbrodniczej niewiasty, która bezwstydnie naruszyła wszystko, cokolwiek może być świętego dla ludzkości.« Tak więc groźbę wobec nieprzyjaciół łączył władca Francyi z obelgą dla kobiety, a słowom jego towarzyszyły szybkie ruchy korpusu Saint-Cyra, który przeszedłszy lotem strzały posiadłości kościelne, zajął Kapuę i bez żadnego oporu wkroczył w dniu 15 lutego do Neapolu, niebronionego wcale przez ludność. Już przedtem dwór królewski umknął do Sycylii, więc też wyniesieniu Józefa Bonapartego, wielkiego konetabla Francyi, na tron neapolitański nikt nie ośmielił się stawić przeszkody. Proklamacya nowego władzcy nastąpiła w 30 marca 1806 roku i zaraz też użyto legionistów, przybyłych z Saint-Cyr, do ścigania rozpierzchniętych po Kalabryi wojsk dawnego rządu, tudzież wojujących na własną rękę brygantów.

Półbrygada polska, wysłana na tę wyprawę pod wodzą Régnera, rozbiła zaraz w pierwszym spotkaniu pod Campo Tenese płochliwe zastępy neapolitańskie. — Trudniejsze natomiast oczekiwało ją zadanie w ciągłym ucieraniu się z brygantami, kryjącymi się wśród gór niedostępnych, a posiłkowanymi na każdym kroku przez nieprzyjazną Francuzom ludność. Wzburzenie górali spotęgowało się jeszcze bardziej, gdy Régnier poniósł porażkę w bitwie, stoczonej z oddziałem wojsk angielskich, który wylądował w zatoce Santa Eufemia, i wspomagany ogniem swej floty zmusił do ustąpienia nieposiadających odpowiedniej artyleryi Francuzów. Dopiero kapitulacya

Gaety, która po kilkumiesięcznym oblężeniu otworzyła swe bramy Massenie, zmieniała postać rzeczy. Silny korpus Masseny wsparł potężnie rozrzucone dotychczas po całym kraju wojska króla Józefa i uśmierzył chwilowo zakusy band powstańczych.

Wkrótce też nadeszły wieści o zupełnym pogromie Prus pod Jeną i o strasliwym popłochu, jakie owa przegrana wywołała w szeregach zwyciężonych. Całe korpusy składały bez walki broń wobec wojsk Napoleona, silne fortece, jak Kistrzyn i Magdeburg, poddawały się Francuzom, nie myśląc nawet o stawieniu oporu. I słusznie zawołać mógł wówczas król Fryderyk Wilhelm: »Nie byłem zwyciężony, tylko zdradzony!«...

W dniu 27 października t. r. wjechał Napoleon w mury Berlina, gdzie też w dwa dni później zjawił się Dąbrowski, zawezwany osobnym kurierem przez cesarza, który teraz dopiero uznał za odpowiednie zajęcie się sprawą polską. Przeznaczając Dąbrowskiego do kierownictwa działań wojennych w przyszłym powstaniu, powołał Napoleon równocześnie do swego boku zacnego Wybickiego, przebywającego od r. 1802 w Dreźnie. Jadąc dniem i nocą zjawił się Wybicki w stolicy nad Spreą i zawołany niezwłocznie do zamku, stanął wobec władcy, dzierżącego w ręku losy jego ojczyzny. Posłuchaniu temu przytomni byli tylko Berthier i Dąbrowski, zaś odpowiedź zasłużonego patrioty, który na pytanie cesarza o wartości dóbr skonfiskowanych, jego własnością będących, odparł, iż to rzecz zbyt drobna, by nią miał trudzić zwycięzcę i pytał o rozkazy — zjednała mu odrazu zaufanie Napoleona. Cesarz chodząc po pokoju oświadczył, że mu wypadnie w Polsce ścigać uchodzącego nieprzyjaciela, oraz, że pragnie wskrzesić naród ten, zgnębiony i rozszarpany. Zapytywał jednak, czy armia francuska znajdzie w Polsce potrzebne wygody i żywność? Odpowiedział na to Wybicki, że jeśli Napoleon wnijdzie do kraju jako zwycięzca, wówczas wszystko nakazać może. Jeżeli jednak wchodząc do Polski oznajmi zamiar jej podźwignienia, to naród mu sam wszystko przyniesie w ofierze...

— Czy mi to zaręczasz? — pytał w dalszym ciągu cesarz.

— Zaręczam śmiało — zawołał w uniesieniu Wybicki i pochwywszy Napoleona za rękę, dodał z zapałem:

— Polak krew i swój byt cały odda dla odzyskania niepodległości i ojczyzny!

— Wiem, że posiadasz wielkie zaufanie u swoich rodaków — mówił cesarz. — Napisz więc zaraz proklamacyą, że wchodzę do Polski w trzykroć sto tysięcy wojska, a gdy zobaczę, że Polacy są godni być narodem — będą nim!

Na tem skończyła się audyencya i Wybicki, pod wrażeniem usłyszanych dopiero co obietnic, skreślił pamiętną odezwę, która przełożona na język francuski przez adjutanta Dąbrowskiego, Haukego. ukazała się w Berlinie z datą trzeciego listopada 1806 roku. »Każdy Polak z ciekawością ją czytał — powiada Wybicki w swych pamiętnikach — nie każdy przecie równe zaufanie w niej składał«... Ten ostatni zarzut nie odnosił się oczywiście do patryotycznego ziemiaństwa wielkopolskiego, które na wyścigi spieszyło z ofiarami na rzecz powstać mającego w tej prowincyi korpusu wojsk narodowych. Nazwiska: Skórzewskich, Lipskich, Sokolnickich, Karских i wielu innych dobrze się zapisały w pamięci ziomków w owej dobie.

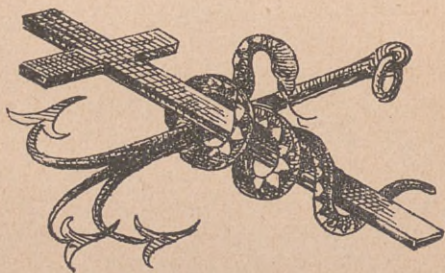
»Wszyscy, do których przychodzą rozkazy administracyi względem przystawienia furazu i żywności dla wielkiej armii francuskiej, przystawiają z ochotą bez zwłoki i narzekania« — czytamy w społecznych pismach poznańskich. — »Jedni oświadczają się formować kompanie piechoty narodowej, drudzy wystawiać pułki kawaleryi własnym kosztem. Każdy na się kładzie podatek pieniężny co do wydatków potocznych tak wielkiego momentu przybycia niezwyciężonego Napoleona. Między innymi wielmożny Franciszek Radoliński, prócz innych ofiar, które z drugimi obywatelami czynił, oddzielnie jeszcze 100.000 złotych na potrzeby formować się mającego wojska polskiego złożył. Płeć piękna niesie swe ozdoby na potrzeby publiczne i zgromadza się do Poznania widzieć zbawcę na-

rodu... Korzystał z tego zapału Dąbrowski i ze zwykłą mu energią przystąpił do organizacyi korpusu, który w stosunku do ludności Księstwa wynosić miał conajmniej dziewięć tysięcy żołnierza. Młodzież wielkopolska spieszyła tłumnie pod jego sztandary i już w kilka tygodni później pierwszych sześć kompanii nowozaciężnego żołnierza odeszło pod Toruń, dobywany przez marszałka Ney'a. Tymczasem organizacya korpusu Dąbrowskiego postępowała tak szybko, iż z końcem stycznia 1807 roku wyruszył nasz generał z Łowicza na czele ośmnastu tysięcy żołnierza na linię bojową. Napoleon powierzył Dąbrowskiemu dowództwo oddzielnego korpusu, wyprawionego na zdobycie Gdańska i w tym celu wzmoenił jego siły dziesięciotysięczną dywizją francuską. Ciągąc na Tczew w celu połączenia się z swymi Francuzami, musiał Dąbrowski szturmem zdobywać ową miejscowość, obsadzoną silnym oddziałem nieprzyjacielskim a wiodąc młodego żołnierza osobiście do ataku, raniony został odłamkiem kartacza w biodro. Generał runął wraz z koniem na ziemię i tylko poświęceniu swych przybocznych oficerów zawdzięczał, że nie został roztratowany przez własną jazdę. Odwieziony z pola walki do Gniewa, leczył się w tem mieście, nie przestając wszakże ani na chwilę interesować się losem swych towarzyszy broni. W szczególności pracował usilnie nad przeobrażeniem pospolitego ruszszania w Wielkopolsce w regularne pułki, w którem to dziele gorliwie dopomagali mu szefowie Turno oraz Dziewanowski. Z początkiem czerwca wyleczył się Dąbrowski o tyle, iż mógł powrócić na pole walki i w dniu 14-tym tegoż miesiąca pod Frydlandem świeżymi okrył się wawrzyny. Obok grenadyerów starej gwardyi młodź nasza walczyła z niezrównanem męstwem. Jej to w znacznej części zasługą było zdobycie mostu i miasteczka, wrzucenie do Alli broniących tej pozycyi nieprzyjaciół i zatopienie w nurtach rzeki trzech pułków piechoty, jednego jazdy, oraz całej niemal artyleryi Benigsena. Batalia Frydlandzka zakończyła kampanię roku siódmego, której formalnym epilogiem był podpisany w dniu 27 czerwca traktat

tylżycy, tworzący wielkie księstwo warszawskie. Szczęśliwy zwycięzca z pod Frydlandu uznał za stosowne wynagrodzić zasługi swych wodzów, dla sprawy francuskiej oddane, z dóbr narodowych, polskich. Utworzył z nich donacje ogólnej wartości dwudziestu sześciu milionów franków i obdarzył niemi swych marszałków. Wobec tej hojnej darowizny, skromnie przedstawiają się dobra, jakie dostały się w udziale zasłużonym wodzom polskim, gdyż razem dochodzą do wartości czterech milionów franków. I tak książę Józef Poniatowski otrzymał swą dawną własność, Wielonę, książę Aleksander Sapieha należące do niego dawniej starostwo preińskie, generał Zajączek dostał Opatówek, zaś Dąbrowskiemu wyznaczono Winnogorę wraz z miasteczkami Pyzdami oraz Środą, oszacowaną na milion franków. Była to niejako restytucya za rodzinne dobra Pierzchowice, sprzedane na potrzeby legionów w roku 1797.

Mimo podpisania traktatu w Tylży wojska nasze nie zaraz powróciły w rodzinne strony, gdyż rozłożone nad Preglem, pozostały tamże aż do września, w którym to czasie wprowadził je Dąbrowski do Warszawy. Nowozacieżnemu wojsku zbywało wszakże na doświadczonych oficerach i dlatego już z wiosną t. r. odeszło do Włoch wezwanie, domagające się powrotu pozostałych jeszcze na italskiej ziemi legionistów. Wskutek tego wezwania dwudziestu czterech oficerów pierwszej półbrygady oraz dwunastu oficerów jazdy z dawnego pułku Karwowskiego udało się bezwzględnie do Warszawy. Radość, trudna do opisanania, zapanowała wśród naszych wiarusów, których ściągnięto z rozmaitych garnizonów do Neapolu. Sądono ogólnie, że cała półbrygada otrzyma lada dzień rozkaz powrotu do kraju. Tymczasem upływały im dni i miesiące wśród niepewności oczekiwania, a wieść o rozejmie w Tylży, zawartym w czerwcu t. r., rozwiła ponownie piękne marzenia legionistów o powrocie do ojczyzny. Rząd neapolitański niechętnie pozbywał się najdzielniejszego żołnierza z swej armii, więc też po rozwiązaniu pierwszej półbrygady

rozdzielił jej szeregowców między pułki gwardyi, zaś oficerów oraz podoficerów odesłał do Wrocławia, gdzie utworzyli kadry trzech nowo zorganizowanych pułków, które wślawiły się niejednokrotnie na hiszpańskich i niemieckich pobojuwiskach pod mianem legii nadwiślańskiej. Natomiast pułk jazdy polskiej, mimo wszelkich przeszkód ze strony Murata czynionych, zdołał uzyskać uwolnienie od służby cyzalpińskiej i w całości powrócił w ojczyście strony.





VI.

Stokroć smutniejszy los stał się udziałem naszego żołnierza, wyprawionego w latach 1802—1803 na wyspę San Domingo. Górzysta ta wyspa, znana dziś powszechniej pod mianem Haïti, a zaliczająca się do największych między Antyllami, nosiła dawniej nazwę Hispanioli i na jej to obszarze w grudniu 1492 roku wylądował dążący na odkrycie nieznanych lądów Kolumb. W połowie szesnastego wieku, Karaibowie, tworzący pierwotną ludność wyspy, zostali już z niej w zupełności wyparci przez Hiszpanów, za których sprawą powstały w owym czasie ludne osady europejskie. W ich liczbie największą była osada Santo Domingo, od której cała wyspa wzięła nazwanie, ale mimo znacznego dowozu niewolników murzyńskich, pomysłny rozwój hiszpańskich kolonij nie był długotrwałym. Natomiast korzystniej rozwijała się zachodnia część wyspy, opanowana przez Francuzów. Pierwszymi osadnikami francuskimi w tych stronach byli korsarze, znani w dziejach marynarskich pod nazwą slibustyerów, a krążący z początkiem XVII wieku na wodach zachodnioindyjskich. Rozbójnicy ci, uwijający się na lekkich statkach,

(flibots) i czychający na ładowne okręty kupieckie, osiedli zrazu na wyspie św. Krzysztofa, z kąd w roku 1630 dostali się na San Domingo. Nie zaniedbując w zupełności zbójckiego proceduru, trudnili się flibustyerzy równocześnie eksploatacją olbrzymich stad dzikiego bydła, bujającego po niezmiernych okiem obszarach San Domingo, oraz wiedli nieustanną wojnę podjazdową z kolonistami hiszpańskiego pochodzenia. Do szczytu potęgi doszedł ten rozbójniczy związek pod koniec wieku XVII, kiedy to flibustyerzy, używani przez Francją i Anglią do zniszczenia handlu hiszpańskiego na morzu, doznawali skrytego poparcia ze strony owych mocarstw. Głośnym w dziejach był fakt współdziałania flibustyerów w wyprawie francuskiej eskadry, która pod wodzą Ducasse'a, gubernatora francuskich posiadłości na San Domingo, opanowała Kartagenę. Niebawem wszakże istnienie rozzuchwalonych korsarzy poczęło się okazywać groźnem dla dawnych sojuszników, którzy wspólnymi siłami kres położyli ich egzystencji.

Pokojem w Ryswijku, (1697 r.), zachodnia część wyspy, pozostająca do tej pory w posiadaniu faktycznem Francji, została jej przez Hiszpanią odstąpiona na własność i osiągnęła w krótkim stosunkowo czasie wysoki stopień zamożności i kultury. Koloniści produkowali i wywozili do Europy cukier, kawę, bawełnę, indygo i wódkę, tafią zwaną, zaś kapitał, będący własnością osadników, przedstawiał w plantacjach, w zakładach przemysłowych i w niewolnikach, olbrzymią na owe czasy sumę półtora miliarda franków. Dochodu jednak znacznieszego nie przynosiła owa posiadłość rządowi francuskiemu, gdyż po odtrąceniu wydatków na administracją oraz na utrzymanie dwunastotysięcznej armii kolonialnej, przewyżka, wpływająca do skarbu królewskiego, nie przechodziła w przecięciu sumy dwóch milionów franków rocznie. Tak więc główną korzyść z kolonii odnosili plantatorowie, właściciele ogromnych obszarów rolnych, uprawianych rękoma setek tysięcy murzynów. I ten właśnie stosunek, nieproporcjonalny

między ludnością białą a kolorową, stał się powodem krwawych zamieszek na wyspie, oraz późniejszego oderwania się kolonii od kraju macierzystego. Według urzędowych wykazów statystycznych z roku 1790, na 694.810 mieszkańców, osiadłych w francuskiej posiadłości, wypadło tylko 101.360 białych na 138.450 mulatów i 455.000 murzynów, po części urodzonych na wyspie, a po części też sprowadzonych z Afryki przez angielskich handlarzy żywym mięsem. Wartość niewolników murzyńskich przedstawiała się w kapitale 1.140 milionów franków, a wysokość tej cyfry tłómaczy najwymowniej zaciętość, z jaką plantatorowie sprzeciwiali się myśli emancypacji swych czarnych robotników, których utrzymanie mniej ich kosztowało, aniżeli wyżywienie konia lub wołu. Murzyni, uważani na San Domingo z małym wyjątkiem za niewolników, pozostawali w straszliwym ucisku, któremu pierwsze tany starała się położyć konstytucya rzeczypospolitej z roku 1789. Stanowiąc, że kolonie tworzą nieodłączną część Francyi, uznawała, że takowe podlegają tym samym prawom i przywilejom co kraj macierzysty, a więc niewolnictwo nie mogło być w nich dłużej tolerowane. W czerwcu t. r. po raz pierwszy delegaci z San Domingo zasiedli w gronie Stanów Jeneralnych Francyi, a ponieważ zabiegi ich około wprowadzenia w życie usamowolnienia niewolników nie odniosły żadnego skutku, przeto w sierpniu roku następnego wybuchło w okolicy Cap Francais powstanie mulatów i murzynów, które wśród straszliwych spustoszeń i rzezi białych rozszerzyło się po całej wyspie, nie znajdując należytego odporu ze strony dotychczasowych panów, w łonie których zapanowała niezgoda.

Biali bowiem podzielili się na dwa stronnictwa: monarchistów i republikanów, a postanowienia konwentu o zniesieniu handlu niewolnikami oraz o usamowolnieniu czarnych, przebywających na San Domingo, ogłoszone w latach 1793 do 1794, okazały się już spóźnionymi, wywołując nadto niebezpieczne przesilenie ekonomiczne wśród kolonii. Plantacye, pozbawione nagle sił roboczych, opustoszały, podpadły podo-

bnie jak handel i przemysł kolonii, a dwuznaczne postępowanie komisarzy rzeczypospolitej, zesłanych na miejsce celem uspokojenia zamieszek, lecz w rzeczywistości popierających wrogie aspiracje ludności kolorowej przeciw białym, zaliczającym się w przeważnej części do stronnictwa monarchicznego, podniecało jeszcze bardziej rozruchy wewnętrzne w granicach osady. Ośmieleni tym bezładem Hiszpanie i Anglicy wtargnęli do posiadłości francuskich na San Domingo, (w r. 1793), lecz wówczas powstańcze wojska murzyńskie połączyły się z armią rzeczypospolitej celem wygnania najeźdźców. Hiszpania odstąpiła pokojem bazylejskim Francji wschodnią część wyspy, (1795 r.), zaś mulat Rigaud oraz murzyn Toussaint-Louverture, zawdzięczający ten przydomek waleczności w zdobywaniu pozycji nieprzyjacielskich, (*fait ouverture*), wyparli w roku 1798 Anglików z San Domingo na czele powstańczych oddziałów, odznaczających się znakomitem męstwem. Toussaint Louverture, zamianowany naczelnym wodzem sił zbrojnych kolonii, udawał zrazu gorliwego sługę republiki.

»Nareszcie dopiąłem swego — pisał on w październiku 1798 roku do gubernatora wyspy, generała Hédouville. — Doszedłem do celu, jaki sobie założyłem, gdyż wypędziwszy Anglików z San Domingo, w miejsce chorągwi despotyzmu zatknąłem sztandar wolności obok pawilonu rzeczypospolitej francuskiej. Ten sztandar powiewa od jednego końca wyspy do drugiego i nic już więcej nie pozostaje mi do życzenia.«

W istocie jednak w umyśle ambitnego murzyna kielkował już wówczas zamiar oderwania się od Francji i do urzeczywistnienia tej myśli dążył on wytrwale a konsekwentnie. Przedewszystkiem więc pozbył się swego współzawodnika, Rigauda, który podczas zapasów Toussainta z Anglikami opanował hiszpańską część wyspy. Rigaud, pokonany musiał uciec do Francji, której zwolennika udawał ciągle Toussaint-Louverture, pilnie śledzący wypadki współczesne w rzeczypospolitej. Widząc, że władza pierwszego konsula zyskuje coraz

to trwalsze podstawy, starał się mu przypodobać i stłumiwszy najdroższymi środkami powstanie murzynów, dążących jawnie do zerwania z Francją, kazał stracić dowódców buntu a w ich liczbie własnego synowca. Ale pierwszy konsul nie spieszył się wcale z wynagrodzeniem Toussainta za ów akt lojalności, skutkiem czego tenże zwołał w maju 1801 roku zgromadzenie konstytucyjne do San Domingo. Uchwalona przez nie konstytucya uznawała niepodległość wyspy pod protektoratem francuskim i o dokonanym już fakcie zawiadomiono rząd rzeczypospolitej. Rząd wszakże nie myślał tak łatwo pozbywać się perły Antylów a zamierzając zarazem zwrotem skonfiskowanych na wyspie majątków pozyskać dla siebie znaczny odłam dawnej szlachty francuskiej, postanowił przywrócić istnienie niewolnictwa na San Domingo. Na dowódcę wyprawy, mającej utrwalić rządy francuskie na wyspie, przeznaczył Bonaparte swego szwagra, generała dywizji Leclerc'a, dając mu do dyspozycji 27.000 wyborowego żołnierza, dowodzonego przez czterdziestu żądnych sławy i odznaczenia generałów. Z tego więc powodu krążył na bruku paryskim dowcip, iż udający się na San Domingo pióropuszcami jeneralskich kapeluszków powalą murzynów o ziemię...

Smutna rzeczywistość przekonała wszakże w najbliższej przyszłości upojonych ciągłymi zwycięztwy republikanów, jak niebezpieczną jest rzeczą narzucać pęta niewoli ludowi, który już zakosztował swobody i doszedł do świadomości siły własnej. W dniu 1 lutego 1802 roku ekspedycya francuska zarzuciła kotwicę u wejścia do miasta Cap Français, stolicy wyspy, a gdy załoga tejże odmówiła oddania warowni wojskom rzeczypospolitej, wylądowała dywizya generała Rochambeau opodal od miasta i opanowawszy jeden z fortów, posiadających słabszą załogę, wycięła w pień takową. Krwawy ten czyn wywołał pragnienie zemsty wśród czarnych. »Wojna za wojnę, zbrodnia za zbrodnią, zniewaga za zniewagę! — stały się hasłami dnia i zaraz w pierwszej chwili kilkudziesięciu plantatorów, spieszących na powitanie wojsk francuskich, pa-

dło pod nożem rozwścieczonych murzynów, poczem kometant stolicy, murzyn Krzysztof, pierwszy podłożył płonąca żagiew pod dom własny i niebawem morze płomieni ogarnęło całe miasto.

Tak więc przybycie wojsk republikańskich rozpoczęło się się od rzezi i pożogi. Walka między murzynami a białymi przybrała charakter nieubłaganego boju na śmierć i życie, przyczem obie strony wojujące tępiły się wzajemnie ogniem i mieczem. Szczęście zrazu zdawało się sprzyjać czarnym, obeznanym lepiej z miejscowością, lecz niebawem taktyka generałów francuskich, dowodzących żołnierzem, ostrzelanym w boju, wzięła górę nad osobistą odwagą i poświęceniem złe uzbrojonych murzynów. Kolejno dowódcy powstańców: Krzysztof Clervaux, Maurepas i Dessalines składali broń, więc opuszczony przez nich Toussaint-Louverture nie widział dla siebie innej drogi ratunku jak wejście w układy z Francuzami. Myśli tej nie był też niechętny Leclerc, który już zaledwo dwanaście tysięcy ludzi mógł wyprowadzić w pole. Reszta padła w boju, leczyla się z ran lub też nieprzywykła do miejscowego klimatu, przepełniała wojenne lazarety. Odwołał więc postanowienie, wyjmujące Toussainta z pod prawa i »pierwszy z murzynów«, jak go pompatycznie zwały współczesne relacje francuskie, w początku maja 1802 roku poddał się Francuzom, którzy go przyjmowali z wojskowymi honorami. Sam Leclerc ścisnął czule Toussainta, przyrzekając mu protekcją rządu francuskiego, oraz zapomnienie przeszłości co do której, jak się wyrażał, wina jednaka ciążyła na nich obydwu. Były naczelnik czarnych odjechał następnie z Cap'u do swych posiadłości wiejskich, gdzie zdala od spraw politycznych zajmował się wyłącznie uprawą roli.

Tymczasem Leclerc, ośmielony tak szybkim uśmierzeniem powstania, zaprowadzał na wyspie rządy wojskowe, drażniąc ludność, oraz armią kolonialną szeregiem rozporządzeń, bezwzględnością swą przypominających epokę terroretycznych rządów we Francji. Równocześnie doszły na San Do-

mingo pewne wieści, że projekty pierwszego konsula, dotyczące przywrócenia handlu niewolnikami i niewolnictwa, używały już sankcją prawną ze strony rady stanu i senatu.

W tym też czasie pojawił się na wyspie największy sprzymierzeniec murzynów, żółta febra, zwana przez krajowców »mal de Siam.« Epidemia ta, nieszkodliwa dla ludności miejscowej, zabójczą zwykle bywała dla przybyszów, nieoswojonych jeszcze z klimatem wyspy. Zabijała ona swe ofiary niekiedy na miejscu, a czasem znów przedłużała męczarnie konania do siedmiu, a nawet do jedenastu dni. Zaraza wybuchła zrazu w Cap-Français, gdzie powstanie jej starano się wyłómaczyć zabójczymi wyziewami, wydobywającymi się z sąsiednich bagnisk, lecz niebawem ukazała się także w Porteau-Prince, z kąd dostała się do wnętrza wyspy.

»Naprawdę wyczerpano wszystkie sposoby lekarskie« — opowiada w swych zapiskach Wierzbicki — »co jednym pomagało, drugim szkodziło, a sztuka ustąpić musiała tej pladze, którą Bóg zesłał jako przestrozę lub karę. Demoralizacja największa opanowała wojsko. Opuszczony w ubiorze, smutny i zniechęcony żołnierz, choć jeszcze niedotknięty chorobą, przeczuwał, że go nie minie, że daleko od rodzinnej ziemi przyjdzie mu kości złożyć i ojczystej strzechy więcej nie zobaczy. Jedni oddawali się wyuzdanej swawoli i bezprawiom, drudzy gotowali się na śmierć. Szpitale przepełnione były chorymi, którzy, często leżąc na ziemi, bez żadnego pozostawiali zaopatrzenia. Subordynacja wszelka ustała. Żołnierz był równy generałowi, nikt już nie marzył o sławie i o wygranych bitwach. Przyjaźń zamilkła, zlodowaciało serce, nie słyszano ani wojennej piosnki, ani szczęku oręża. Odgłos nawet dzwonu już nie zwoływał wiernych na modlitwę, ani godziny śmierci zwiastował, każdy bowiem lękał się, nikt nie śmiał westchnąć do Boga. Podczas gdy śmierć nieubłagana nie przestawała wybierać upatrzonych ofiar, Paulina, siostra pierwszego konsula a małżonka kapitana jeneralnego Leclerc'a, przeniósłszy się z miasta Cap Français do wiejskiego mieszkania, wśród za-

baw, uczt i balów starała się zapomnieć o niebezpieczeństwie, o zarazie i o śmierci. Huczna muzyka tłumiła głośne jęki kojących. Nieraz wśród balu wynoszono umierającego, a tańce, przerwane na chwilę, rozpoczynano na nowo...

Straszliwe spustoszenie, zrządzone w szeregach francuskich skutkiem zarazy, nie uszło uwadze czarnych, uciskanych bezlitośnie rządami wojskowych, a wieść o przywróceniu niewolnictwa na Guadelupie, świeżo opanowanej przez wojska republikańskie, dolała jeszcze oliwy do ognia. Zaraz też w kilku miejscowościach wyspy pojawiły się czarne bandy powstańcze, z czego skorzystał Leclerc, by pojmanego podstępnie Toussainta, obwinionego przez osobistych nieprzyjaciół o znoszenie się z buntownikami, uwięzić wraz z całą rodziną pod zarzutem zdrady stanu i odesłać do Francji. Toussaint, osadzony w twierdzy Joux w górach Jura, zmarł w niej w kwietniu 1803 roku, zaduszony podobno, czy też otruty z wyższego rozkazu. Widmo nieszczęśliwego murzyna w jeneralskim mundurze i w białym turbanie ścigać miało Napoleona w jego przedśmiertnych wizjach wśród skał Longwoodu...

Opuszczając San Domingo, powiedział Toussaint do komendanta odwożącego go statku, Savarego: »Strącając mnie, powalono tylko pień drzewa wolności czarnych, lecz wolność wykwitnie dla nas z licznych korzeni, gdyż te głęboko wrosły w ziemię!... Tak też było w istocie, gdyż mimo porwania Toussainta powstanie szerzyło się z nadzwyczajną szybkością po wyspie, a Francuzi, nie mogąc sprostać całej ludności murzyńskiej, chwytającej za broń, musieli przejść z zaczepnego w obronne działanie, by utrzymać się w posiadaniu miejsc warownych, przedstawiających dla nich jedyny punkt oparcia.

Napróżno Leclerc, podlegany przez swe otoczenie, licznymi egzekucjami zapragnął rzucić postrach na wyspiarzy. Pastwiono się w sposób istic barbarzyński nad pojmanymi powstańcami. Murzyni, ujęci z bronią w rękę, ginęli wśród najokropniejszych męczarni, lecz powstańcy nie omieszkali mścić się w podobny sposób na schwytyanych żołnierzach fran-

cuskich, dziesiątkowanych żółtą febrą lub też ginących marnie wśród ciągłych starć z buntowniczymi oddziałami. Dwudziestu generałów i dwie trzecie części wojsk republikańskich, wysłanych na podbicie wyspy z początkiem 1802 roku, znalazło na niej zgon przedczesny w ciągu niespełna sześciu miesięcy, a Leclerc, przepowiadając utratę kolonii, domagał się nieustannie świeżych posiłków. Jakoż posyłano mu podostatkiem żołnierza, gdyż już w kwietniu t. r. wyprawiono na San Domingo świeży korpus, złożony z pięciu tysięcy ludzi. O ile jednak wyprawiane pierwotnie wojska składały się z wyborowego żołnierza, o tyle następnie wysyłane oddziały tworzone z szumowin armii, z ciurów i z dezterterów, gdyż lepsze pułki zatrzymywał pierwszy konsul w kraju, zachowując je dla wykonywania swych planów na europejskim teatrze wojny.

Tymczasem febra srożyła się najokropniej w lecie 1802 roku na całym obszarze wyspy. W niektórych oddziałach armii francuskiej zabrakło już zupełnie oficerów sztabowych, podczas gdy murzyni, paląc i rabując wszystko, co im pod rękę wpadło, występowali z coraz to większą zawziętością przeciw białym, zwłaszcza od czasu, gdy na stronę powstańców przeszedł wraz z całą brygadą wojsk kolonialnych generał Karol Belair. Mulat ten, ogłosiwszy się wodzem naczelnym powstańców, dał się srodze we znaki Francuzom, którym poprzysiągł zemstę za Toussainta. Przeciw niemu to wysłano w sierpniu t. r. generałów: Bruneta i Verneta, tudzież Władysława Jabłonowskiego, który wyprawiony z rozkazu pierwszego konsula na San Domingo, dowodził półbrygadą wojska francuskiego. Przez czas dłuższy wymykał się Belair ścigającym, lecz ostatecznie zastąpił mu drogę Jabłonowski w dniu 29 sierpnia t. r. i pobitego na głowę zmusił do ucieczki.

»Po skończonej bitwie« — pisze o tem spotkaniu Ver-net do Bruneta — »złączyłem się z oddziałem generała Jabłonowskiego, który skarżąc się na ból głowy, udał się do murzyńskiej chaty, gdzie miał kwaterę, mówiąc, że dalsze ściganie band powstańczych powierzył majorowi Repussard, oraz,

że Dessalines zachodzi tymże bandom drogę od frontu, zatem wymknąć się nie mogą. Posłałem Jabłonowskiemu lekarza, a kiedy się nazajutrz rano dla odwiedzenia chorego wybrał, powrócił lekarz do mnie oświadczając, że Jabłonowski, już od kilku dni ciężko chory, przed godziną życia dokonał. Objąłem zaraz dowództwo trzydziestej ósmej brygady, a ciało Jabłonowskiego odesłałem pod konwojem do Verettes, z listem do tamtejszego proboszcza, aby je na cmentarzu przyzwoicie pochował.«

Tak skończył Napoleona towarzysz ze szkolnej ławy, o którym następca Leclerc'a, generał Rochambeau, wyraził się w swem sprawozdaniu, iż był to waleczny, polski generał, który niezaprzeczenie wielkie Francji oddał usługi.

Jakkolwiek Jabłonowski nie doczekał się przybycia legionistów, tworzących setną trzynastą półbrygadę, na wyspę, to jednak stawał jeszcze przed ich wylądowaniem w obronie ziomeków. Równocześnie bowiem z rozkazem zaambarkowania dawnej legii naddunajskiej w Liworno, otrzymał Leclerc z ministerstwa wojny polecenie, by przysłał mu półbrygadę rozdzielił nieznacznie między rozmaite pułki, pozostające pod jego rozkazami. Jabłonowski atoli, zapytany przez Leclerc'a o opinią w tej sprawie, odpisał mu w dniu 15 sierpnia b. r. jak następuje: . . . »co do inkorporacyi legionu naszego do twoich batalionów, tak, aby ślad jego odrębnego, narodowego charakteru znikł niepostrzeżenie, winienem przedewszystkiem zaprotestować przeciw tak arbitralnemu postąpieniu i zarazem poinformować cię jenerale, że wtedy tylko legion z dawną walecznością w obronie Francji na wyspie wystąpi, jeżeli dotychczasową swą odrębność, całość i darowane mu przez rząd rzeczypospolitej francuskiej sztandary zachowa. Znam moich ziomeków i wiem najlepiej, co na podtrzymanie ich mężstwa wpłynąć, a co ich zniechęcić może.« Protest Jabłonowskiego nie odniósł niestety pożądanego skutku, gdyż jakkolwiek nie rozwiązano formalnie setnej trzynastej półbrygady, to jednak

poszczególne jej bataliony przydzielono do rozmaitych dywizji, działających przeciw powstańcom.

Nie uprzedzajmy wszakże wypadków.

W dniu 2 września 1802 roku eskadra, wioząca legionistów, stanęła w zatoce Cap Français i zaraz też wódz naczelny pospieszył do portu, by obejrzeć przysłane mu posiłki i rozdzielić je między podkomendnych dowódców, domagających się nieustannie wzmocnienia ich przerzedzonych szeregów świeżymi siłami. Smutne rozczarowanie opanowało wszakże Leclerc'a, gdy miasto wypoczętego żołnierza zobaczył wyłódnioną zbieraninę z całej armii, która zaopatrzona w dwumiesięczną żywność na drogę, przeszło trzy miesiące przepędziła na morzu. Zdaje się, że i legionieści, obdarci i wynędzniali z powodu niedostatecznego pożywienia, niezbyt obiecujące na szwagrze pierwszego konsula wywarli wrażenie. — »Wartoż było« — pisał Leclerc w dniu 11 września t. r. do ministra marynarki Decrèsa — »tych nieszczęśliwych, długimi bojami wycieńczonych wojowników z nad Wisły wsadzać na okręt i aż tutaj wysłać dlatego tylko, aby w zbuntowanych murzynach wzbudzić przekonanie, że Francya na wysłanie lepszych posiłków zdobyć się nie może i ostatecznie to mi tylko wysłała, co pod przymusem osobistym da się schwytać i wysłać za morze?«...

Zanim jeszcze legionistów wysadzono na ląd, już przeszło dwustu żołnierzy i oficerów zapadło na żółtą febrę. Musiano ich odesłać zaraz do szpitala oraz na wyspę Żółtą, gdzie istniały lazarety dla dotkniętych epidemią. Poszczególne bataliony wylądowały w rozmaitych punktach wyspy. I tak pierwszy batalion półbrygady wysiadł na brzeg w Cap Français i przyłączony do dywizji generała Clairvaux, złożonej w przeważnej części z murzynów, już w ośm godzin po wstąpieniu na wyspę, wysłany został przeciw powstańcom, krążącym w okolicy l'Alcul. Atoli już w nocy z 13 na 14 września Clairvaux przeszedł na stronę powstańców wraz z wszystkimi czarnymi, należącymi do jego komendy, a Po-

lacy, zobaczywszy dość wczesnie grożące im ze strony zdrajców niebezpieczeństwo, schronili się do kościoła, gdzie zamknięcia mężny opór stawiali nieprzyjacielowi. Zanim jeszcze powstańcy zdążyli ściągnąć wszystkie swe siły celem uderzenia na oblężonych, dowodzący babaliozem kapitan Wodzyński zdołał się wycofać z swego stanowiska i straciwszy stu kilkudziesięciu ludzi w zabitych, rannych oraz jeńcach, dotarł z powrotem do Cap-Français, gdzie w warowni Jeantôt znalazł bezpieczny punkt oparcia. W ślad za naszymi pojawili się w dniu 17 września powstańcy, którzy spędzili przednie straże francuskie i zajęli pozycją Pierre-Michel, ale fortu Jeantôt, bronionego przez legionistów oraz przez szczątki siódmej półbrygady, zdobyć nie zdołali i zmuszeni zostali do ustąpienia ze znacznymi stratami. — W oswobodzonym Cap-Français znalazł pierwszy batalion pożądane wytchnienie, ale w miejsce dzikich band murzyńskich, walczyć mu znów przyszło ze straszliwą epidemią. W ciągu miesiąca z batalionu, liczącego 984 ludzi, zaledwo dziesiąta część żołnierzy zdolną była do pełnienia służby w szeregach.

Podobny los stał się też udziałem drugiego batalionu, wysadzonego na ląd w Môle St. Nicolas, który przyłączony do dywizyi generała Clausera, wysłany został na pomoc oblężonym w porcie Marmelade Francuzom. Wiodąc z sobą znaczne zapasy żywności, przebili się legioniści pod wodzą kapitana Grotowskiego przez zastępy powstańcze i przetrwali szczęśliwie wszelkie przykrości oblężenia aż do chwili, w której przybywająca odsiecz rozprószyła oblegających. Powróciwszy do swej dywizyi, zrozumieli rychło legioniści, że jenerałowie francuscy uważają ich jako straceńców, przeznaczając Polaków na pierwszy ogień w najtrudniejszych spotkaniach. Poczęło się więc szerzyć niezadowolenie w szeregach polskich, nie przywykłych zresztą do wiedzenia walki za pomocą pożogi i gromadnych egzekucyi mieszkańców buntowniczych osad, których topiono w morzu lub duszono w starych okrętach za pomocą wyziewów siarczanych, gdy zabrakło już szu-

bienic, całymi rzędami okalających każde niemal miasteczko na wyspie.

Choroby, nękające żołnierza, nie oswojonego z podzwrotnikowym klimatem, ani też przywykłego do strawy, jakiej mu dostarczano, tudzież zawiść ze strony miejscowych oficerów, usiłujących zwalić całą winę niepowodzenia na komendantów batalionu Zagórowskiego i Bolestę, wywoływały ciągle niesnaski i oskarżenia Polaków wobec głównej kwatery o sprzyjanie murzynom oraz niechęć do walki przeciw powstańcom. Podobno wódz naczelny nosił się nawet z zamiarem rozprószczenia zupełnego legionistów i podzielenia ich na drobne oddziały, liczące po kilkudziesięciu ludzi, oddane pod rozkazy francuskich oficerów. Szybki rozwój powstania, na którego stronę poczęli znów przechodzić jedni po drugich dowódcy wojsk kolonialnych, jak Dessalines, Petion i inni, przeszkodziły wykonaniu tego projektu a zarazem spowodowały Leclerc'a do skupienia swych sił na głównych punktach wybrzeża i opuszczenia stanowisk mniej ważnych. W owym też czasie drugi batalion otrzymał rozkaz udania się do Port-au-Prince, gdzie żółta febra dokonała dzieła zniszczenia wśród jego szeregów, znacznie już przerzedzonych. Szef batalionu Bolesta, kapitanowie: Osękowski i Rembowski padli ofiarą zarazy, która nie oszczędzała też szeregowców, tak iż batalion, liczący przy wyładowaniu ośmiuset pięćdziesiąt żołnierzy, liczył już zaledwo stu ludzi pod bronią.

Nie uszedł również zagłady trzeci batalion legionistów, który wstąpiwszy na brzeg w Port-au-Prince, pozostawał pod rozkazami generała Baudeta, działającego w zachodniej części wyspy. I ten batalion ucierpiał straszliwie pod wpływem epidemii, która zabrała mu do sześciuset ofiar.

W Październiku 1802 roku położenie Francuzów na wyspie było w całym tego pojęcia znaczeniu rozpaczliwe. Niefortunna myśl rozwiązania armii kolonialnej odstręczyła resztki czarnych od sztandarów Rzeczypospolitej, a srogie kary, wymierzane nie tylko na zbiegach, lecz gromadne trącenie całych

oddziałów, podejrzanych jedynie o chęć dezercyi, odnosiły skutek wręcz przeciwny. Wieść o każdym nowem barbarzyństwie Francuzów podniecała jeszcze bardziej zawziętość czarnych, pomnażała ich nienawiść wobec kraju macierzystego. Przyrzeczenia naczelnego wodza, poręczające najsołenniejszą wolność murzynom, już się nie zdały na nic.

Wówczas to w St. Marc zdarzył się wypadek, który Polakom niemałe zdobył uznanie wśród czarnej ludności wyspy. Dwunasty batalion kolonialny, złożony z samych murzynów, dowiedziawszy się o pochodzie wojsk powstańczych na to miasto, nosił się podobno z zamiarem przejścia na ich stronę. Uprzedzony o tem komendant garnizonu, generał Quentin, kazał murzynom wystąpić bez broni na rynek, a równocześnie wydał polecenie legionistom, dowodzonym przez Wierzbickiego, by rozbrojonych wykluli co do nogi. Ale Wierzbicki sprzeciwił się stanowczo wykonaniu tej egzekucyi.

— Zostaliśmy tu przysłani przez pierwszego konsula dla obrony Francyi — odparł generałowi — ale nie dla wykonywania egzekucyi na bezbronych!

Quentin, nie nalegał dłużej, lecz przyzwawszy batalion francuski pod wodzą Verniera, kazał mu spełnić krwawe polecenie, co też Francuzi bez wahania wykonali. Szlachetny postępek Wierzbickiego, przemilczany w spisywanym przez niego pamiętniku, przysporzył imieniowi polskiemu wielu przyjaciół wśród powstańców. Dessalines bowiem nakazał swym żołnierzom, by w bitwie oszczędzali legionistów, zaś najwaleczniejszą brygadę swego oddziału, złożoną z murzynów afrykańskich, nazwał *Polakami*. Dziwne zaiste miano nadane 20-stej brygadzie — pisze jeden z historyografów tej walki — i dziwna w tem myśl Dessalines'a, ale dzięki temu pomysłowi wielu Polaków od rzezi następnie ocalało. Już samem powzięciem tego zamiaru Dessalines złożył świadectwo szacunku i współczucia dla nieszczęśliwych synów z nad Wisły.

Dopiero później, więci do niewoli legionieści dowiedzieli się od murzynów, że Francuzi straszili powstańców Polakami,

gdyby ludożercami, żywiącymi się najchętniej mięsem ludzkim. Z tego też powodu murzyni obchodzili się pierwotnie najokrutniej z pojmanymi Polakami, dręcząc ich w sposób najbardziej niehumanitarny, że wymienimy tylko porucznika Madeyskiego, który wpadłszy w moc powstańców, został wtłoczony między dwie deski i żywcem, wzdłuż ciała przepiłowany. Doznane klęski i zawody podkopały zdrowie Leclerc'a, który napróżno dopraszał się u pierwszego konsula odwołania go z San Domingo. W dniu 1-szym listopada t. r. wódz naczelny Francuzów padł ofiarą żółtej febry, mimo najtroskliwszej pomocy lekarskiej. Przed skonaniami mocno ubolewał nad wypadkami, zaszły mi na wyspie, biadał nad losem straconego wojska. »Tak skończył Leclerc« — czytamy w zapiskach Wierzbickiego — »wódz niewielkich zdolności, polityk nie znający serca ludzkiego. Nie odgadł charakteru murzynów, zjednać ich sobie nie potrafił. W czasie wojny, obok największej czynności, wahający się, nie mający swego własnego zdania, nadto niewolniczo był podległy woli pierwszego konsula, nadto ufał drugim a za mało sobie!« Następcą jego został najstarszy rangą generał dywizji, Rochambeau, okrutnik i rozpustnik, odznaczający się brawurą wojskową, lecz nie posiadający zgoła przymiotów, odpowiednich dla naczelnego wodza. Rządy rozpoczął Rochambeau od gromadnego wytopienia ważniejszych więźniów politycznych, osadzonych przez jego poprzednika na okrętach wojennych, poczem chwycił i bez sądu wysyłał do Francji wszystkie osobistości, które, bez względu na stan i wiek, wydały się mu podejrzanymi, dla tropienia zaś ukrytych po lasach murzynów sprowadził z Kuby kilkaset psów, zaprawionych do poszukiwania zbiegłych niewolników. Psy te, małego większe od zwykłych kundłów, osadzały uciekającego na miejscu, a w razie oporu rozszarpały go żywcem. Ponieważ jednak psy owe, poczuwszy raz krew, nie czyniły różnicy między białymi a murzynami i zagryzły na śmierć pozostawionego na pobojowisku ranego dobosza francuskiego, przeto nie używano ich później do walki. Posiłki, jakie z końcem stycznia 1803 roku Rocham-

beau otrzymał z Europy, ożywiły chwilowo słabnące męstwo wojsk republikańskich, które ponownie przystąpiły do zaczepnego działania. Odebrano nawet murzynom warownię górską Bombarde, oraz fort Delfine w pobliżu Port de Paix. Natomiast powstańcy odparci od Port-au-Prince, opanowali dwie silne warownie: Bineau oraz Ça-ira i załogi ich w pień wycięli. W liczbie ofiar rzezi znalazło się stu dwudziestu legionistów, oraz oficerowie: Sadowski, Krzycki, Lambal i Wodzinowski. W parę tygodni później wyrznięli znów murzyni przeszło stu legionistów, leczonych w lazarecie na wyspie Żółwiej, a równocześnie niemal generał murzyński, Geffrard opanował Anse-a-Veaux, gdzie garstka legionistów, opuszczona przez Francuzów, zmuszoną została do złożenia broni wobec powstańców. Generał Geffrard, usłyszawszy naszych, wołających o pardon, nie pozwolił im tknąć wśród ogólnej rzezi i odesłał legionistów do głównej kwatery, gdzie ich zatrzymano jako jeńców wojennych.

Mimo to legionieści dzielnie stawali wobec rozzuchwalonych szeregów zwycięstw oddziałów powstańczych i w połowie marca t. r. dobrze się zasłużyli armii republikańskiej, zasłaniając pod Tiburon odwrót pobitego przez czarnych generała Sarracina. Za ten czyn kapitan drugiego batalionu, Konstancy Figietti, otrzymał szablę honorową.

Chwilowy ten sukces nie zdołał uratować sprawy przegranej, a pojawienie się floty angielskiej z końcem maja t. r. u brzegów San Domingo, rozstrzygnęło o ostatecznym pogromie Francuzów. Zanim jeszcze Anglicy osaczyli przystęp do ważniejszych portów na wyspie, zawitały na San Domingo statki, wiozące drugi transport legionistów, czyli półbrygadę setną czternastą, która z początkiem lutego t. r. opuściła port genueński. Tym razem nie przybywali Polacy jednocześnie, lecz naprzód pojawił się batalion pierwszy, dowodzony przez Małachowskiego, a wieziony na statku »Fougueux«, który w pierwszych dniach marca zawinął do portu w Cap-Français. Jakkolwiek miasto było już od dawna zniszczone przez

pożar, to jednak mieściła się w niem jeszcze główna kwatery, a pełniący przy jenerale Rochambeau służbę adjutanta kapitan Przebendowski, zaprowadził niezwłocznie Małachowskiego do naczelnego wodza.

Znam ja was z Włoch — rzekł Rochambeau do przybyłego — lud wasz jest za ciężki do działania w górach. Dlatego poszlę was na równiny, do części południowej wyspy, bynajmniej nie zniszczonej, gdzie powinno wam być dobrze!

Jakoż batalion otrzymał rozkaz wylądowania pod Cap-Tibourn i oddany pod naczelne dowództwo jenerał Darbois, wziął udział w wyprawie jego na Las Kayes. Zrazu ekspedycya zapowiadała się pomyślnie. Legioniści bez wielkiego wysiłku opanowali pozycyą warowną Cavarananac i zaraz następnej nocy puścili się ku góróm, wznoszącym się amfiteatralnie nad doliną Aux Anglais. Aliści z pierwszym brzaskiem dnia zatrzymani zostali w dalszym pochodzie przez liczne oddziały murzyńskie, które obsadziwszy wykutą w skałach drogę, zabezpieczyły się licznymi rowami oraz parapetami, zaś na szczycie góry wzniesiona reduta zasypywała atakujących gradem pocisków. Nasi usiłowali zrazu bagnetem utorować sobie przejście, lecz po stracie kilku dzielnych oficerów, w liczbie których znaleźli się: kapitan Messange, adjutant major Królikiewicz i porucznik Wajgel, rzuciji się w pobliskie lasy, pragnąc obejść pozycyą powstańców. I ten zamiar nie powiódł się legionistom, gdyż liany, rozbijałe wśród dziewiczych borów, tudzież olbrzymie rozpadliny, powstałe skutkiem wstrząśnień wulkanicznych, czyniły niemożliwym dalszy pochod.

Około południa nakazał Darbois odwrót, uskoteczniony zresztą we wzorowym porządku, ponieważ murzyni nie wazyli się ścigać ustępujących, krocząc za nimi w przyzwoitej odległości wśród przeraźliwego wycia. Za powrotem do Tibouren wyprawiono legionistów do Cayes morzem. W czasie tej przeprawy zmarł nagle podporucznik Bergonzoni, który sam przybył do Małachowskiego ze służbowym raportem, donosząc mu, iż umiera... Napróżno zdziwiony tem niezwykłym do-

niesieniem szef starał się uspokoić młodszego kolegę prośbą i radą, by się szanował, a żyć będzie. Bergonzoni nie wyrzekł już ani słowa i wyszedłszy z kapitańskiej kajuty, padł za progiem i skonał na miejscu. W kilka godzin później zwłoki niešťczęśliwego, zawiązane w wór, obciążony kulą działową, spuszczone na wieczny spoczynek w głębią Oceanu. Za przybyciem do Las Cayes biała ludność miasta witała radośnie wysiadających ze statku legionistów, upatrując w nich dzielnych obrońców przesiw napadom murzyńskim, ustawicznie niepokojącym tę okolicę. Dowodzący tamże generał brygady Laplume, acz murzyn z pochodzenia, energicznie czynił przygotowania celem odparcia powstańców, przeciw którym częste urządzał wycieczki. W mieszkańców na nowo duch wstąpił. Rzucili się do wzmocnienia miasta, zasłaniając miejsca bardziej przystępne szanńczykami, sypanymi na beczkach i pakach kupieckich, a niebawem powstały dokoła Las Cayes wały oraz rowy, zateczone według wszelkich zasad sztuki fortyfikacyjnej i bronione przez pięćdziesiąt dział. Wytężoną pracę około warowni miejskich, tudzież nieustanną czujność wobec nieprzyjaciela, krążącego w pobliżu, przepłacił nasz żołnierz straszliwą śmiertelnością. Żółta febra porywała codziennie liczne ofiary. Legioniści marli gdyby muchy, zarówno w koszarach, jak na straźnicach podczas pełnionej służby i nierzadko zdarzały się wypadki, iż sierżant, rozprawdzający warty, zastawał poprzedniego sztyldwacha martwym.

Tymczasem pod Cap-Français pojawiła się w ostatnich dniach marca eskadra, wioząca dalsze dwa bataliony legionistów, których natychmiast wysłano do Tibouron. Zanim jeszcze oddział ten wylądował, zmarli komendant półbrygady Spital, tudzież kapitan Petrykowski i znaczna ilość szeregowców, ulegając zabójczej epidemii, poczem drugi batalion, prowadzony przez Jasińskiego, udał się łądem do Jèrèmie, podczas gdy Zagórski wraz z trzecim batalionem pomnożyć miał załogę w Las Cayes. Przybył tam wszakże tylko po to, by wyniesiony z okrętu na ląd, tegoż dnia życia dokonać. Pocho-

wano Zagórskiego z honorami wojskowymi, batalionowi zaś jego przeznaczono stanowisko w wzniesionej w pobliżu miasta reducie, zwanej Camp Bourdet.

Tibouren a raczej oszańcowana pod tem miastem pozycya powstańców, zwana Koratas, stała się w maju tegoż roku widownią zaciętej walki, której wynik pozostał wprawdzie nierozstrzygnięty, lecz w ataku na nieprzyjacielskie baterye padł ugodzony śmiertelnie dowódca setnej trzynastej brygady, generał Bernard. — Teraz już nie stało na przeszkodzie formalnemu rozwiązaniu pozostałych jeszcze resztek osieroczonej brygady, i Rochambeau wcielił je rozkazem dziennym do półbrygady, oznaczonej numerem ośmdziesiątym czwartym. Rozporządzenie to wszakże nie mogło być uskutecznione z powodu niepodobieństwa połączenia rozrzuconych po całej wyspie oddziałów polskich ze wskazaną przez naczelnego wodza półbrygadą. Podobnie też na papierze pozostał rozkaz naczelnego wodza, wcielający resztki setnej trzynastej półbrygady do półbrygady setnej czternastej, oraz nadający Małachowskiemu stopień pułkownika. Do połączenia rozprószonych oddziałów nigdy nie przyszło, awansu zaś Małachowskiego nie uznało ministerstwo wojny po upadku kolonii. Znaczna część naszych oficerów, pozbawiona komendy, zaczęła podawać się do dymisyi, upraszając zarazem o pozwolenie udania się do Europy. Zrazu udzielano żądanych paszportów, skoro jednak liczba opuszczających wyspę coraz to bardziej wzrastała, wydał Rochambeau oficerom zakaz wyjazdu, wyjąwszy tych, którzy z powodu ran odniesionych okazali się zupełnie niezdolnymi do pełnienia służby wojskowej.

Surowe te zarządzenia nie zdołały ocalić zachwianej szeregiem porażek powagi naczelnego wodza, przeciw któremu podwładni generałowie niemal otwarcie powstawali, wyrzucając mu nieudolność i barbarzyństwo, mnożące z dniem każdym na wyspie zastępy nieprzyjaciół Francyi. Jednym z najważniejszych błędów, popełnionych przez Rochambeau, było przeniesienie głównej kwatery do Port-au-Prince oraz pozo-

stawienie północno-zachodniej części wyspy na pastwę powstańców. Spostrzegł wprawdzie po niewczacie Rochambeau błąd popełniony i powrócił do Cap'u, ale postępek ten, podobnie jak ogłoszenie na wyspie stanu oblężenia, nie zdołały powstrzymać zwycięzkiego pochodu Dessalines'a, który paląc wszystko po drodze i wyrzynając w pień białych, dla ubłagania — jak się wyraża — pomocy Boskiej, wzbudzał ogólny postrach i grozę.

Okropność położenia spotęgowało jeszcze bardziej ponowne ukazanie się floty angielskiej, która po majowej demonstracji odpłynęła do Jamaiki, by w lipcu 1803 roku powrócić w znacznie zwiększonej sile, zarzucając kotwicę pod Cap Français, Part-au-Prince i Las Cayes. Rochambeau, przekonawszy się po raz wtóry, że Anglia zrywa dopieroco zawarte w Amiens układy, zamknął porty wyspy nawet dla okrętów handlowych i wydał odezwę do wojska, w której uspokoił żołnierzy, że głód nie nawiedzi ich obozu. Odezwa ta miała prawdopodobnie na celu podniesienie ducha wśród armii republikańskiej, która w dniu 1 lipca 1803 roku liczyła zaledwo 11.790 żołnierzy, zdolnych do pełnienia służby frontowej. Brygada setna trzynasta stopniała w owym czasie do cyfry trzystu czterdziestu ludzi, podczas gdy stan brygady setnej czternastej wynosił 856 żołnierzy. Tak więc trzy czwarte części legionistów, w ciągu niespełna roku, znalazły śmierć na San Domingo.

Podczas gdy okręty angielskie strzegły wybrzeży, atakowali powstańcy od strony lądu zamkniętych w warownych fortach Francuzów, którzy już po upływie kilku tygodni poczęli odczuwać gwałtowny niedostatek żywności, a głód w połączeniu z żółtą febrą trzebił gorzej od kul murzyńskich ich szeregi. Mimo to Rochambeau nie zaprzestawał zwykłych swych gwałtów wobec ludności, skutkiem czego generałowie Thouvenot i Clausel zamierzali go złożyć z dowództwa i odeśłać pod strażą do Francji. Projekt ten niestety nie udał się. Rochambeau odkrył spisek, aresztował jego twórców i wysłał ich do Europy. Oddalenie tych dwóch zdolnych generałów

przyspieszyło ostateczną katastrofę. Pierwszy poddał się powstańcom Fressinet, komendant warowni Jérémie, który zastrzegłszy dla załogi wolne wyjście z fortecy, a pozostawiając działa wraz z amunicją powstańcom, usiłował wymknąć się na kupieckim statku z zatoki. Schwytany wszakże przez Anglików, krążących wzdłuż wybrzeża, zabrany został do niewoli i odstawiony na Jamajkę. Reszta załogi, w tej liczbie 240 naszych legionistów pod dowództwem kapitana Chobrzyńskiego, gdyż szef batalionu, Jasiński, od dawna już nie żył, odebrawszy sobie życie wystrzałem z pistolety, wyszła z miasta i po złożeniu broni odpłynęła na statku amerykańskim do Stanów Zjednoczonych. Część atoli legionistów, licząca około czterdziestu ludzi, zawróciła się pod komendą porucznika Jazwińskiego do obozu powstańczego, oświadczając stanowczo, iż mniej się obawia murzynów, aniżeli Francuzów i dlatego z nimi nie wyruszy w drogę... Ten też krok zapewne dał powód, iż nieprzyjaźnie dla Polaków usposobione pisma paryskie obwiniły legionistów o przechodzenie na stronę powstańców, oraz o przyczynienie się w ten sposób do upadku kolonii.

Po Jérémie przyszła kolej na warownię świętego Marka, której załogę składał między innymi także oddział legionistów, należący do drugiego batalionu; w październiku zaś 1803 r. poddała się warownia Port-au-Prince, której garnizon zdołał szczęśliwie umknąć na wyspę Kubę. W tym samym miesiącu musiał też kapitulować dowodzący w Las Cayes generał Brunet, który pierwotnie zamierzał przedzierać się na statkach kupieckich do Kartageny. Zamiar ten wszakże spełził na niczem wobec czujności floty angielskiej, z której komendantem zawarli Francuzi układ następującej treści: Brunet oddawał Anglikom działa, amunicję i składy, istniejące w warowni, w zamian za przewiezienie załogi na Jamajkę, z kąd miano oficerów odstawić do Francji, szeregowców zaś zatrzymać jako jeńców wojennych.

W dniu oznaczonym wyszła załoga z twierdzy — w jej liczbie także batalion Małachowskiego — i wsiała na przygo-

towane statki, by pod konwojem angielskim udać się do Jamajki. Przybywszy wszakże na miejsce, padli oficerowie ofiarą chciwości Anglików, którzy odebrali im wszystkie pieniądze, zostawiając każdemu bez różnicy rangi po dwadzieścia pięć talarów. Do grabieży dołączyli szyderstwo, oświadczając ogołoconym z grosza, iż w ten sposób pragną uszanować istniejącą we Francyi wolność republikańską... Po niejakiem czasie oświadczone znów pozostającym w niewoli oficerom, że mogą częściowo udawać się do Stanów Zjednoczonych na statkach prywatnych i o własnym koszcie. Odmówiono jednak starszyźnie legionu pozwolenia na zabranie służby polskiej, którą zatrzymano jako jeńców wojennych, twierdząc, że jeżeli Polacy mogli służyć Francuzom, przelewać krew i ginąć w ich sprawie, to żołnierze polscy mogą równie dobrze służyć Anglii a będą lepiej odziani, zapłaćeni i uszanowani...

Szczęśliwszą była załoga w Mole St. Nicolas, gdzie znajdowało się kilkuset chorych legionistów. Dowódca jej, książę Noailles, opuścił twierdzę i umknął wraz z całym garnizonem na Kubę. Za przykładem tych komendantów poszli też dowódcy pomniejszych warowni, Anglicy zaś — jak dowiadujemy się z pamiętnika Małachowskiego — »oblokowali swymi okrętami wszystkie porty i przecięli całkiem komunikacją wodną, a lądowej już dla przemagających sił murzyńskich nie było. W tak ścisłem zamknięciu zaczęło wszędzie braknąć żywności, gdyż magazynów zapasowych nigdzie nie było skutkiem złego powietrza, które w krótkim czasie wszystko psuło. Nawet lekarstwa po upłynionym półroczu traciły właściwość swoją. Rzucono się na prywatne spiżarnie obywateli, ale te na bardzo krótki czas wystarczyć mogły, później na muły, osły, psy, koty a nawet i szczury po magazynach. Z czasem i to się przebrało.«

W połowie listopada 1803 roku powstańcy, posiłkowani przez Anglików, byli panami całej wyspy, z wyjątkiem warowni w Cap i w San Domingo, bronionych przez garstkę Francuzów, trapiionych głodem i zarazą, zniechęconych ciągłemi

kłeskami i pozbawionych wiary w swego wodza. W dniach 15 do 18 listopada opanowali powstańcy kolejno wszystkie pozycje obronne Capu tak, iż tylko oszańcowane wybrzeże wraz z wyspą Żółwią pozostały w ręku Francuzów. Rozpoczęły się układy o kapitulacyą. Dessalines warował słowem i dobrą wiarą wolny odwrót wojskowym francuskim, wśród których znajdował się jeszcze oddział grenadyerów legionu, pozostający pod komendą kapitana Kościakiewicza a tworzący podczas ostatniej walki z powstańcami straż tylną wojsk republikańskich. Przyrzekał też wódz zwycięzki zaopiekować się rannymi, pozostałymi w mieście, komendant zaś floty angielskiej, Loryng, zobowiązywał się do przewiezienia załogi Cap'u, jako jeńców wojennych, do Francji.

Nie myśleli wszakże zwycięzcy o dotrzymaniu warunków umowy. Loryng uprowadził bowiem cały oddział generała Rochambeau wraz z nim samym do Anglii, gdzie Rochambeau przebywał aż do roku 1811, Dessalines zaś zaraz po oddaleniu się floty angielskiej, wytopił wszystkich rannych i chorych Francuzów w morzu. Pozostała w twierdzy San Domingo załoga francuska, która dopiero w sześć lat później poddała się Anglikom, nie przeszkodziła Dessalines'owi w proklamacyi rzeczypospolitej na wyspie, w lutym zaś 1804 roku wydał tenże wódz, już jako prezydent udzielnej republiki, rozkaz wymordowania białych, podejrzanych o sprzyjanie rządowi francuskiemu. Wyjęto z pod tego krwawego rozporządzenia wszystkich bezwarunkowo Polaków, pozostających jako jeńcy wojenni na wyspie.

Ogół jeńców polskich, pozostałych na San Domingo, już po oddaleniu się Francuzów wynosić miał około czterystu głów. Nad nieszczęsnymi rozbitkami, opuszczonymi w chwili klęski przez komendantów francuskich, czuwała wszakże Opatrzność, i srogi Dessalines, pławiający się z taką lubością w krwi białych, zajął się losem naszego żołnierza. Na pytanie swoich generałów, jak postąpić należy z wziętymi do niewoli Polakami, odparł wszechwładny dyktator: »Przyjąć ich za dzieci

wyspy naszej i wszystkich naturalizować, którzy z nami zostać zechcą!«

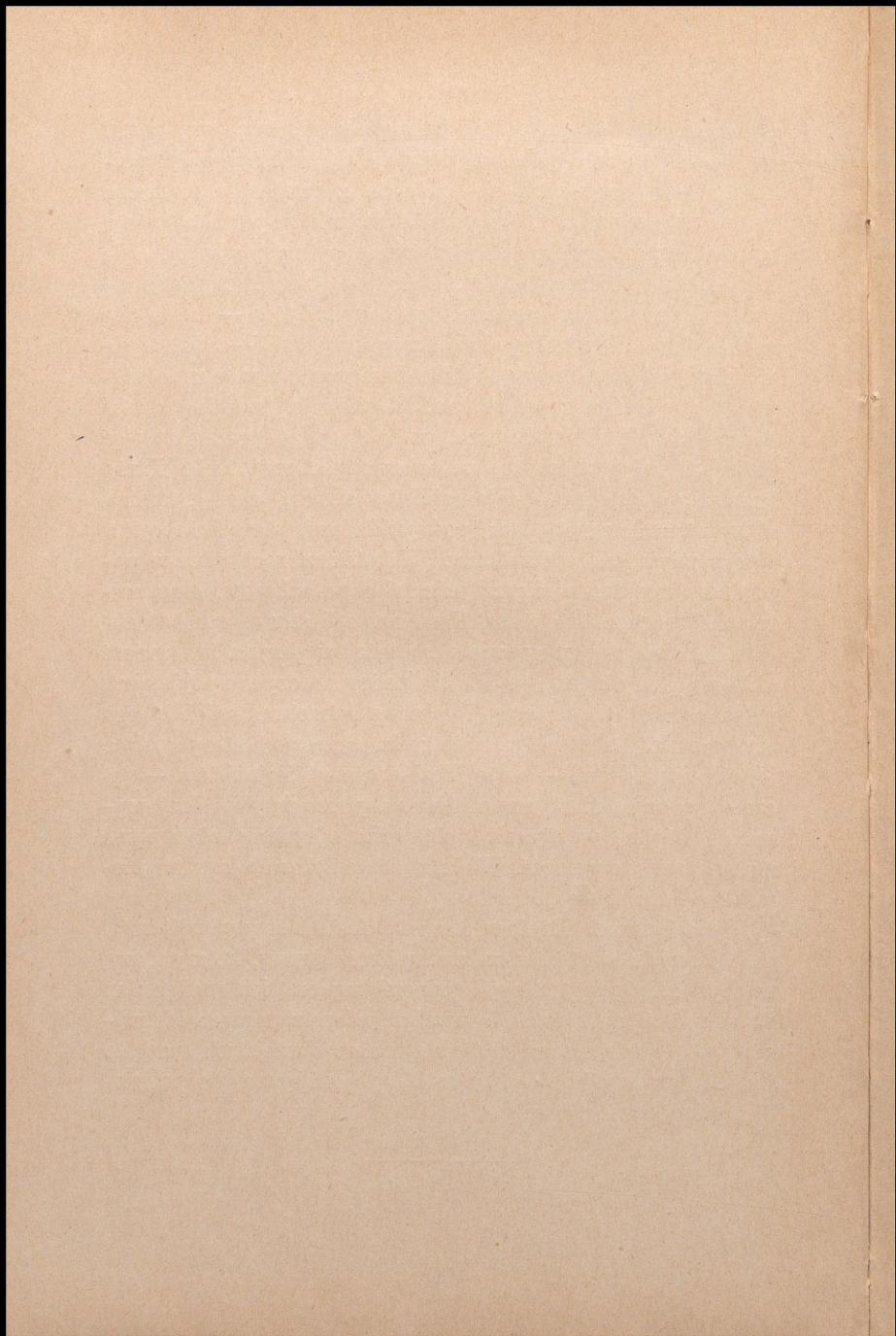
Z tego pozwolenia korzystali wszyscy jeńcy polscy, lecz już w 1805 roku stu sześćdziesięciu legionistów postanowiło powrócić do Europy i za staraniem Dessalines'a na wynajętej przez niego fregacie przedostali się do Nowego Jorku, zkąd na Kopenhagę i Gdańsk dążyli w rodzinne strony. Między innymi znaleźli się w gronie tych wybrańców losu: Hilary Larecki, Stefan Mikłaszewski, Mojżesz Bernard, Piotr Sołodygowski, January Kowański, Roch Zaćwilichowski, Gracyan Kempa, Jan Stysiewicz, Piotr Dziurbas, Gerwazy Hulanicki, Kryspin Nytkiewicz, Ksawery Królikiewicz, Adam Straszewski, Karol Wienert, Józef Bujalski, Michał Zadora, Feliks Jarkiewicz, Iwon Szczerba, Stanisław Gutowski, Jan Świerczewski, Michał Talkor, Franciszek Szeptycki, Józef Karol Paszkowski, Konrad Zbylina, Michał Borejsza, Alojzy Dąbrowski, Fortunat Wąsowicz, Antoni Domżański, Stanisław Bogusławski, Paweł Stelmasiewicz, Kasper Zdorny, Jan Liberkiewicz, Stefan Mielżycki, Rafał Pstrokoński, Lubomir Chojnacki, Jan Karwosiecki, Ryszard Draheim, Józef Otwicki, Grzegorz Sieleźniewicz, Rafał Żaboklicki.

I dziś jeszcze istnieć ma na Haiti około pół setki rodzin, polskie noszących nazwiska. Są to prawdopodobnie potomkowie naturalizowanych przed laty dziewięćdziesięciu legionistów, którzy obecnie w przybranej ojczyźnie doszli do pewnego stopnia dobrobytu. Znośną również była dola tej części legionistów, którzy uchodząc z San Domingo schronili się wraz z poszczególnymi oddziałami francuskimi na wyspę Kubę. Zrazu przyszło im wprawdzie znosić straszną biedę, gdyż gubernator hiszpański tej kolonii sownie opłacać się kazał przybyłym za użyzoną gościnność. W końcu jednak rząd francuski przypomniał sobie o niedobitkach i w lecie 1804 roku sprowadził ich do kraju. W tradycyi legionistów krążyła też przez długie lata, zakrawająca na bajeczkę opowieść o przygodach Blumera, późniejszego generała, który uchodząc wraz z towa-

rzyszami broni przed pościgiem angielskim, wpędzony został na puste wybrzeże północnej Florydy. Okrzyknięty przez robotników dowódcą, nosił się podobno z zamiarem założenia w tem miejscu osady. Ostatecznie jednak zwyciężyło wśród wiarusów uczucie żołnierskiej powinności i naprawiwszy, o ile możliwości, uszkodzony statek, dostali się nim szczęśliwie do Francyi. Przeważna wszakże część legionistów — o ile nie padła ofiarą żółtej febry lub murzyńskiej kuli — dostała się wraz z korpusami jenerałów Rochambeau i Bruneta do niewoli angielskiej i zaprowadzona do Jamajki lub do portów europejskich Wielkiej Brytanii, znosić musiała przez lat pięć z rzędu straszliwe katusze na osławionych pontonach. Naród kramarzy, postępował z jeńcami wojennymi gorzej, aniżeli z bydłem. Trzymano ich pod pokładami starych okrętów w okropnym ścisku i zaduchu. Wskutek wilgoci i braku powietrza szerzyły się między jeńcami ospa, szkorbut, oraz najrozmaitsze choroby skórne. Karmiono ich strawą zgniłą i cuchnącą, skutkiem czego wielu z więźniów przekładało śmierć głodową nad okropne to jadlo, a nocny spoczynek pojmanych zakłócały harce szczurów i miriady robactwa, gnieźdźącego się w napoły zbutwiałych statkach. Przeszło cztery tysiące jeńców francuskich — w tej liczbie ośmset legionistów — jeźdzało na angielskich pontonach i dopiero przy ogólnej wymianie jeńców, w styczniu 1809 roku odzyskały nieszczęśne ofiary utraconą wolność. Wielu z nich przetrwało katusze niewoli? — nie wiemy.

Na piaskach Haïti, w głębiach Oceanu spoczywają kości bezimiennych bohaterów, żołnierzy obcej sprawy, którzy głową nałożyli za złudne nadzieje, jakimi kupiono ich ramię. San Domingo — jak słusznie zauważył jeden z naszych historyków — to przejmująca tragedia, pełna dantejskich scen, to straszna nauka dana narodom, ślepo ufającym obcym potęgom i obcym geniuszom!





SPIS RZECZY.

I.

Dziejowe znaczenie legionów. — Stan kraju po insurrekcyi Kościuszkowskiej: Warszawa, Kraków, Lwów. — Ruch chłopski. — Spisek Gorzkowskiego. — Myśl stworzenia legionów w r. 1794. — Henryk Dąbrowski. — Wychodźcy polscy nad Sekwaną. — Kluby patryotyczne w Paryżu i w Wenecyi. — Emisaryusze. — Tajny akt konfederacyi krakowskiej. — Przyjęcie Dąbrowskiego u dworu berlińskiego. — Przyjazd generała do Paryża. — Waśnie wśród kolonii polskiej. — Memoriał Dąbrowskiego w sprawie legionistów francusko-polskich. — Odpowiedź dyrektoryatu. — Wyjazd Dąbrowskiego do Włoch str. 5—27

II.

Patryoci polscy w Wenecyi. — Obietnice Verninac'a. — Misya Ogińskiego do Stambułu. — Zabiegi czynione u Porty. — Działalność klubu patryotycznego we Lwowie. — Wychodźcy polscy na Wołoszczyźnie. — Franciszek Ksawery Dąbrowski. — Deputacya galicyjska w Stambule. — Audyencya Ogińskiego u pierwszego dragomana Porty. — Organizacya legionistów. — Ksawery Denysko. — Odezwa Ogińskiego do Napoleona. — Abert du Baquet. — List Sułkowskiego. — Ogiński w Bukareszcie. — Plany Franciszka Dąbrowskiego. — Narada związkowych w Jabłonowie. — Układy Dąbrowskiego z Paswanem z Oglu w Widdyniu. — Kniaziewicz we Lwowie. — Wieść o traktacie w Leoben. — Rozwiązanie legionu. — Wyprawa Denyski do Galicyi. — Prześladowanie potryotów galicyjskich. — Ucieczka Kniaziewicza. — Przejście Franciszka Dąbrowskiego w służbę rosyjską. — Spisek wileński str. 28—60

III.

Sytuacja polityczna w roku 1796. — Bonaparte naczelnym wodzem we Włoszech. — Kampania 1796 roku. — Pierwsi Polacy w służbie lombardzkiej. Henryk Dąbrowski w Medyolanu. — Amilkar Kosiński. — Początkowe trudności w formacji legionu. — Zawarcie konwencji z administracją jeneralną Lombardyi. — Odezwa Dąbrowskiego do ziomków. — Proklamacya rządu lombardzkiego. — Pierwsze bataliony legionu. — Wyprawy przeciw powstańcom w Brescyi i w Romanii. — Wojna z Austyą 1790 r. — Projekt wyprawy galicyjskiej. — Zabiegi patryotów polskich w Paryżu. — Myśl zwołania sejmku konstytucyjnego do Medyolanu. — Udział legionów w blokadzie Wenecyi. — Rewolucya w Weronie. — Zgon Liberackiego. — Posłuchanie Kniaziewicza u Napoleona. — Dalsza formacya legionu w Reggio. — Pieśń Wybickiego: Jeszcze Polska nie zginęła! — Wydawnictwo *Dekady*. — Odezwa Dąbrowskiego w sprawie przyszłego kongresu. — Odpowiedzi Bonapartego. — Pokój w Campo Formio. — Adres legionistów, zgromadzonych w Ferrarze. — Wyjazd Napoleona do Rastalu. — Berthier naczelnym wodzem. — Wyprawa Dąbrowskiego do Państwa Kościelnego. — Zajęcie San Leo. — Kardynał Saluzzo. — Wypadki grudniowe w Rzymie. — Odwrót legionu do Rimini. — Nota anonima. — Pochód na Rzym. — Kardynał Claramonti. — Legioniści na Kapitolu. — Niedostatek wśród żołnierzy. — Ukaranie podżegaczy. — Wyjazd Dąbrowskiego do Medyolanu. — Awanturnicy na bruku rzymskim. — Pojedynki. — Jakób Bogusławski. — Zgon Świstackiego. — Misyja Tremona do Kościuszki. — Walka legionu z rokoszami rzymskimi. — Wyprawa neapolitańska: Bitwy pod Civita Castellana i Calvi, Odnaczenie Kniaziewicza, Kapitulacya Gaety. — Rabunek miasta. — Wzięcie Traesty w dniu 1 stycznia 1799 roku. — Formacya kawalerii legionu. — Męczeński zgon Tremona w Traecie. — Ukaranie morderców. — Oddanie się Macka w ręce Francuzów. — Zajęcie Neapolu i proklamacya rzeczypospolitej Partenopy. — Wręczenie dyrektoryatowi zdobytych sztandarów. — Kampania 1799 roku w górnych Włoszech. — Udział drugiego legionu w bitwach pod Weroną i Magnano. — Zgon Rymkiewicza. — Myśl Dąbrowskiego przeniesienia walki do Węgier. — Macdonald i Dąbrowski spieszą w pomoc armii włoskiej. — Bitwy pod Cassano i Marengo. — Zajęcie Medyolanu oraz Turynu przez wojska sprzymierzonych. — Trzydniowa bitwa nad Trebią. — Reorganizacya pierwszego legionu. — Władysław Jabłonowski. — Oblężenie Man-

tui. — Druga legia polska pod wodzą Wielońskiego. — Kapitulacja Mantui. — Dodatkowy artykuł konwencji. — Starszyna drugiego legionu w niewoli str. 61—140

IV.

Rządy dyrektoryatu we Francyi. — Plany Siéyesa. — Nowe uzbrojenia. — Powstanie legii naddunajskiej. — Dola wychodźców polskich nad Sekwaną. — Stanisław Fiszer. — Odwiedziny pierwszego konzula u Kościuszki. — Polityka rosyjska Napoleona. — Zakład w Falzburgu. — Marsz do Metz i nad Ren. — Wyprawa Fiszera pod Altenburg. — Intrygi malkontentów przeciw Kniaziewiczowi. — Utarczki pod Berg i Bornheim. — Zajęcie Offenbachu. — Zawieszenie broni w Parsdorf. — Kawalerya legionu. — Batalia pod Hohenlinden. — Jan Pawlikowski. — Utarczka pod Salzburgiem. — Porwanie księcia Lichtensteina. — Rozejm zawarty w Steyer. — Wjazd Morcau i Kniaziewicza do Strassburga. — Układy pokojowe w Luneville. — Odwołanie legionu do Włoch. — Pogłoski o przyszłym przeznaczeniu legionistów. — Złożenie dowództwa przez Kniaziewicza. — Jabłonowski jego następcą. — Legia naddunajska w Medyolanie . . . str. 141—160

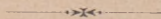
V.

Działalność pierwszej legii w lipcu 1799 roku. — Bitwa pod Novi. — Zgon Jouberta. — Championet naczelnym wodzem. — Nędzka legionistów. — Potyczki pod Pozzolo i pod Bosco. — Późna bitwa pod Novi. — Zimowa przerwa w działaniach wojennych. — Adres legionistów w Brada. — Uznanie pierwszego konzula dla Polaków. — Formacja pierwszej legii polskiej w Marsylii. — Bitwa pod Tarrano — Przybycie Napoleona do Włoch. — Odzyskanie Medyolanu. — Restauracja rzeczypospolitej Cyzalińskiej. — Bitwy pod San Cipriano, Montebello i Marengo. — Wznowiony projekt wyprawy galicyjskiej. — Kompletowanie legii w Medyolanie. — Powrót jeńców mantuańskich. — Udział legionu w oblężeniu Peschieri i Sermiony. — Zawieszenie broni w Treviso. — Wręczenie legionistom sztandarów. — Wieści o rozwiązaniu legionu. — Odezwa Kniaziewicza. — List otwarty Kosińskiego do redaktora *Klucza gabinetu*. — Murat naczelnym wodzem armii włoskiej. — Legioniści w Etrurii. — Wyprawa na Elbę. — Podział legionu na trzy półbrygady. — Myśl ucieżki Mantui oraz wyprawy do Grecyi. — Dąbrowski w Lyonie. —

Wysłanie trzeciej półbrygady na San Domingo. — Związek wolnomularski wśród oficerów drugiej półbrygady. — Postępek Aksamitowskiego. — Przegląd wojsk w Parmie. — Wyprowadzenie drugiej półbrygady z portu genueńskiego na San Domingo. — Udział pierwszej półbrygady w wojnie z Neapolem. — Pogrom Prus pod Jeną. — Napoleon w Berlinie. — Dąbrowski i Wybicki w Wielkopolsce. — Ofiarnosc Wielkopolan na rzecz wojska narodowego. — Powrót legionistów do kraju str. 161—197

VI.

San Domingo. — Dziejowa przeszłość tej wyspy. — Powody powstania murzynów. — Najazd anglo-hiszpański. — Toussaint-Louverture. — Wyprawa Leclerc'a. — Początkowe sukcesy. — Rządy wojskowe na wyspie. — »Mal de Siam.« — Ponowny wybuch rewolucji czarnych. — Zgon Jabłonowskiego. — Wylądowanie 113 brygady. — Działania poszczególnych batalionów. — Wdzięczność murzyńska. — Śmierć Leclerc'a. — Rządy generała Rochambeau. — Przybycie brygady 114. — Blokada wyspy przez flotę angielską. — Kapitulacja komendantów francuskich. — Cheiwość Anglików. — Wzięcie Cap'u przez powstańców. — Francuzi opuszczają wyspę. — Proklamacya rzeczypolitej San Domingo. — Rzeź białych. — Naturalizacya jeńców polskich. — Los legionistów na Kubie i Jamajce. — Angielskie pontony. — Powrót niedobitków do ojczyzny w roku 1809
str. 197—221



Ż R Ó D Ł A :

- »Beitrag zur Geschichte der Polnischen Revolution im Jahre 1794.«
Aus einem polnischen Manuscripte. (Frankfurt und Leipzig 1796).
- Chodźko Leonard*: »Histoire des Légions polonaises en Italie sous le commandement du général Dombrowski.« (Paris — J. Barbezat — 1829). Tom I— II.
- Dąbrowski Henryk*: »Pamiętnik wojskowy legionów polskich we Włoszech.« (Poznań, Żupański, 1864).
- Demiński Bronisław*: »Legiony.« (Poznań 1893).
- Drzewiecki Józef*: »Pamiętniki.« (Wilno, Zawadzki, 1858.
- »Dziennik patryotycznych polityków.« (Lwów 1797 — Nry 173 i 265).
- Finkel Ludwik*: »O pieśni legionów.« (Lwów, Altenberg, 1894).
- Godebski Cypryan*: »Granadyer filozof«, powieść prawdziwa. (Warszawa 1805).
- Godebski Cypryan*: »Pamiętnik oblężenia Mantui.« (Lwów 1864).
- Kepiński Krzywoślad Mieczysław*: »Pierzchowiec i Winnogóra.« (Tygodnik ilustrowany, tom XIV — Warszawa 1882).
- Kepiński Krzywoślad Mieczysław*: »Winnogóra.« (Tygodnik Ilustrowany, tom V — Warszawa 1883).
- Kosiński Amilkar*: We Włoszech, Zbiór materyałów do historyi legionów polskich we Włoszech. (Poznań, Żupański, 1877).
- »Kronika Emigracyi Polskiej.« (Paryż 1838, tom VII).
- »Listy znakomitych Polaków, wyjaśniające Historyą Legionów Polskich.« (Kraków — Józef Czech — 1831).
- Małachowski Kazimierz*: »Dwa ustępy z rękopisów.« (Czas — Dodatek miesięczny — Kraków 1856, tom II).
- Meinert Gustaw*: »Legioniści Polscy na wyspie Santo Domingo.« (Przewodnik naukowy i literacki.« Lwów 1886, tom XIV).
- Ogiński Michał*: »Pamiętniki o Polsce i Polakach.« (Poznań, Żupański, 1870), tom II.

- Rolle Józef (Dr. Antoni J.):* »Niedoszłe legiony.« (Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, 1883).
- Romanowski Mieczysław:* »O legionach polskich.« (Dziennik literacki, Lwów 1861).
- Sułkowskiego Józefa,* generała: »Życie i Pamiątniki.« (Poznań, Zupański, 1864).
- Wierzbicki Piotr Bazyl:* »Wyciąg z pamiątników.« (Biblioteka Warszawska. (Warszawa 1847), tom I.
- Wybicki Józef:* »Pamiątniki.« (Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, 1881).

SPIS RYCIN

W TEM DZIELE ZAMIESZCZONYCH.

1. Generał Henryk Dąbrowski, na czele legionów (przed kartą tytułową).	Strona
2. »Rozbiór Polski«, rycina satyryczna	6
3. Generał Amilkar Kosiński	63
4. Generał Józef Sułkowski	65
5. »Legionista«, rysunek J. Kossaka	71
6. Stanisław Małachowski	82
7. Ignacy Potocki	83
8. Henryk Dąbrowski	87
9. Berek Joselowicz	117
10. Aleksy Suwarow	129
11. Generał Karol Kniaziewicz	143
12. Napoleon Bonaparte, jako pierwszy konsul	147
13. Henryk Dąbrowski, w młodości	183





26046/
2